



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

*Niech miniony rok
idzie już w diabły
z wojną, pandemią, inflacją
i złymi ludźmi!
Niech 2023 da nam ludzi dobrych,
by lepszym uczynili
ten świat!*



ILUSTRACJA: NATALIA MICHALSKA

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348398



Sobota-niedziela, 31 grudnia 2022 – 1 stycznia 2023 | Redaktor prowadzący **Marcin Kącki** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 304.10192, 1
Nakład 140 tys. + 294 tys. prenumerat cyfrowych

Co zostało z 2022 roku

Inflacja naszego słownika

Rusinek



W 1986 roku Leszek Kołakowski opublikował na łamach słynnego pisma „Salmagundi” opowiadanie zatytułowane „Legenda o cesarzu Kennedym: nowa dyskusja antropologiczna”. To relacja z fikcyjnego zjazdu Akademii Nauk w nieokreślonej przyszłości, po Wielkiej Katastrofie, „kiedy to około dwie trzecie zamieszkałych lądów pochłonęły oceany, a pozostałe części uległy niemal całkowitemu zniszczeniu przez potężne eksplozje niewiadomego pochodzenia”. Zachowało się tylko osiem książek: amerykański poradnik dotyczący ogrodnictwa, francuska powieść „Życie idiotki”, węgierski poradnik dla brydżystów, XVII-wieczna rozprawa o wróżbiarstwie wydana po łacinie, książka telefoniczna Ferrary, XX-wieczna rozprawa o nowych trendach w amerykańskich naukach społecznych oraz czyjeś wspomnienia prawdopodobnie napisane po japońsku. Poza nimi ocalało jedynie we fragmentach nieco periodyków (wśród nich „Trybuna Ludu”).

Uczestnicy zjazdu próbują na podstawie zachowanych tekstów odtworzyć historię świata sprzed Wielkiej Katastrofy: od znaczenia słów („milioner” nie

może oznaczać bogacza, skoro w jednym z periodyków pojawia się zdanie: „Cóż to jest milion w dzisiejszych czasach? Małe piwo!”), ponieważ piwo było tanim i popularnym napojem, a więc „milioner” oznaczał człowieka biednego, „który mógł sobie pozwolić co najwyżej na małe piwo”), przez wydarzenia historyczne (cesarz Kennedy walczył z władcami trzech innych królestw zwanych: Rosją, Związek Radziecki i Kuba, zwyciężył, choć został pokonany w bitwie w Zatoce Świń), po realia społeczne (na podstawie zdania z broszury „Prawda o Związku Radzieckim” mówiącego o „szczęściu kobiet radzieckich” i zdania z „Timesa” o „ciężkiej doli ludzi radzieckich” wyciągnięty zostaje wniosek, że w jednym z wrogich mocarstw „kobiety były szczęśliwe, a mężczyźni nieszczęśliwi”).

Wyobraźmy sobie, że w nieokreślonej przyszłości, po jakiejś Wielkiej Katastrofie z całego roku 2022 zostają tylko te słowa, które były zgłoszone do plebiscytu na Słowo Roku. I wyłącznie na ich podstawie jacyś naukowcy – optymistycznie zakładając, że ktokolwiek przeżyje rzeczoną katastrofę – postanawiają odtworzyć wydarzenia tego roku w Polsce. Jak mogłoby to wyglądać?

WOJNA sugeruje, że świat cofnął się co najmniej do XX wieku. Polska, choć niezaangażowana w wojnę bezpośrednią, z pewnością stała po dobrej stronie, a Polacy dokonywali czynów chwalebnych, niosąc POMOC. Ale spory wśród naukowców wzbudza słowo UCHODŹCA, bo jedni uważają, że to groźny inno-

wierca, przenoszący choroby i zagrażający polskiej tożsamości kulturowej, przed którym należy zbudować na GRANICY mur. Inni zaś są zdania, że to osoba uciekająca przed wojną, a więc ktoś, komu powinno się dać schronienie, by czuł się bezpiecznie. Wszyscy naukowcy są natomiast zgodni, że w 2022 roku uważano, iż nic tak nie wzmacnia poczucia bezpieczeństwa w ludziach jak przekopanie im MIERZEI.

Świat prowadził wojnę z Rosją, ale rządzący Polską przekonywali, że wrogiem jest zgnięty Zachód

Zdumienie naukowców wzbudzała zaś z dawna niewidziane KAMIE-NIE MIŁOWE, które musiały być chyba puste w środku, bo czymś trzeba je było wypełniać – nie wiadomo czym, ale wiadomo, że nikt się do tego specjalnie nie kwapił. Badacze nie mogą też zrozumieć, że z jednej strony, z powodu INFLACJI i PODWYŻEK cen, Polaków w 2022 roku nie było stać na PALIWO i WĘGIEL, więc musieli zbierać w lesie chrust na OPAŁ. Z drugiej jednak strony kupowali sąsiadom DRO-NY, by mogli się bronić przed rosyjskim AGRESOREM. Teoretycznie cały demokratyczny świat prowadził wojnę

z Rosją, ale rządzący Polską postanowili przekonać młodych obywateli, że największym ich wrogiem jest zgnięty Zachód (podobne zabiegi propagandowe zauważyć można w znacznie starszych polskich dokumentach, z czasów zwanych peerelem). Opublikowano nawet PODRĘCZNIK, w którym znalazło się wiele dowodów na nieczyste zamiary Zachodu. Dla jego autora (nazwisko się niestety nie zachowało) synonimem przymiotnika „polski” jest przymiotnik „katolicki”. Podręcznik ten trafił na jakąś listę przebojów, gdzie stał się HIT-em. Nie wiadomo jednak, w jakiej kategorii.

Różne kwestie dzieliły Polaków, ale zawsze tak samo: na dwa zaciekle zwalczające się obozy. Jedni uważali, że ryby w zatrutych RZEKACH umierają, a drudzy – że są śnięte, a więc tylko śpią. Jedni sądzili, że wirus zwany OMI-KRON (więc zapewne grecki) jest niebezpieczny i należy się przeciwko niemu zabezpieczać, stosując nowoczesną szczepionkę, drudzy nie wierzyli w istnienie wirusa, a szczepionkę nazywali „eksperymentalnym preparatem”. Jedni byli zdania, że powinno się mówić W UKRAINIE, a drudzy – że NA UKRAINIE. Oprócz wojny po sąsiedzku wybuchła więc wojna językowa, której nie udało się powstrzymać językoznawcom. Niektórzy Polacy ponoć próbowali salwować się UCIECZKĄ, ale mogli co najwyżej uciec w rok 2023. Naukowcy wciąż nie umieją ustalić, co było dalej. Badania w toku. ●

Michał Rusinek

Chiny Światło na koniec roku



Jednym z symboli Świąta Latarni, czyli zakończenia obchodów Nowego Roku, są w Chinach czerwone lampiony. Na zdjęciu pracownicy jednego z zakładów produkujących takie lampiony, które przystroją domy i ulice.

Cytat roku



Oczywiście ktoś się może z nami nie zgadzać. Ma lewicowe poglądy. Uważa, że każdy z nas może w pewnym momencie powiedzieć, że no teraz, do tej pory, do godziny tam – jest w tej chwili koło wpół do szóstej – byłem mężczyzną, ale teraz jestem kobietą

JAROSŁAW KACZYŃSKI

podczas spotkania we Włocławku, czerwiec 2022

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Wyborcza.pl



• MATCZAK:
Gdybym chciał wam dopiec, nie pisałbym o pornografii autopromocji

Więcej ► Wyborcza.pl

Wielka sobota z małym Rudnickim

Ciężar śniegu

Ostatni dzień roku. Widok z okna: zamieć, a w niej postać. To kurier. Z paczką dla człowieka, który ją zamówił. Ja jako ten człowiek. Kurier skarży się w drzwiach na zimę, że przejść nie można, tyle śniegu.

W paczce aparat do mierzenia ciśnienia. Będę siedział i je mierzył, co raz, aż do wyczerpania baterii, wtedy pójdę spać. Nie można się ruszać i mówić, ale ruszać mi się i tak nie chce, a mówić nie mam do kogo. Zobaczymy, co się będzie dziać.

Trochę jestem rozczarowany, że każdym razem mniej więcej takie samo to ciśnienie, nic się nie dzieje, akcji za grosz, ostatnie godziny tego roku wloką się jak krowy z pastwiska do obory. No i irytuje mnie ten dźwięk przy mierzeniu, to burczenie, jakbym nie sam, a... Właśnie, z krową jakąś niewydojoną w oborze siedział, akurat dziś, taki mój sylwestrowy bal.

Mała przerwa, wezmę tabletkę na ciśnienie. Uważnie sprawdzam, czy twarda, bo było tak: używam iqosa, te heetsy mają końcówkę, zdejmuję ją, wtedy są mocniejsze. Te końcówki, które się po mieszkaniu walają, wyglądają jak te moje tabletki, więc wsadzałem je do pojemnika na leki, a następnie polykałem. A więc na poprawę złego ciśnienia zażywałem pety, wodą popijając, matka moja, gdyby żyła, powiedziałaby: ty jesteś duren

w kostce, ja nie wiem, po co ja ciebie urodziłam.

Mierzę dalej, puka ktoś do drzwi, akurat w trakcie trwania czynności. To pani Honorata, gospodarz domu.

– Panie kochany, panu tak dobrze z oczu patrzy jak nikomu innemu z tej klatki, a już najgorszy ten cały Mata, co mieszka nad panem, ludzie tam wchodzą i wychodzą, jak w pociągu, dwa razy już windę popsuli, te nasze staruszki wchodziły na dole do klatki, jak było jasno, a do mieszkani na górę było docierały już po ciemku, jebane młotki skazali ich na schodki, co to ja chciałam... A, z oczu panu patrzy, wie pan, ja już nie daję rady z tym śniegiem, ja już w ogóle, wie pan, ach, szkoda gadać, są w życiu takie doliny, o których się żadnym górcom nie śniło... Co to tak burczy? Nie, nie wierzę, zapomniał pan, że aparat do ciśnienia na ręce? Co-raz bardziej pana lubię... Pomógłby pan? Z tym śniegiem? Pod klatką tylko trochę usunąć, szuflę śniegową mam...

Ale panu to idzie, dobrze, to zostawiam pana i niech ten stary rok już ściężnie, niech go diabli wezmą.

Słysząc pierwsze fajerwerki. I odgłos szufli, do tego mój zziębły oddech, bo z każdą pełną szuflą coraz mi ciężiej. Zapomniałem, jak ciężki może być mokry śnieg. ●

Janusz Rudnicki

Kodeks Agenta PRO – zbiór najlepszych praktyk dla profesjonalizacji branży.



Polacy coraz częściej i chętniej korzystają z usług agentów nieruchomości. Z każdym rokiem mają też o nich lepszą opinię, ale też więcej od nich wymagają. Aby pomóc agentom jak najlepiej odpowiadać na potrzeby klientów, Otodom stworzył Kodeks Agenta PRO.

Rynek nieruchomości mierzy się z nowymi wyzwaniami. Stawia też nowe zadania przed agentami nieruchomości. W ubiegłym roku transakcja goniła transakcję. Obecnie mieszkania i domy sprzedają się wolniej, rynek stał się bardziej wymagający, a przez to i potrzeby klientów zupełnie inne. Wiele dzieje się na rynku wynajmu. Oferta się skurczyła, ceny wzrosły. Agenci nieruchomości muszą na te zmiany szybko reagować, odczytywać nowe potrzeby klientów i na nie odpowiadać.

Kompendium i drogowskaz

Aby pomóc agentom stawić czoła nowym wyzwaniom, Otodom stworzył Kodeks Agenta PRO. To kompendium i drogowskaz dla wszystkich agentów nieruchomości, którzy chcą zapewnić swoim klientom najwyższy poziom obsługi.

– Opanowanie na co dzień wszystkich wymiarów zarządzania doświadczeniem klienta – bez wcześniej przygotowanej strategii – jest niemal niewykonalne. Dlatego profesjonalne firmy, wdrażają standardy obsługi swoich klientów. Kodeks Agent Pro jest właśnie takim solidnym punktem oparcia dla każdej agencji nieruchomości w Polsce. Stworzyliśmy go, aby budowanie pozytywnych, trwałych doświadczeń przynosiło od teraz oczekiwane, wymierne korzyści obu stronom – wyjaśnia Joanna Hirszt, Senior Consultant Customer, współautorka Kodeksu Agent Pro.

Senior Consultant Customer, współautorka Kodeksu Agent Pro.

Praktyczne wskazówki

Kodeks Agent PRO szczegółowo opisuje dwie ścieżki: klienta sprzedającego oraz klienta kupującego. Na oba procesy autorzy raportu patrzą z perspektywy zarówno klienta, jak i agenta. Obie ścieżki zostały uzupełnione o treści związane z najmem. Autorzy kodeksu podpowiadają, co zrobić, by pozytywnie zaskoczyć, uniknąć kłopotliwych sytuacji oraz jak pozostawić po sobie świetne wrażenie. Podkreślają, że kluczowe dla agenta jest zrozumienie motywacji oraz potrzeb klientów.



– Oczekiwania klientów, chociaż różne, sprowadzają się do wspólnego mianownika – klienci poszukują pomocy rzetelnej i skrojonej na miarę. Chcą pracować z agentem, który przeprowadzi ich przez cały proces (kupna, sprzedaży, najmu) możliwie bezstresowo, a na pewno sprawnie, bezpiecznie i z sukcesem – komentuje Izabela Sobańska-Synowicz, B2B Marketing Manager, Otodom.

Kodeks Agent RPO daje praktyczne wskazówki na temat tego, jak zachowywać się w kontakcie z klientem kupującym, a jak z klientem sprzedającym. Czym można zaskoczyć klienta, czego należy stanowczo unikać w kontakcie z nim. Podkreśla wagę budowania relacji i podpowiada sposoby na jej tworzenie.

Stworzony z liderami

Kodeks Agent RPO powstał we współpracy z Liderami Nieruchomości 2021 – zwycięzcami konkursu, organizowanego przez Otodom oraz zewnętrznymi ekspertami z różnych dziedzin szeroko pojętego marketingu oraz branży nieruchomości, m.in. Piotrem Buckim czy Wojciechem i Izą Ławniczakami.

– Mamy świadomość, że firmy odnoszą sukcesy biznesowe, jeśli swoje działania zaczynają od zrozumienia klienta, a procesy – nawet te rutynowe – mądrze dopasowują do jego oczekiwań. Do pracy nad Kodeksem zaprosiliśmy więc grono ekspertów z różnych dziedzin szeroko pojętego marketingu oraz branży nieruchomości. Sercem projektu były warsztaty z doświadczonymi praktykami, czyli Liderami Nieruchomości 2021, z którymi ułożyliśmy kluczowe punkty styku dla ścieżek zakupu, sprzedaży oraz najmu. Warto na koniec dodać, że Kodeks Agent PRO to dopełnienie działań toczących się już od dłuższego czasu w ramach szerszego projektu Otodom – Agent PRO – podsumowuje Jakub Kląskała, Head of Operations, Otodom.

Jednym z działań jest konkurs Lider Nieruchomości. W jego ramach Otodom już od 5 lat wyłania najlepsze agencje nieruchomości w każdym województwie oraz jedną, najlepszą agencję w skali całego kraju. Kolejna edycja konkursu Lider Nieruchomości Otodom ruszyła w listopadzie, a zwycięzcy zostaną wyłonieni w kwietniu 2023 r. Dotychczas w konkursie brały udział agencje, które same się zgłosiły. W tym roku analizie poddane będą wszystkie podmioty wystawiające swoje oferty za pośrednictwem Otodom. To nie jedyna zmiana, jaką organizator konkursu wprowadził w tegorocznej edycji. O miano lidera będą mogły po raz pierwszy ubiegać się również firmy deweloperskie.

Bohaterowie i mroczne postacie 2022 roku

CHCEMY BOHATERÓW,
RESZTA PRECZ!

Kalendarz z 2022 rokiem możemy zrolować i wrzucić do pojemnika z napisem „maku-latura”, z ulgą, bo dla całego świata to rok końca pandemii i początek wojny.



Ukraińcy z pewnością woleli-
by o 2022 roku zapomnieć, ale
niestety, zapisze się na stałe
w ich historii i świata jako czas
tragedii, przerażenia, śmierci,
ucieczek... Brytyjczycy oplaku-
ją królową Elżbietę, naukow-
cy dostali nową zabawkę i oglą-
dają z nami najpiękniejsze sel-
fie teleskopu Webb'a, Argentyń-
czycy świętują po mundialu,
a Polacy...? Czekają, bo jesień
2023 roku będzie dla nas powo-
dem do radości lub smutku.

Oto nasz subiektywny,
okładkowy, alfabetyczny prze-
gląd postaci i symboli, któ-
re 2022 rok uczyniły tragicz-
nym, wyjątkowym, złym, fa-
scynującym... Jedni zmieni-
li ten świat na gorsze, drudzy
na lepsze. Życzymy sobie i Czy-
telnikom, by w 2023 roku wie-
le z tych postaci zniknęło nam
publicznie z oczu. Niech no-
wy rok przyniesie nam bohate-
rów, którzy uczynią świat lep-
szym do życia...

Przygotowali: Michał Nogaś,
Wojciech Maziarski, Piotr Cieśliń-
ski, Adam Bodnar, Marcin Kącki,
Mirosław Maciorowski, Natalia
Waloch, Wiktoria Bielaszyn, Bar-
tosz T. Wieliński, Marcin Weso-
łek, Małgorzata Muraszko, Jarek
Szubrycht, Dawid Dróżdż, Witold
Mrozek, Łukasz Kamiński



Ambasador

Bartosz Cichocki, czyli nasz człowiek
w Ukrainie. Kiedy Kijów był oblężony,
jako jeden z dwóch przedstawicieli spo-
łeczności dyplomatycznej nie opuścił
stolicy. Zaryzykował życie i bezpieczeń-
stwo, aby okazywać solidarność naro-
dowi ukraińskiemu. Prezydent Zelen-
ski, wręczając mu odznaczenie pań-
stwowe, powiedział: „W ciągu tych
99 dni przekonaliśmy się na 100 pro-
cent, że wasze serca są szeroko otwar-
te dla Ukrainy. Tak samo zawsze będzie
dla was otwarte nasze państwo”.



Dream Team

Justyna Wydrzyńska to aktywistka Abor-
cyjnego Dream Teamu, której za pomoc
w aborcji grozi kara do trzech lat więzie-
nia. Wydrzyńska wysłała tabletki do abor-
cji farmakologicznej kobiecie, która ją o to
poprosiła, gdy zamówione w internecie le-
ki nie przyszły na czas. Policję zawiadomił
mąż kobiety, który adres aktywistki znalazł
na kopercie. To pierwszy tego typu proces
wytoczony aktywistce.



Dyrektorka

Miała być „zbyt radykalna” na dyrektor-
kę, „zbyt feministyczna”, „niepoważna”,
„za szalona”. Tymczasem Monika Strzęp-
ka zmieniła start w miejskim konkursie na
szefową Teatru Dramatycznego w Warsza-
wie w kampanię wyborczą, zbudowała ze-
spół fachowych współpracowniczek. Nie
spodobała się wojewodzie z PiS, który za-
wiesił ją za feminizm w obowiązkach. Ja-
kiż ten PiS przewidywalny...

Europa

Marine Le Pen druga w wyborach we Fran-
cji, a Georgia Meloni pierwsza we Wło-
szach, czyli – niestety. Po prawie zwycię-
stwie neofaszystów w Szwecji, po rzą-
dach w Polsce i na Węgrzech, po brexi-
cie, Trumpie – panie są symbolem powra-
cającej w Europie nostalgii za rządami au-
tokratów i nacjona-
listów. Jeśli do tego
w USA Trump znów
będzie siłą wiodącą,
to los Europy w obli-
czu planów Putina
może być w naj-
bliższych latach
dramatyczny.

Frappart
Stéphanie

Ironia losu: podczas piłkarskiego mundialu
w zamordystycznej dyktaturze, która gardzi
prawami kobiet, właśnie kobieta wyważy-
ła drzwi do męskiego świata. 39-letnia Fran-
cuzka sędziowała mecz mistrzostw świata
Niemcy – Kostaryka. Do tego, że jest pierw-
sza, zdążyła się przyzwyczaić: była pierw-
szą kobietą sędziującą mecze francuskiej li-
gi, finał męskiego Pucharu Francji i Ligi Mi-
strzów. W Katarze sędziowała doskonale,
a widok kobiety z gwizdkiem podczas meczu
mężczyzn wkrótce przestanie zaskakiwać.



Hejt

W wydanej w tym roku książce „Hejt pol-
ski” Maja Staśko pokazała reakcję na wypo-
wiadane przez nią słowa – komentujących
jej wygląd, styl, mowę ciała. Koresponden-
cję, której nie oczekiwała, wybrała i wy-
drukowała bez jakiegokolwiek komenta-
rza. Dostaliśmy czysty zapis bezimiennego,
pozbawionego twarzy zła, wyciąg ze ście-
ków internetu, dowód na to, jak bolesne
i krzywdzące mogą być słowa.



HIMARS

Wygląda jak opancerzona ciężarówka, ale
ma niszczyielską moc. To sześć przewo-
żonych w zamontowanej na pace wyrzut-
ni pocisków ziemia-ziemia naprowadza-
nych na cel za pomocą satelity. Ukraińcy
mają tylko 16 takich pojazdów, a mimo to
poważnie nadszarpnęli rosyjską logistykę
i łańcuch dowodzenia na okupowanych te-
rytoriach. Rakiety odpalane z HIMARS-ów
niszczyły składy amunicji, paliwa i punkty
dowodzenia. Dzięki wyrzutiom zatrzyma-
no rosyjską ofensywę w Donbasie, a Ukra-
ina mogła jesienią rozpocząć kontruder-
zenie, wyzwolić Charkowszczyznę i Chersoń.



Czerwona fala

W listopadzie 2022 r. Donald Trump
miał wypłynąć na „czerwonej fali”. Re-
publikanie (oznaczani kolorem czerw-
nym) mieli zadać Demokratom druzgo-
cące ciosy w wyborach do Kongresu,
przejąć Izbę Reprezentantów i Senat, by
sparaliżować Joego Bidena i utorować
Trumpowi powrót do Białego Domu.
Fali nie było, wybory zakończyły się po-
rażką, a Trump może dostać zarzuty za
podżeganie do szturmu na Kapitol. Ale
czy to jego schyłek? Zobaczmy...



HIT

Tajemnicza książka odkopana przez grupę archeologów amatorów pod wodzą profesora KUL. Przemysław Czarnka. Druk książki datuje się na pierwszą połowę XIX wieku, jest w niej narzekanie na postępy, tęsknota za wielodzietną rodziną, pochwała szabli i kontusza, wezwanie do potępienia homoseksualnych sodomitów. Z powodu galopującej inflacji nasze skromne władze postanowiły oszczędzać na wszystkim, także na rozumie, i włączyły podręcznik – bez odkurzania – do nauki dla dzieci w XXI wieku.



Hydrołożka

Zachwyciła w serialu „Wielka woda”, w którym zagrała Jaśminę Tremer, hydrołożkę, która próbuje ostrzec władze Wrocławia przed nadciągającą katastrofą. Agnieszka Żulewska wyczarowała postać wielowymiarową, zbudowaną z kontrastów, które się nie wykluczały, a uzupełniały – była silna i krucha, szczerza i skryta za cieniem tajemnic.



Iga

Czyli Świątek, kobieta rakieta, która Wielkie Szlemy wygrywa lekko, szybko i z klasą. Gdyby polscy piłkarze uprawiali swoją dyscyplinę z taką techniką, stylem i poczuciem radości, musielibyśmy zmienić obywatelstwo, bo to byłoby jednak za dużo.

Jedenastka

Czyli Millie Bobby Browne grająca w serialu „Stranger Things”. W 2022 roku fani dostali czwarty, fascynujący sezon, który połączył pokolenia, co dla serialozy wyjątkowe. Sentymenty z lat 70. i 80., muzyka Kate Bush – serial odbudował więzi między rodzicami i dziećmi, a Jedenastka to zapowiedź zmian, czyli silna kobieta z supermocami, dla której potwory to igraszka...



Kaczyński

Co tu napisać, gdy rola wymyka się współczesnej dramaturgii, a postać Wolanda już obsadzona na Wschodzie, Zachodzie i Południu? Może lepiej poczytajmy „Anonimowego Polaka na granicy wytrzymałości”.



K... mać, czyli anonimowy Polak na granicy wytrzymałości

Najpierw dostał rządy postaci, których nie ma za co szanować, potem pandemię, która zatrzęsała kruchym wyborem między wolnością a wspólnotowością, a gdy chciał się oprzeć na swojej ścianie płaczu, to zburiła ją wojna. W tym dygocie stara się znaleźć jakąkolwiek normalność, książkę, serial, dłoń ukochanej osoby w swojej dłoni spoconej ze stresu albo zachód słońca nad dachami „lex developer”. Albo cokolwiek, byle to przetrwać...



Kamera dla kobiety

Agnieszka Smoczyńska w filmie „The Silent Twins” pokazała historię milczących bliźniaczek June i Jennifer Gibbons, skazanych na przymusowe leczenie w angielskim szpitalu psychiatrycznym. Bez wątplenia 44-letnia reżyserka jest dziś jedną z najciekawszych i najważniejszych postaci polskiego filmu.



Kobieta na wojnie

Iryna Dovgan, Ukrainka, która w 2014 r. została aresztowana przez Rosjan w Donbasie, torturowana oraz poddana przemocy seksualnej, wreszcie owinięta ukraińską flagą przywiązana do ulicznego słupa i wydana na pastwę przechodniów. Dziś jako założycielka SEMA Ukraine jeździ na tereny wyzwolone spod okupacji i zbiera świadectwa zgwałconych przez rosyjskich żołnierzy kobiet oraz podróżuje po Europie i domaga się sprawiedliwości wobec oprawców.



Królowa

Panowała 70 lat i 214 dni, ustępując jedynie królowi Francji Ludwikowi XIV. Służyło pod nią 15 premierów. Za rządów Elżbiety II Wielka Brytania przestała być imperium, ale czym stanie się za rządów jej syna, Karola III? Opadła żałoba po stracie symbolu, jakim była królowa, w Wielkiej Brytanii coraz mocniej czuć skutki brexitu. Wyjście z UE miało przywrócić potęgę, w 2023 te złudzenia ostatecznie się raczej rozwiną.



Maseczka

Ostatni raz nosiliśmy ją na początku 2022 roku, a potem nastąpiło wielkie pożegnanie z pandemią i niech tak zostanie. Łobuzom, którzy cieszyli się, że mogą w maseczce pokazywać się publicznie bez poczucia obciachu, życzymy, by w 2023 roku zostali bezrobotni i nie mieli powodu wychodzić z domu.



Mahsa Amini

Gdyby nie gorliwość policji religijnej, której funkcjonariusze zwrócili uwagę Amini, że nosi zbyt luźno hidżab i zbyt obcisłe spodnie, to 22-letnia dziewczyna by żyła. We wrześniu w Teheranie policjanci postanowili jednak ją zatrzymać i skatować. W odpowiedzi na jej śmierć Irańczycy wyszli na ulicę. Masowe protesty przerodziły się w rewolucję, która może zachwiać teokratycznym reżimem. Irańczycy buntowali się już wiele razy, władzy udawało się tłumić protesty. Czy tym razem będzie inaczej?

Messi



To był jego ostatni mundial, na który przyjechał. Tym razem, by zrobić sobie zdjęcie na okładkę autobiografii – z Pucharem w rękę. I zrobił.



Mgławica Carina

Gdy jej zdjęcie spłynęło na ziemię, wpadliśmy w zachwyt. Choć wykonane w podczerwieni, zachwyca kolorami, kompozycją, rozmachem – dosłownie – bo wielkość mgławicy podana w latach świetlnych wymyka się wyobrażeniom. Zdjęcie wykonane przez satelitę Webba, wartego 10 mld zł, możemy jednak uznać za warte każdych pieniędzy.



Małżeństwo

Megan i Harry – uciekli z królewskiego bału przed wybiciem północy i obnażyli, być może pierwszy raz w historii, kulisy dworu Jej Królewskiej Mości. Wystąpili w serialu, w którym niczym rodzinka Kardashianów pokazali łazienkę i toaletę oraz wstręt do królewskiego rodu. Wielu uznało to za początek końca monarchii, ale coś nam się zdaje, że nie takie seriale monarchia przetrwała.



Michniewicz

Dla przyjaciół „Czesio”, dla kibiców ze świata facet, który chodził wzdłuż linii autowej, dla nas może przyszły szef Narodowego Banku Polskiego, bo ma kompetencje – potrafi zapisać na serwetce piątkę i siedem zer...



Misja Dorocińskiego

Oto kolejny polski gwiazdor o statusie światowym. Marcina Dorocińskiego zobaczymy teraz w „Mission: Impossible” – premiera w 2023 roku, oraz w serialu Netflixa „Wikingowie”...



Mówca

Pierwszy polski premier RP, który jak obieca, jak przemówi, to nie wiadomo, gdzie słowa zbierać, bo wiatr targa nimi jak w gabinecie komendanta głównego po odpaleniu granatnika. 2022 rok to rok Mateusza Morawieckiego. Zasługi: dalsze niszczenie demokracji wspólnie z PiS, szarpanina w koalicji, utrata funduszy europejskich, kryzys gospodarczy. Mistrz samoupokorzenia – przebywa w koalicji z człowiekiem, który miał nazwać go „mięksiszonem”.



Neo-Nówka

Skecz pt. „Wigilia” rozgrzał debatę. Występ wrocławskiej grupy znalazł się na szczycie YouTube’a. Neo-Nówka (Roman Żurek, Michał Gawliński, Radosław Bielecki) w półgodzinnym skeczu oddali nastrój społeczny, drąc lacha z tępej propagandy. Władza się nie śmiała.



Niezależne

Rosjanom o toczącej się w Ukrainie wojnie opowiadają kobiece głosy młodych dziennikarek. To one, ryzykując życie i wolność, usiłują dotrzeć do swoich współobywateli, także tych, którzy nie są gotowi, by ich wysłuchać. „Tych ludzi zabiła Federacja Rosyjska. Życzę nam wszystkim, byśmy nie byli zabójcami”, pisała z Ukrainy Lena Kostiučenko (na zdjęciu). Dzięki jej tekstom, ale także Lilii Japparowej i Taisi Bekbulatowej niewinną krew, którą Kreml przelał w Ukrainie, dostrzec może na swoich rękach każdy Rosjanin. I zrozumieć, że zmyć ją z siebie nie będzie lekko.



Opozycjonistka

Czerwona pomadka, szeroki uśmiech i błysk w oku. Taką zapamiętano Maryję Kalesnikawą z Mińska, taką widać ją dzisiaj, na rzadkich zdjęciach przemycanych z widzeń przez jej bliskich. Jedna z liderki białoruskiej opozycji każdego dnia udowadnia światu, że są wśród nas ludzie, których nie jest w stanie złamać żaden dyktator.



Pacyfizm

Olaf Scholz, czyli „karma is a bitch”. Po 22 latach ugłaskiwania przez Niemcy Władimira Putina i próbach związania go z Zachodem niemiecka polityka zagraniczna impłodowała. Nie w rękach Angeli Merkel, która prowadziła tę politykę, lecz jej zastępcy i ministra finansów. Scholz zaczął fatalnie, przyglądając się biernie przygotowaniom Putina do inwazji na Ukrainę, a gdy wybuchła wojna, przestawił wajchę – Niemcy przestały być krajem pacyfistów.



Padre i wina

Polscy ortodoksyjni biskupi muszą triumfować. Lewicujący papież, otwarty na świat i zachodzące w nim zmiany, niewojujący z dżenderem, ale wreszcie popełnił poważny błąd. Chodzi o niezwykle wstrząsliwą wypowiedź Franciszka o Rosji, która napadła na Ukrainę i mordowała jej mieszkańców. „Wszyscy jesteśmy winni” – te słowa papieża zapiszą się niechlubnie w historii. Powoli zaostrza stanowisko, odważnie krytykuje Rosję. Watykańskie młyny miały powoli...



Patriot

Polsko-niemiecka kość niezgody, a jednocześnie dowód ukraińsko-amerykańskiej zażyłości. Patrioty to najbardziej znany amerykański system antyrakietowy. W 1990 r. chronił Izrael przed wystrzelanymi przez Saddama Husajna scudami. Broni nieba nad Koreą Południową, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Tajwanem. Po tragedii w Przewodowie Niemcy zaproponowali przerzucenie takich rakiet z obsługą do wschodniej Polski. Rząd PiS zgodził się na tę ofertę dopiero pod amerykańską presją, a Amerykanie zapowiedzieli przekazanie baterii Ukrainie.

Patron i Stiepan

Nie tylko Ukraińcy walczą wszystkimi siłami o swoją ojczyznę. W pomoc zaangażowani są też nasi bracia mniejsi. Kot Stiepan z Charkowa zbiera na Instagramie środki na pomoc dla zwierząt, które ucierpiały na skutek wojny, a pies Patron pomaga ukraińskim żołnierzom w wykrywaniu min lądowych. Droga do zwycięstwa Ukraińcy kroczą ramię w ramię. I łapa w łapę.



Pisarka

W literaturze polskiej ten rok należał do Zyty Rudzkiej. Opublikowała bezkompromisową, pisaną – jak sama mówi – „językiem frontowym” powieść „Ten się śmieje, kto ma zęby”, historię byłej fryzjerki męskiej Wery, która owdowiała i wyrusza na miasto, by znaleźć buty, strój i trumnę dla nieboszczyka oraz wódkę na stypę. Wspañiała, porywająca biedaodyseja.



Plot

Kosztował ponoć 1,5 mld złotych, ale jak to bywa ze wszystkimi liczbami podawanymi przez naszą władzę, z pewnością i tę należy podciągnąć w górę, bo być może i tam maczali palce jacyś instruktorzy narciarstwa. Plot ma 187 km i broni naszego pięknego kraju przed najeźdźcą, czyli kobietami z dziećmi, ofiarami działań wojennych i biedakami ze Wschodu. To plot na miarę możliwości PiS.



Poczobut Andrzej

Nasz dziennikarz, opozycjonista, który na Białorusi walczy o wolność i demokrację. Przebywa w więzieniu już blisko dwa lata, a na żądania świata o jego uwolnienie Aleksander Łukaszenka, pobratymca Putina, pozostaje ślepy i głuchy.

Polish Ekspres

Jakie trzeba mieć osiągnięcia, by zostać szefem IPN-u? Niemale. Dr Karol Nawrocki to mistrz pierwszego kroku bokserskiego, umie wykazać się politycznie. Przejął po zdolniejszych Muzeum II Wojny Światowej, zmienił ją propagandowo i stołek IPN gotowy. Tu okazał się nie tylko zdolnym bokserem, ale i mistrzem odsłaniania tablic, przecinania wstęg i zagranicznych wojaży. Podczas półtorarocznego urzędowania odwiedził już nawet Zimbabwe i RPA. Polityka kadrowa? Wzorcowa! Wywalił z roboty wybitnego badacza „żołnierzy wyklętych” za krytyczny tekst o jednym z nich. A nowym wicedyrektorem wrocławskiego oddziału IPN zrobił kumpla z ringu. Nie jest on wprawdzie historykiem, ale za to potrafi nieźle przyłożyć – jako zawodowiec walczył pod pseudonimem „Polish Ekspres”!



Prezydent

Dwa słowa: Andrzej Duda. Człowiek, który odbił od swojej formacji i dzięki doborowi mądrych doradców uznał, że los kraju jest ważniejszy niż partia. Jego umiarkowane decyzje i umiejętności koncyliacyjne są zaporami przed niszczeniem prawa, utrzymuje zdrowe relacje z sąsiadami i wzmacnia siły zbrojne w obliczu wojny w Ukrainie. Chciałoby się przeczytać taką notatkę bez sarkazmu, prawda?



Propaganda

Odszedł ze stanowiska prezesa TVP człowiek, który pokazał dziennikarzom, jak należy wykonywać ten zawód w sytuacji, gdy nie ma się dostępu do lustra. W nagrodę leci do USA, bo dostał fuchę w Banku Światowym. Panie Jacku, życzymy tam wielkiego lustra. Każdego ranka, przy goleniu.

Ronaldo



To był jego ostatni mundial, na który przyjechał, by zrobić sobie zdjęcie, bo lubi, gdy robi mu się zdjęcia. I zrobił, jak idzie do szatni i płacze.



Ryby

Dzięki naszej władzy do końca nie wiadomo, co wydarzyło się w 2022 roku na Odrze. Dziennikarzom, samorządom, niemieckim urzędnikom udało się ustalić, że katastrofa ekologiczna to splot zmian klimatycznych, zaniedbań, ścieków płynących rzeką. Rząd PiS, uczulony na złe informacje, które mogłyby zepsuć paski w TVP, że „Polska jest piękna”, milczał i kręcił. Czyli jak zawsze – płynął z szambem.



Rosyjski s...finks

Podobno jest ciężko chory i zaraz umrze. Podobno ma coraz więcej wrogów, którzy go obalą. Podobno spadł ze schodów i narobił pod siebie. Fejki mieszają się z diagnozami, ale rosyjski sfinks, Władimir Putin, trwa na Kremlu i ani myśli ustępować czy oddawać władzę, i nadal lubi go Janusz Korwin-Mikke. Rosjanie jakoś nie szykują się, by go obalać, a Zachód ciągle obawia się rosyjskiego nuklearnego arsenału. W przyszłym roku Putin będzie słabł. To jasne. Tylko czy coś od tego się zmieni?



sanah

„Nie chcę się zatrzymywać” – mówiła Zuzanna Jurczak i tak jest. Sprawia wrażenie osoby delikatnej, ale konkurencję na polskiej scenie muzycznej rozjeżdża niczym walec. Wydała kolejny album, „Uczta”, z interpretacjami wierszy Adama Mickiewicza, Adama Asnyka, i młoda publiczność pokochała poezję. Wokalistka powinna za to dostać tekę ministrowi edukacji.



Sędzia

Polacy wysłali na mundial w Katarze dwie ekipy: piłkarską i sędziowską. Ta pierwsza przez cały turniej zastanawiała się, czy grać czy może jednak zostać w szatni, i wyszło trochę tak, trochę tak, kręcili się gdzieś w okolicach autu. Turniej gwizdnął im Szymon „Simon” Marciniak, jedyny polski sędzia z orzelkiem na piersi, którego przyjmował z uśmiechem prezydent i którego nie musimy się wstydić.



Superbohater

W tym roku przeszedł metamorfozę. Z komika, któremu dziwnym trafem udało się uwieść wyborców, Wołodymyr Zelen-ski przeistoczył się w herosa wolnego świata. Nie bał się rosyjskich bomb ani nasłanych przez Putina zabójców, gdy Amerykanie proponowali mu ewakuację. Odpowiedział: „potrzebuję amunicji, a nie przejażdżki”. By udowodnić światu, że nie uciekł, filmował się podczas spacerów po bombardowanym Kijowie. Jaką metamorfozę przejdzie heros, gdy wojna się skończy? Pozostanie demokratą, będzie w stanie usunąć się w cień? Być może w 2023 r. poznamy część odpowiedzi na to pytanie.

Szczesny

Polak, który obronił karne-go Messiego. I tak zapamiętajmy mundial w Katarze, no może jeszcze gwizdy sędziego Marciniaka, bo reszta... A dajcie ludzkie spokój...



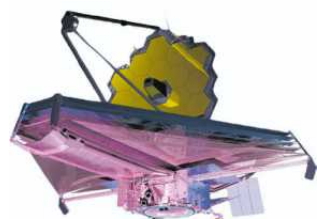
Szpieg Adamczyk

Piotr Adamczyk dał się poznać zagranicznym widzom z jak najlepszej, aktorskiej strony – wystąpił u boku hollywoodzkich wyjadaczy. W serialu „Nocne niebo” wcielił się w postać Siergieja Nikulowa, dyrektora radzieckiej agencji kosmicznej Roskosmos oraz podwójnego szpiega.



Szymczyk i granatnik

Komendanta głównego policji możemy uznać za kolejne, po Obajtku, magister Przyłębskiej, ministrowie Sasinie – cudowne dziecko PiS, zgodnie z dewizą, że czego się nie chwyci, to porąbie w drzazgi. W pokoju komendanta poleciał nawet sufit, także wyższy poziom rąbania. Komenda Główna próbowała zwać winę na Ukraińców, że to oni dali szefowi granatnik przerobiony na głośniki, ale cóż, jaki komendant, taki z głośników komunikat. Mamy jednak w tym dramacie z PiS-em trochę szczęścia – cieszymy się, że komendant nie dostał w prezencie czołgu.



Teleskop Webba

Zajmuje punkt obserwacyjny oddalony o 1,5 mln km od Ziemi. Stamtąd ma zapierający dech widok na cały kosmos. Pierwsze jego zdjęcie zaprezentował w lipcu prezydent Joe Biden bezpośrednio z Białego Domu. Webb pokazał najdalszy zakątek kosmosu, jaki dotąd mogliśmy ujrzeć z Ziemi, a potem – niemal co tydzień – ujawniał kolejne spektakularne zdjęcia mgławic, galaktyk i planet. Działa dopiero od pół roku, kosztował 10 mld dol., ale już wiadomo, to jedna z najlepszych inwestycji w dziejach ludzkości.



Urban legend

Gdy spojrzeć na jego życie z dystansu Powązek, na których został pochowany, to sam Jerzy Urban by się zdziwił, że nigdy nie dostał w twarz, a tylko napis na swoim dawnym bloku „Urban ty świno”. Dla jednych kanalia, bo rzecznik rządu w PRL, dla innych najlepszy polski satyr, który przebił swoim ostrym piórem balony patosu, zwłaszcza bogoojczyźniane.

Węgiel

Dobro narodowe, polskie złoto, może jeszcze nie wiemy, czarny krwiobieg, paliwo prawdziwego patrioty? Kto pamięta, gdy PiS obiecywał, że mamy go na 200 lat? Ale czego PiS nie obiecywał... W dobie katastrofy klimatycznej, której dylematy zostały zmiecione przez wojnę, trzeba było wrócić do ogrzewania węglem, a tu kłops. Węgla nie było, importu nie było, za to ceny były – po 3 tysiące złotych za tonę. Znow się nie udało, chociaż w TVP mówili, że węgiel jest, ale tam wszystko powiedzą, byle czarne było białe.



Wielkie szycie

Wrócił, wrócił... Pokrzyczał na prezesa, obiecał, że rozliczy, na razie naprawia maszynę do szycia koalicji, ale coś nitki się płaczą, ścieg szarpany, koalicja w Najważniejszych po Wojnie Wyborach między czerowaniem a fastrygą. Z dziennikarskiego obowiązku przyglądamy się Donaldowi Tuszkowi czujnie, z obywatelskiego życzymy, by wróciła z nim demokracja.



Wyrzucanie

Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny znajduje się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej – głosi konstytucja. I rząd PiS szczególnie intensywnie opiekował się Ludmiłą Kozłowską i Bartoszem Kramkiem, polsko-ukraińskim małżeństwem opozycjonistów – w 2017 r. deportował Ludmiłę z Polski. Chciał ją też wpisać na czarną listę Schengen, ale Unia nie pozwoliła i dziś Ludmiła żyje w Brukseli. Władze PiS próbowały zakazać jej mężowi opuszczania kraju, żeby nie jeździł do żony, ale niezależny sąd na to nie pozwolił. A na początku grudnia orzekł ostatecznie, że Ludmiła nie stanowi zagrożenia dla Polski. Co teraz robi władza?



Ziobro

Były premier Leszek Miller powiedział na ten temat w zasadzie wszystko, ale dodajmy od siebie, że takiego... [Z powodu zbyt dużej ilości słów nieakceptowalnych w słowniku ludzi kulturalnych ta część notatki została usunięta przez korektę i bardziej odpowiedzialnych redaktorów]



Złoty człowiek

Życzymy sobie, by Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego, wsparł ministra edukacji w pracy nad kolejnym podręcznikiem dla dzieci i młodzieży, tym razem z ekonomii. Jako że samozadowolenie, także intelektualne szefa NBP, mimo galopującej inflacji i kursu złotego nie maleje, jest nadzieja, że podrechnik będzie jeszcze zabawniejszy niż HIT.

FOT. EAST NEWS, AP, AGENCJA WYBORCZA.PL. MAT. PRASOWE

WSPRZEDAŻY



TEMAT NUMERU Jak się dogadać?

WHITNEY HOUSTON

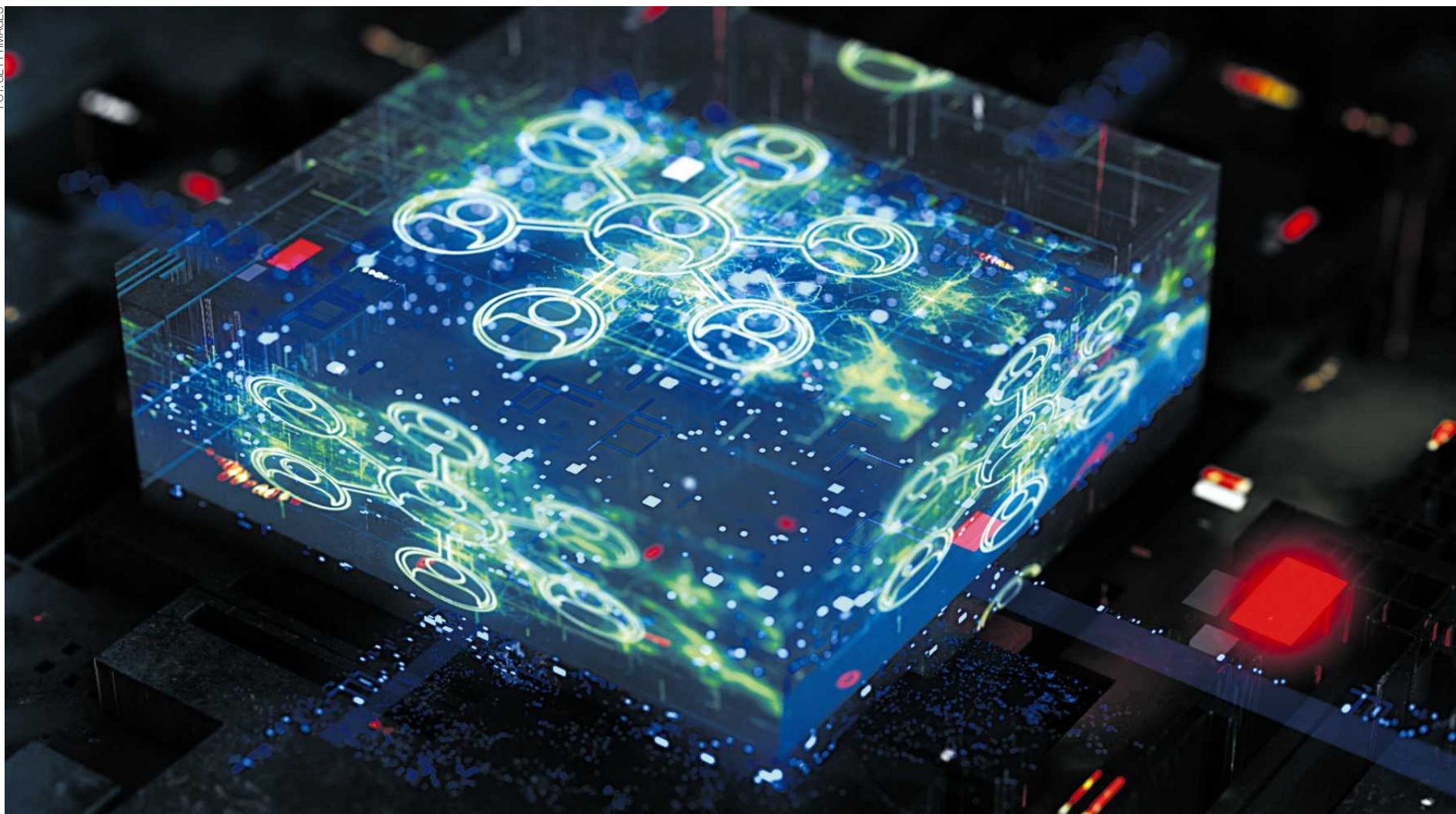
Mitość, przyjaźń, kłopoty

PSYCHOLOGIA Porozmawiajmy o seksie

wysokieobcasy

DEMOKRACJA ZŁAPANA W SIEĆ

Dzięki mediom społecznościowym powstają ruchy protestacyjne, które chcą niszczyć istniejące instytucje, ale nie oferują nic w zamian



Jonathan Haidt

Jak się żyło na gruzach wieży Babel? Księga Rodzaju podaje, że potomkowie Noego zbudowali wielkie miasto w kraju Szinear, wieżę z wierzchołkiem w niebiosach, by w ten sposób „uczynić sobie znak”. Zeżłony ludzką pychą Bóg powiedział: „Są oni jednym ludem i wszyscy mają jedną mowę, i to jest przyczyną, że zaczęli budować. A zatem w przyszłości nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić. Zejdźmy więc i pomieszajmy tam ich język, aby jeden nie rozumiał drugiego!”.

Pismo nie mówi, że zniszczył wieżę, ale wedle wielu popularnych interpretacji tak uczynił, więc zachowajmy w pamięci dramatyczny obraz: ludzie błagający się wśród ruin, nieumiejący się dogadać, skazani na wzajemne niezrozumienie.

Historia wieży Babel jest najlepszą, jaką znalazłem, metaforą tego, co stało się w Ameryką w drugiej dekadzie XXI wieku, metaforą podzielonego kraju, w którym dziś żyjemy. Coś bardzo nagle poszło bardzo nie tak. Jesteśmy zdezorientowani, brak nam wspólnego języka, nie umiemy dostrzec jednej prawdy. Żyjemy odcięci od siebie i od przeszłości. (...)

WSPÓŁCZESNA WIEŻA BABEL?

Historia jest ukierunkowana – rośnie skala współpracy. Widać ten trend w ewolucji biologicznej, kolejnych przełomach, dzięki którym pojawiły się organizmy wielokomórkowe, rozwijając następnie nowe relacje symbiotyczne. Widać to też w ewolucji kultury, o czym pisał Robert Wright w książce „Non-zero. Logika ludzkiego przeznaczenia”. Wykazał, że na historię składa się seria przełomów powodowanych przez rosnącą gęstość zaludnienia i nowe technologie (jak pismo, sieć dróg, prasa drukarska) otwierające nowe perspektywy wzajemnie korzystnego handlu i wymiany naukowej. Konflikty o sumie zerowej – takie jak wojny religijne, które wybuchły, kiedy za sprawą druku rozlały się po Europie heretyckie idee – słuszniej byłoby uznać za chwilowy krok wstecz, a nawet integralny element postępu (według Wrighta wojny religijne umożliwiły powstanie nowoczesnych państw narodowych i społeczeństwa tzw. światłych obywateli). Prezydent Bill Clinton chwalił Wrighta za optymistyczną wizję przyszłej ściślejszej współpracy, którą zapewniły stały postęp technologiczny.

Ilustracją tezy Wrighta był internet lat 90. z jego czatami, forami dyskusyjnymi i pocztą elektroniczną, podobnie jak pierwsza generacja platform społecznościowych, które pojawiły się około 2003 roku. Myspace, Friendster i Facebook umożliwiały komunikację z przyjaciółmi i nieznanymi o wspólnych zainteresowaniach, darmowy dialog na niewyobrażalną skalę. W roku 2008 rynek zdominował Facebook z ponad 100 milionami użytkowników miesięcznie i blisko 3 miliardami dziś. W pierwszej dekadzie stulecia wierzone, że media społecznościowe są dobrodziejstwem dla demokracji. Jaki dyktator narzuci swą wolę skomunikowanym obywatelom? Jaki reżim zbuduje mur, który powstrzyma internet?

Apogeum techno-demokratycznego optymizmu przypadło na rok 2011, który zaczął się arabską wiosną, a skończył globalnym ruchem Occupy. Wtedy też tłumacz Google’a pojawił się na praktycznie wszystkich smartfonach, więc można powiedzieć, że był to rok, w którym ludzkość odbudowała wieżę Babel. Bardziej niż kiedykolwiek zbliżyliśmy się do bycia „jednym ludem”, przewyciężywszy klątwę językową podziału. Techno-demokratyczni optymiści wierzyli, że to początek tego, na co stać ludzkość.

Szykując w lutym 2012 roku pierwszą ofertę publiczną Facebooka, Mark Zuckerberg przypomniał tamte niezwykle czasy i przedstawił plany na przyszłość. Jak pisał w liście do inwestorów: „dziś nasze społeczeństwo osiągnęło kolejny punkt zwrotny”. Facebook „zrewolucjonizuje to, jak ludzie rozpowszechniają i odbierają informacje”. Da im „moc do dzielenia się”, szeringu, dzięki czemu „po raz kolejny odmienia wiele kluczowych instytucji i branż”.

Przez dziesięć lat Zuckerberg osiągnął dokładnie to, co obiecał. Zmienił sposób, w jaki

wysyłamy i odbieramy informacje, odmienił nasze instytucje i powiódł nas za rubikon. Ale wyszło inaczej, niż oczekiwał.

WSZYSTKO SIĘ WALI

Historyczne cywilizacje przeciwdziałały narastającym w toku rozwoju tendencjom odśrodkowym, polegając na wspólnocie krwi, wspólnych bogach i wspólnym wrogu. Ale co spaja wielkie i zróżnicowane, świeckie demokracje, takie jak Stany Zjednoczone, Indie, współczesna Wielka Brytania i Francja?

Nauki społeczne wskazują trzy główne siły konsolidujące sprawne demokracje: kapitał społeczny (rozbudowane sieci społeczne z wysokim poziomem zaufania), silne instytucje i wspólna historia. Media społecznościowe uderzyły w nie wszystkie. Aby zrozumieć ten proces, przyjrzyjmy się ich ewolucji, zwłaszcza po roku 2009.

We wczesnym wcieleniu platformy takie jak Myspace i Facebook były względnie nieszkodliwe. Pozwalały użytkownikom tworzyć strony i wstawiać zdjęcia, aktualności rodzinne i linki do zwykłe statycznych stron przyjaciół i ulubionych zespołów. Wczesne media społecznościowe można uznać za kolejny krok na długiej drodze technologicznego postępu – od poczty i telefonii, po e-mail i SMS-y – które pozwoliły ludziom osiągnąć odwieczny cel, jakim jest budowanie więzi społecznych.

Jednak z czasem użytkownicy platform nauczyli się dzielić szczegółami swojego życia prywatnego z nieznanymi i korporacjami. W artykule w „The Atlantic” z 2019 roku opisaliśmy z Tobiasem Ro-se'em-Stockwellem ich rosnącą biegłość w autoprezentacji i zarządzaniu swoją internetową osobowością – coś, co może imponować, ale nie pogłębi przyjaźni tak jak prywatna rozmowa telefoniczna.

Media społecznościowe nauczyły użytkowników poświęcać więcej czasu na prezentację, a mniej na komunikację, przygotowując grunt pod największy przełom roku 2009, polegający na intensyfikacji „wirusowej” dynamiki.

Dotąd Facebook oferował użytkownikom prostą oś czasu, niekończący się strumień wpisów publikowanych przez znajomych i kontakty – najnowsze na górze, najstarsze na dole strony. Często przytłaczało to rozmianami, ale było dokładnym odbiciem tego, co publikowali inni. W 2009 roku zaczęły się zmiany. Facebook dał użytkownikom możliwość publicznego „polubienia” postu jednym kliknięciem. W tym samym roku Twitter wprowadził potężniejsze narzędzie, przycisk „retweet” umożliwiający publiczne poparcie postu, a zarazem udostępnianie go wszystkim obserwującym. Facebook wkrótce skopiował tę innowację, wprowadzając przycisk „udostępni” (na smartfonach od 2012 roku). Przyciski „lubię to” i „udostępni” szybko stały się standardem większości platform.

Wkrótce przycisk „lubię to” zaczął generować dane o tym, co najskuteczniej przyciąga uwagę użytkowników, a wtedy Facebook opracował algorytm dostarczające im treści, które najprawdopodobniej zaowocują polubieniem lub inną reakcją, z czasem także udostępnieniem. Dalsze badania wykazały, że najczęściej udostępniane są posty wywołujące emocje, a zwłaszcza gniew na „obcych”.

W roku 2013 media społecznościowe były już rodzajem gry o innej niż w roku 2008 dynamice. Masz zdolności lub szczęście? Możesz stworzyć post, który szerzy się jak wirus i da ci kilkunniową sławę online. Jeśli się pomylisz, utoniesz w nienawistnych komentarzach. Twoje posty przyniosą ci sławę lub hańbę dzięki kliknięciom tysięcy nieznajomych, a sam generujesz tyśiące kliknięć w tej grze.

Nowa gra promowała nieuczciwość i dynamikę tłumy. Użytkownicy kierowali się nie tyle swoimi rzeczywistymi preferencjami, ile pamięcią o nagrodach i karach, przewidując reakcje innych na wstawiany post. Jeden z inżynierów Twittera, który opracował przycisk „retweet”, z czasem przyznał, że żałuje tego, co zrobił, bo Twitter stał się gorszym miejscem. Obserwując tłumy gromadzące się za sprawą nowego narzędzia, pomyślał: „Może daliśmy właśnie czterolat-kowi naladowaną broń do ręki”.

Jako psycholog społeczny badający emocje i moralność w polityce widziałem to samo. Ulepszone platformy zostały zaprojektowane prawie idealnie do tego, by wydobywać nasze najbardziej moralizatorskie i najmniej myślące „ja”. Fala oburzenia była jak tsunami.

Przed taką właśnie spazmatyczną eksplozją gniewu chciał nas chronić James Madison, przygotowując projekt amerykańskiej konstytucji. Jej twórcy byli znakomitymi psychologami społecznymi. Znali piętę achillesową demokracji, zależnej od zbiorowego osądu demokratycznej wspólnoty i podatnej na „zawirowania i słabość niesfornych namiętności”. Kluczem do projektu trwałej republiki były wbudowane w nią mechanizmy spowalniające, które studzą emocje, promują kompromis i zapewniają przywódcom pewien dystans wobec gorączkowej doraźności, gwarantując jednocześnie regularną wyborczą odpowiedzialność rządzących przed rządzonymi.

Firmy technologiczne rozwijające wirusową dynamikę w latach 2009–12 zawiodły nas w sam środek koszmaru Madisona. W szeroko cytowanych komentarzach pisał o wrodzonej ludzkiej skłonności do „frakcyjności”, czyli tendencji do dzielenia się na grupy i partie, których „wzajem-

na nienawiść” sprawia, że „o wiele bardziej wolą dręczyć się i gnębić nawzajem, niż współpracować dla wspólnego dobra”.

Ale kontynuując wywód – o czym rzadziej się mówi, a co nie mniej istotne – pisze Madison o podatności demokracji na banal. Zauważa, że ludzie tak kochają się dzielić, że „nie trzeba im żadnej istotnej okazji, że najgłupsze i wydumane różnice wystarczą, by rozpałić wrogie namiętności i wzniecić najgwałtowniejsze konflikty”. (...)

To nie tylko strata czasu i czytanie po lebkach – to nieustanna erozja zaufania. Autokracja może propagandą lub strachem wymuszać pożądane zachowania, ale demokracja potrzebuje powszechnego uznania prawomocności reguł, norm i instytucji. Nie powinniśmy ślepo i bezwarunkowo ufać jakiegokolwiek osobie lub organizacji. Kiedy jednak obywatele tracą zaufanie do wybranych przez siebie przywódców, do służby zdrowia, sądów, policji i uniwersytetów, kiedy przestają wierzyć w uczciwość wyborów, każdą decyzję można zakwestionować, a każde wybory stają się walką na śmierć i życie o ocalenie kraju przed drugą stroną. W najnowszym Barometrze Zaufania agencji Edelman na szczycie rankingu trafiły stabilne i sprawne autokracje, Chiny i Zjednoczone Emiraty Arabskie, zaś skłócone demokracje, jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Hiszpania i Korea Południowa, na dół listy (choć wyżej niż Rosja).

Z niedawnych badań wynika, że media społecznościowe faktycznie niszczą zaufanie do rządów i źródeł informacji – ogólniej, do ludzi i instytucji. W raporcie podsumującym wyniki badań socjologowie Philipp Lorenz-Spreen i Lisa Oswald doszli do wniosku, że „zdecydowana większość stwierdzonych związków między korzystaniem z mediów cyfrowych a zaufaniem świadczy o ich szkodliwym wpływie na demokrację”. Wyniki są niejednoznaczne – niektórzy bada-

bija. A przecież w latach 2009-12 Facebook i Twitter rozdały na całym świecie około miliarda pistoletów strzałkowych. I odtąd strzelamy nimi do siebie.

Media społecznościowe dały głos tym, którzy go dotąd nie mieli. Ułatwiły pociągnięcie do odpowiedzialności ludzi potężnych – polityków, biznesmenów, artystów, uczonych i wielu innych. Przed Twitterem w anonimowych postach można było piętnować seksualne wykroczenia, ale sukces na skalę #MeToo trudno sobie wyobrazić bez „wirusowych ulepszeń” zaoferowanych przez wielkie platformy. Jednak skutkiem turbosprawiedliwości mediów społecznościowych były też trojakiemu rodzaju niesprawiedliwości i polityczne dysfunkcje.

Po pierwsze, medialny pistolet strzałkowy daje władzę trollom i prowokatorom, a ucisza przyzwoitych. Politolodzy Alexander Bor i Michael Bang Petersen ustalili, że na platformach społecznościowych mała grupa aspirująca do wyższego statusu skłonna jest sięgnąć po agresywne środki. Osoby te przyznają, że w internetowych dyskusjach często klną, wyszydzaają przeciwników i bywają blokowane przez innych użytkowników lub zgłaszane za nie stosowne wpisy. W kolejnych ośmiu badaniach Bor i Petersen stwierdzili, że u większości wejście do sieci nie powoduje wzrostu agresji ani wrogości, natomiast nielicznym agresorom pozwala atakować znacznie liczniejsze grono. Jak ustalili, kilku „świrów” potrafi zdominować forum dyskusyjne, bo „nieświry” łatwo wyłączają się z politycznych dyskusji online. Kolejne badania wykazały, że nieproporcjonalnie często ofiarą padają kobiety i czarni – cyfrowa agora jest dla nich mniej przyjazna.

Po drugie, media społecznościowe oferują więcej władzy i głosu politycznym ekstremom, a mniej umiarkowanej większości. W latach 2017-18 w ramach projektu

Jak powiedział w wywiadzie w 2018 roku były doradca Donalda Trumpa Steve Bannon, sposobem na media jest „zalanie ich g...”

„Hidden Tribes” prodemokratyczna grupa More in Common przeprowadziła badanie kwestionariuszowe wśród ośmiu tysięcy Amerykanów, wyróżniając siedem kategorii osób o podobnych przekonaniach i zachowaniach. Najbardziej prawicowa grupa, „zagorzali konserwatyści”, stanowiła 6 proc. amerykańskiej populacji. Z kolei usytuowani najdalej na lewo „postępowi aktywiści” to 8 proc. Ci ostatni przodowali w zdecydowanie w mediach społecznościowych jako najpłodniejsi: w minionym roku 70 proc. udostępniło treści polityczne. Tuż za nimi uplasowali się „zagorzali konserwatyści” z wynikiem 56 proc.

Obie skrajne kategorie okazały się zaskakująco podobne. Składają się, w odróżnieniu od pozostałych, głównie z białych i bogatych, co sugeruje, że Amerykę rozdziera wojna dwóch niereprezentatywnych dla szerokiego ogółu odłamów elity. (...) I po trzecie, dając każdemu pistolet do ręki, media społecznościowe zachęcają do ferowania wyroków bez uczciwego procesu. Na platformach pokroju Twittera jak na Dzikim Zachodzie roi się od nieodpowiadających przed nikim samozwańczych szeryfów. Udany atak owocuje lawiną polubień i kolejnymi atakami. W ten sposób platformy z wirusowym turbodoładowaniem upowszechniają praktykę zbiorowego karania za drobne lub wydumane wykroczenia, z całkiem realnymi konsekwencjami, m.in. utratą pracy i samobójstwami zaszczytów niewinnych ludzi. Agora rządząca się niekontrolowaną przez procedury prawne dynamiką tłumy

nie ceni sprawiedliwości ani otwartości – jej produktem jest społeczeństwo, które nie dostrzega kontekstów i za nic ma wartości takie jak współmierność kary, litość i prawda.

STRUKTURALNA GŁUPOTA

Po upadku wieży w dyskusjach i sporach narasta zamęt. Wszechobecnym wrogiem dobrego myślenia jest tzw. efekt potwierdzenia, ludzka skłonność do szukania dowodów potwierdzających to, co chcemy potwierdzić. Jeszcze przed pojawieniem się mediów społecznościowych wyszukiwarki wzmacniały efekt potwierdzenia, ogromnie ułatwiając znajdowanie dowodów potwierdzających absurdalne przekonania i teorie spiskowe – że Ziemia jest płaska, że rząd USA zorganizował ataki 11 września itp. Media społecznościowe znacznie pogorszyły tę sytuację.

Najlepszym lekarstwem na efekt potwierdzenia jest rozmowa z tymi, którzy myślą inaczej – konfrontacja z kontrargumentami i innymi dowodami. Jak zauważył John Stuart Mill: „Ten, kto zna tylko swoje własne stanowisko w jakiejś sprawie, nie zna jej dokładnie”, i zalecał, byśmy odmienne opinie poznawali w wersji „osób, które rzeczywiście w nie wierzą”. Ci, którzy myślą inaczej i gotowi są rozmawiać, mimo że się z nami nie zgadzają, przydają nam mądrości niemal tak, jakby byli przedłużeniem naszych mózgów. Ci zaś, którzy próbują uciszyć lub zastraszyć krytyków, głupieją prawie tak, jakby strzelali z pistoletu we własny mózg.

W książce „The Constitution of Knowledge” [„Struktura wiedzy”] Jonathan Rauch opisuje historyczny przełom, który pozwolił społeczeństwu Zachodu stworzyć „epistemologiczny system operacyjny” – instytucje służące generowaniu wiedzy dzięki interakcji stronniczych, poznawczo ułomnych jednostek. Prawo angielskie rozwinęło skargo-

wy model procesu pozwalający stronniczemu adwersarzom prezentować różne aspekty sprawy przed bezstronną ławą przysięgłych. Gazety pełne kłamstw zastąpiło profesjonalne dziennikarstwo kierujące się normami nakazującymi wielostronne naświetlenie tematu, redakcyjną ocenę zebranego materiału i weryfikację faktów. Przypominające klasztory średniowieczne instytucje, jakimi były uniwersytety, zamieniły się w kombinaty badawcze, tworzące sieć, w ramach której uczeni wysuwają poparte dowodami hipotezy, wiedząc, że ich koledzy na całym świecie chętnie zdobędą sławę, obalając je. (...)

Jednak system ten, jak zauważa Rauch, „nie jest samowystarczalny, opiera się na wielu delikatnych społecznych uwarunkowaniach i sieci umów, które trzeba rozumieć, potwierdzać i chronić”. Co zatem się dzieje, kiedy kondycja instytucji się pogarsza, a wewnętrzna debata milknie wskutek ideologicznej uniformizacji lub lęku przed wyrażeniem głosu odrębnego?

Myślę, że to właśnie stało się udziałem wielu kluczowych instytucji Ameryki od połowy do końca pierwszej dekady XXI wieku. Instytucje te en masse zgłupiały, bo media społecznościowe zaszczyliły tworzącym je ludziom chroniczny lęk przed trafieniem na celownik. Zmiana była najwyraźniejsza na uniwersytetach, w towarzystwach naukowych, sektorze kreatywnym i organizacjach





politycznych na szczeblu krajowym, stanowym i lokalnym. Była wszędzie, ustanawiała niemal z dnia na dzień wsparte nową polityką wzory zachowań. Pojawienie się wszechobecnych, wirusowo doładowanych mediów społecznościowych sprawiło, że jedno słowo profesora, polityka lub dziennikarza – nawet w dobrej intencji – mogło powodować burzę w mediach społecznościowych i natychmiastowe zwolnienie lub długie wewnętrzne śledztwo. W wiodących instytucjach kraju zapanowała niezdrowa autocenzura. Wykładowcy nie wazyli się krytykować według nich bezzasadnych lub błędnych pomysłów i idei – także tych, które zgłaszali na zajęciach studenci.

Instytucja, która karze dysydentów, strzeła sobie prosto w głowę.

Na prawicy i lewicy ogłupienie przebiega inaczej, bo aktywiści preferują inne narracje i inne święte wartości. Z cytowanego badania „Hidden Tribes” wynika, że „zagorzali konserwatyści” częściej niż inni wyznają poglądy bliskie autorytarnym. Łączy ich narracja, wedle której Ameryce zagraża nieustannie wróg zewnętrzny i wewnętrzny, a życie jest dla nich walką patriotów ze zdrajcami. Według politolożki Karen Stenner, na której pracy opierał się projekt „Hidden Tribes”, psychologicznie różnią się oni od większej grupy „konserwatystów tradycyjnych” (19 proc. populacji), dla których liczą się porządek, przyzwoitość i powolna, ale nie radykalna zmiana.

Słowa Donalda Trumpa mają sens wyłącznie w ramach narracji zagorzałych konserwatystów – od przerażającej wzmianki o „meksykańskich gwałcicielach” na początku kampanii wyborczej po ostrzeżenie: „Jeśli nie będziecie walczyć jak diabli, wasz kraj przepadnie”.

Tradycyjną karą za zdradę jest śmierć, stąd okrzyk bojowy: „Powiesić Mike’a Pence’a!”. Na prawicy grożenie śmiercią, często z anonimowych kont, skutecznie zastrasza tradycyjnych konserwatystów, pozwala m.in. pozbyć się lokalnych komisarzy wyborczych, którzy nie zapobiegli „kradzieży wyborów”. Fala gróźb pod adresem republikańskich „dysydentów” w Kongresie skłoniła wielu umiarkowanych członków do rezygnacji lub milczenia, co oddaliło jeszcze bardziej tę partię od konserwatywnej tradycji, konstytucji i rzeczywistości. Republikanie nazywają dziś brutalny atak na Kapitol „prawomocnym dyskursem politycznym”, a popiera go – a przynajmniej nie potępia – wiele pravicowych think tanków i instytucji medialnych.

O ogłupieniu prawicy świadczą najdobitniej liczne teorie spiskowe szerzone w pravicowych mediach, a obecnie też w Kongresie. Pizzagate, QAnon, wiara w mikroczipy w szczepionkach i ukradzione Donaldowi Trumpowi wyborcze zwycięstwo – trudno sobie wyobrazić, by którykolwiek z tych poglądów czy systemów przekonań zyskał bez Facebooka i Twittera aż taką popularność.

Strukturalna głupota uderzyła też mocno, choć nieco inaczej, w Demokratów. W otwartej walce między skrzydłem postępowym a bardziej umiarkowanymi frakcjami często wygrywają umiarkowani. Rzecz w tym, że lewica kontroluje wiodące instytucje szeroko pojętej kultury: uniwersytety, agencje informacyjne, Hollywood, muzea, reklamę, znaczną część Doliny Krzemowej, a także związki nauczycieli i kolegia nauczycielskie, które kształtują edukację w szkołach podstawowych i średnich. W wielu tych miejscach sprzeciw został stłumiony, a kiedy na początku drugiej dekady rozdano pistolety strzałkowe, wiele lewicujących instytucji zaczęło strzelać sobie w głowę. Niestety, były to głowy, które informują, uczą i bawią większość kraju.

Lewica końca XX wieku wierzyła w coś, co socjolog Christian Smith nazwał narracją „lewicowego postępu”, wedle której Ameryka, niegdyś koszmarnie niesprawiedliwa i represyjna, dzięki walce bohaterów i aktywistów zbliżyła się (i zbliża nadal) do spełnienia szlachetnej obietnicy założycielskiej. Opowieść ta, w którą łatwo wpisuje się lewicowy patriotyzm, była motywy przewodnim prezyden-



tury Baracka Obamy. Podziela to stanowisko „lewica tradycyjna”, w badaniu „Hidden Tribes” 11 proc., która wyznaje twarde humanitarne wartości, jest starsza niż średnia i w dużej mierze kieruje instytucjami kulturalnymi i intelektualnymi Ameryki.

Kiedy jednak wirusowo doładowane media społecznościowe rozdały pistolety strzałkowe, młodszy postępowi aktywiści oddali najwięcej strzałów, celując najchętniej w tychże starszych liderów. Zdezorientowani i wystraszeni liderzy rzadko kwestionowali nieliberalną narrację aktywistów, wedle której życie każdej instytucji jest odwieczną walką między grupami tożsamościowymi, grą o sumie zerowej o podział tortu, a ci na górze są tam, bo gnębili tych na dole. Nowa narracja jest sztywno egalitarna – strzeże równości wyników, a nie praw ani szans – i nie interesują jej prawa jednostki.

Uniwersalnym zarzutem wobec tych, którzy nie zgadzają się z nową narracją, nie jest „zdradca”, tylko „rasista”, „transfob” (...), lub inna szkarłatna litera piętnująca sprawcę jako tego, który nienawidzi lub krzywdzi wykluczonych. Stosowną karą za takie przestępstwo jest nie egzekucja, tylko publiczne zawstydzenie i społeczna śmierć.

Ogłupienie widać najlepiej, kiedy ktoś na lewicy odważy się wspomnieć o badaniu kwestionującym coś, w co chcą wierzyć postępowi aktywiści. Ktoś na Twitterze wymslił, jak skojarzyć dysydenta z rasizmem, a inni pójdą za nim. Oto przykład. W pierwszym tygodniu protestów po zabójstwie George’a Floyd’a, podczas których dochodziło niekiedy do przemocy, skądinąd postępowy analityk polityczny David Shor, zatrudniony wtedy w Civis Analytics, zamieścił na Twitterze link do badania pokazującego, że gwałtowne protesty w latach 60. prowadziły do wyborczej klęski Demokratów w okolicznych hrabstwach. Shor chciał pomóc, ale w atmosferze oburzenia został oskarżony o „antyczarność” i wkrótce zwolniony z pracy. Civis Analytics zaprzeczyło, jakoby powodem był jego tweet.

Sprawa Shora zyskała rozgłos, ale każdy na Twitterze znalazł dziesiątki takich przykładów i podstawową lekcję: nie kwestionuj poglądów, polityki ani poczynań własnej strony. A kiedy lewica tradycyjna milczy, jak w końcu latem 2020 roku, rządy przejmuje bardziej radykalna narracja postępowych aktywistów. Dlatego tak wiele instytucji tworzących „epistemologiczny system operacyjny” w tym i następnym roku przyłączyło się z dnia na dzień do ruchu „woke”, począwszy od fali kontrowersji i rezygnacji w „New York Timesie” i innych pismach, a kończąc na deklaracjach grup lekarzy i stowarzyszeń medycznych na temat sprawiedliwości społecz-

nej (American Medical Association i Association of American Medical Colleges radziły lekarzom, by mówili o dzielnicach i społecznościach „opresjonowanych” i „systemowo niedoinwestowanych”, a nie „bezradnych” i „biednych”), a także pośpiesznej rewizji programów nauczania w najdroższych szkołach prywatnych Nowego Jorku. (...)

BĘDZIE GORZEJ

Jak powiedział w wywiadzie w 2018 roku były doradca Donalda Trumpa Steve Bannon, sposobem na media jest „zalanie ich gównem”. Miał na myśli taktykę „motopompy fałszu”, wdrożoną przez rosyjskie programy dezinformacyjne, dla zmylenia, zdeorientowania i rozszoszczenia Amerykanów. W 2018 roku podaż gówna była ograniczona, bo wszystko, co wykraczało poza słaby produkt botów, musiał stworzyć człowiek.

Wkrótce sztuczna inteligencja dostarczać będzie wysoce wiarygodną dezinformację w nieograniczonych ilościach. Program GPT-3 jest już tak dobry, że można zadać mu temat i styl, a on wypłuje tyle tekstów, ile trzeba, zwykle doskonałych pod względem gramatyki i zaskakująco spójnych. (...) Dzięki mediom społecznościowym rosyjska Internet Research Agency mogła tanio i łatwo wymyślać fałszywe wydarzenia lub zniekształcać prawdziwe, podsycając wściekłość na lewicy i prawicy, często na tle rasowym. Z późniejszych badań wynika, że intensywna kampania zaczęła się na Twitterze w 2013 roku, by wkrótce objąć m.in. Facebook, Instagram i YouTube. Jednym z głównych celów było polaryzowanie amerykańskiej opinii publicznej i szerzenie nieufności – dzielenie nas wkładnie w tym słabym punkcie, który wskazał Madison.

Przed protestami w Hongkongu w 2019 roku Chiny skupiały się na platformach krajowych, takich jak WeChat. Teraz odkrywają, jak wiele mogą zdziałać za naprawdę małe pieniądze za pomocą Twittera i Facebooka w narastającym konflikcie z USA. (...)

W XX wieku zbiorowa tożsamość Ameryki jako kraju przewodzącego walce o bezpieczny dla demokracji świat była ważnym czynnikiem sprzyjającym utrzymaniu spójności kultury i państwa. W XXI wieku amerykańskie firmy technologiczne zmieniły świat, tworząc produkty, które powodują dziś erozję demokracji i wspólnej wizji, burzą współczesną wieżę Babel.

DEMOKRACJA NA RUINACH WIEŻY

Nie wrócimy do epoki przedcyfrowej. Normy, instytucje i formy politycznego uczestnictwa wykształcone w długiej epoce ko-

munikacji masowej tracą funkcjonalność, bo dzięki technologii wszystko dzieje się dziś o wiele szybciej, bardziej wielokierunkowo, i jakże łatwo ominąć profesjonalnych strażników. Amerykańska demokracja działa dziś na granicy przetrwania. Jeśli szybko nie dokonamy poważnych zmian, nasze instytucje, nasz system polityczny i nasze społeczeństwo mogą się załamać wskutek kolejnej wielkiej wojny, pandemii, krachu finansowego lub kryzysu konstytucyjnego.

Jakich zmian nam trzeba? Przeprojekowanie demokracji na potrzeby ery cyfrowej przekracza daleko moje możliwości, ale mogę zaproponować trzy rodzaje reform – trzy cele, które trzeba osiągnąć, jeśli demokracja ma przetrwać upadek wieży. Musimy wzmocnić instytucje demokratyczne tak, by przetrwały permanentną eksplozję gniewu i braku zaufania, zreformować media społecznościowe, żeby stały się społecznie mniej destrukcyjne, i głębiej wpoić następnemu pokoleniu reguły demokratycznego obywatelstwa.

Wzmocnienie demokratycznych instytucji. W dającej się przewidzieć przyszłości można oczekiwać wzrostu politycznej polaryzacji. Dlatego, cokolwiek robimy poza tym, musimy zreformować kluczowe instytucje tak, by mogły funkcjonować nawet wtedy, gdy gniew, dezinformacja i przemoc znacznie przekroczą obecny poziom.

Władzę ustawodawczą zaprojektowano z myślą o kompromisie, jednak ewolucja Kongresu, mediów społecznościowych i upolitycznionych kablowych kanałów informacyjnych sprawiła, że każdy deputowany, który szuka porozumienia z drugą stroną, może w ciągu paru godzin znaleźć się na celowniku ekstremistów z własnej partii, co zniweczy szanse zdobycia funduszy i zwiększy ryzyko wypadnięcia z listy w następnym wyborczym cyklu.

Reformy winny zredukować wpływy gniewnej ekstremy i uwrażliwić ustawodawców na potrzeby przeciętnego wyborcy w ich okręgu. Przykładem takiej reformy byłaby rezygnacja z zamkniętych praw wyborów partyjnych na rzecz ponadpartyjnych, otwartych praw wyborów, po których kilku najlepszych kandydatów przechodziłoby do wyborów powszechnych, opartych na tej samej ordynacji preferencyjnej. Pewna wersja tego systemu działa już na Alasce, co ułatwiło senatorce Lisie Murkowski przeciwstawienie się byłemu prezydentowi Trumpowi, którego faworyt był poważnym konkurentem w zamkniętych republikańskich praw wyborach, ale nie w warunkach otwartego współzawodnictwa. (...)

Reforma mediów społecznościowych. Demokracja nie przetrwa, jeśli jej agory, zamiast budować trwały konsensus, zamilkną ze strachu. Media społecznościowe wzmocniły skrajne skrzydła lewicy i prawicy, a także rodzimych trolli i obcych agentów, tworząc system, który przypomina nie tyle demokrację, ile rządy mistrzów agresji.

Ale jest w naszej mocy ograniczenie zdolności mediów społecznościowych niszczenia zaufania i podsycania strukturalnej głupoty. Reforma powinna utrudniać im zamaczanie agresywnych mównic, dając zarazem więcej szans tym, których grupa More in Common nazywa „zmęczoną większością”.

Przeciwnicy regulacji mediów społecznościowych twierdzą zwykle nie bez racji, że odgórne ograniczanie treści oznacza w praktyce cenzurę. Ale główny problem z mediami społecznościowymi nie polega na tym, że niektórzy publikują fejki i toksyczne treści – problemem jest niewyobrażalny przed rokiem 2009 zasięg fejków i nawołujących do oburzenia wpisów. Sygnalistka Facebooka Frances Haugen jest przeciwna zmasowanej – i w końcu daremnej – kontroli publikowanych treści. Zamiast tego sugeruje proste zmiany architektury platform, np. modyfikację funkcji „udostępnij” na Facebooku polegającą na tym, że po dwukrotnym

udostępnieniu trzecia osoba w łańcuszku musiałaby poświęcić trochę czasu na skopiowanie i wklejenie treści do nowego posta. Takie zmiany nie oznaczają cenzury – są światopoglądowo i treściowo neutralne, niezależnie od języka użytkownika. Nikomu nie zabraniają czegoś mówić – po prostu spowalniają szerzenie treści zwykle niekoniecznie prawdziwych.

Może największą zmianą ograniczającą toksyczność istniejących platform byłaby weryfikacja użytkownika jako warunek wstępny dostępu do algorytmicznego wzmocnienia, które oferują media społecznościowe.

Reguła „poznaj klienta” pozwala bankom i innym firmom unikać interesów z anonimowymi klientami, którzy piorą pieniądze z przestępczej działalności. Ta sama reguła powinna obowiązywać wielkie media społecznościowe. Nie znaczy to, że użytkownicy będą musieli publikować pod prawdziwym nazwiskiem, mogliby nadal używać pseudonimów. Znaczyłoby to tylko tyle, że zanim platforma przekaże czyjeś słowa milionom, będzie musiała sprawdzić – może za pośrednictwem strony trzeciej lub organizacji non profit – czy jesteś prawdziwym człowiekiem żyjącym w konkretnym kraju i czy jesteś dość dorosły, by używać platformy. Ten jeden wymóg usunąłby większość setek milionów botów i fałszywych kont zaśmiecających dziś wielkie platformy. Zapewne rządziej grożono by też śmiercią i gwałtem, mniej byłoby rasistowskich złośliwości, ogólniej, trollowania. Badania dowodzą, że szerzeniu się w sieci zachowań aspołecznych sprzyja poczucie użytkowników, że ich tożsamość jest nieznana i niemożliwa do wysledzenia.

Tak czy inaczej, coraz więcej wskazuje na to, że media społecznościowe szkodzą demokracji, co uzasadnia wzmocnienie organów nadzorczych, m.in. Federalnej Komisji Łączności i Federalnej Komisji Handlu. Jednym z pierwszych zadań powinno być zmuszenie platform do udostępniania danych i algorytmów naukowcom.

3 Przygotujmy następne pokolenie. Pokolenie Z – urodzeni w 1997 roku i później – nie odpowiada za cały ten burdel, ale go odziedziczy, a wstępne oznaki sugerują, że starsze pokolenia nie dały mu szansy, by sobie z tym radzić.

Dzieci podlegają dziś surowszym ograniczeniom, mają mniej szans na swobodną, niezaplanowaną zabawę, mniej czasu bez nadzoru poza domem, a więcej w sieci. Pomijając inne skutki tych zmian, one zapewne sprawiły, że wielu młodych dorosłych nie rozwinęło umiejętności potrzebnych do skutecznego zarządzania własnym życiem. Swobodna, nienadzorowana zabawa to sposób, w jaki natura uczy młode ssaki tego, czego będą potrzebować, gdy dorosną – u ludzi te umiejętności to współpraca, ustalanie i egzekwowanie zasad, kompromis, rozstrzyganie konfliktów i godzenie się z porażką. W znakomitym esej z 2015 roku ekonomista Steven Horwitz dowodził, że swobodna zabawa szkuluje dzieci do „sztuki stowarzyszania się”, która wedle Alexisa de Tocqueville’a tłumaczy żywotność amerykańskiej demokracji. Według Horowitza jej utrata jest „poważnym zagrożeniem dla liberalnych społeczeństw”. Pokolenie, które nie posiadało tych społecznych umiejętności – ostrzega Horwitz – szuka zwykle rozwiązań u rządzących i cierpi wskutek „degradacji interakcji społecznych” tworzących świat „bardziej skonfliktowany i przemocowy”.

Media społecznościowe pozbawiły całe społeczeństwo umiejętności stowarzyszania się, ale najmocniejsze piętno odcisnęły na nastolatkach. Nagły skok wskaźników lęku, depresji i samookaleczeń u amerykańskich nastolatków odnotowano na początku 2010 roku (to samo w tym samym czasie przydarzyło się kanadyjskim i brytyjskim nastolatkom). Przyczyny nie znamy, ale czas wskazuje na znaczący udział mediów społecznościowych – skok nastąpił w czasie, gdy zdecydowana większość amerykańskich nastolatków została ich codziennymi użytkownikami. Wskaźni-

ki korelacji i inne badania potwierdzają związek z depresją i lękiem, podobnie jak relacje młodzieży i badania własne Facebooka, o których donosi „The Wall Street Journal”.

Depresja zniechęca do szukania nowych związków, pomysłów i doświadczeń, a niepokój sprawia, że nowe staje się groźne. W takiej sytuacji, kiedy w niepamięć idą wyniesione ze swobodnej zabawy nauki zniuansowanych zachowań społecznych, u młodych ludzi słabnie akceptacja światopoglądowej różnorodności i zdolność rozwiązywania sporów. Społeczność, która jeszcze w 2010 roku tolerowała szerokie spektrum głosów, zaczęła tracić tę zdolność wraz z pojawieniem się na kampusach pokolenia Z. Wzrosła liczba wniosków o odrzucenie zapraszanych prelegentów. Studenci twierdzili, że nie zgadzają się z ich poglądami, ale też, że ich wykłady byłyby niebezpieczną, wyniszczającą emocjonalnie formą przemocy. Wzrost w trzeciej dekadzie wskaźników depresji i lęku u nastolatków pozwala się spodziewać utrzymania się, a nawet zaostreżenia tej tendencji w następnych pokoleniach.

Najwięcej zrobimy dla zmniejszenia szkodziwego wpływu mediów społecznościowych na dzieci, opóźniając ich debiut, aż nie przejdą okresu dojrzewania. Kongres powinien zaktualizować Children’s Online Privacy Protection Act, ustawę o ochronie prywatności dzieci w internecie, która w 1998 roku ustaliła niemądre wiek tzw. internetowej dorosłości (od którego można zbierać dane osobowe bez zgody rodziców) na 13 lat, nie myśląc wiele o jej skutecznym egzekwowaniu. Wiek trzeba podnieść do co najmniej 16 lat, a firmy powinny ponosić odpowiedzialność za nieprzestrzeganie tego ograniczenia.

Mówiąc najogólniej, może najważniejsze, co możemy zrobić, żeby przygotować następne pokolenie do życia w demokracji na ruinach wieży Babel, to pozwolić mu się bawić. Przestańmy pozbawiać dzieci doświadczeń, których najbardziej potrzebują, żeby stać się dobrymi obywatelami – swobodnej zabawy w mieszanych grupach wiekowych przy minimalnym udziale dorosłych. Każdy amerykański stan powinien pójść w ślady Utah, Oklahomy i Teksasu – uchwalić ustawę o Free-Range Parenting Law, o swobodnym rodzicielstwie, która zagwarantuje rodzicom, że nie będą ścigani za zaniedbanie, kiedy ktoś zauważy na placu zabaw ich ośmioletnie dziecko. Dzięki takiej ustawie szkoły, pedagodzy i wydzielone zdrowie mogą zachęcać rodziców, by pozwalali swoim dzieciom chodzić do szkoły i jak inne bawić się razem na ulicy.

NADZIEJA

Opowiedziałem ponurą historię i mało wskazuje na to, by w ciągu najbliższych pięciu, dziesięciu lat Ameryka odzyskała choć pozory normalności i stabilności. Która strona pójdzie na ugodę? Jaka jest szansa na to, że Kongres uchwali poważne reformy, które wzmocnią instytucje demokracji i zapewnią detoks mediom społecznościowym?

Kiedy jednak przestaniemy patrzeć na nasz nieporadny rząd federalny, odłączmy się od mediów społecznościowych i porozmawiamy z sąsiadami, zobaczmy promyk nadziei. Według raportu „More in Common” większość Amerykanów to „zmęczona większość”, która ma dość walki, chce wysłuchać drugiej strony i pójść na kompromis. Większość Amerykanów widzi negatywny wpływ mediów społecznościowych na kraj i coraz częściej ich szkodliwy wpływ na dzieci. (...)

Jak to jest żyć w ruinach wieży Babel tuż po jej upadku? Wiemy. To czas chaosu i zagubienia. Ale też czas refleksji, słuchania i budowania. ●

przeł. **Sergiusz Kowalski**
Tekst ukazał się w „The Atlantic”,
skrót od redakcji „Gazety Wyborczej”

The Atlantic

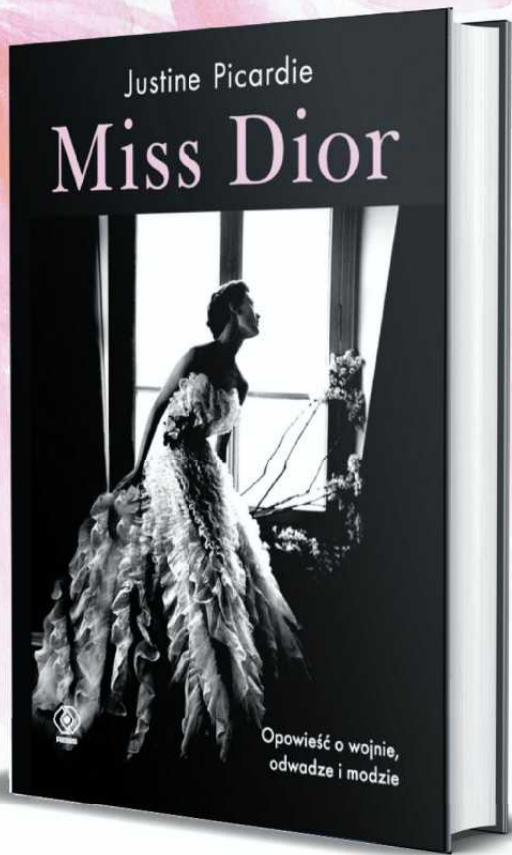
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

**Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę***

2.

**Fragmentu książki „Miss Dior”
Justine Picardie**



*Catherine Dior. Bohaterka ruchu oporu,
oddana siostra, zamilowana ogrodniczka,
która żyła na własnych warunkach.*

*„Miss Dior” to opowieść o wolności i faszyzmie,
o pięknie i zdradzie, o różach i represjach.
A także o tym, co kryje się pod gładką powierzchnią
mody.*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Miss Dior” Justine Picardie
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

MDJP22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931

Potrzebna jest nowa fundamentalna teoria – kwantowa g ogólnej teorii względności i mechaniki kwantowej

Marek Abramowicz

WYDZIAŁ FIZYKI, UNIwersYTET W GÖTEBORGU,
CENTRUM ASTRONOMICZNE IM. M. KOPERNIKA PAN;
UNIwersYTET ŚLĄSKI W OPAWIE

W

Wcale nie jest pewne, czy ta zadziwiająca i obfitująca w spektakularne zwroty i powikłania historia w ogóle się zdarzyła. Jeśli istotnie miała miejsce, to zaczęła się ponad 13 miliardów lat temu, tuż po Wielkim Wybuchu, w którym narodził się cały nasz Wszechświat. Wtedy nie było jeszcze struktur dziś widocznych w jego budowie: ani gwiazd, ani galaktyk. Nie było nawet atomów. Wszechświat wypełniała prawie jednorodna, bardzo gęsta i gorąca plazma, złożona z cząstek elementarnych. W tych ekstremalnych warunkach mogły powstawać „pierwotne” czarne dziury. Pierwszą przyczyną ich narodzin mogły być kwantowe fluktuacje gęstości plazmy, prowadzące do grawitacyjnej zapaści, czyli kolapsu, pewnych obszarów o większej gęstości. Masy niektórych pierwotnych czarnych dziur mogły być mniejsze, a nawet znacznie mniejsze niż około 2,5 mas Słońca. Ta miara masy sama w sobie jest nieistotna w hipotetycznym procesie formowania pierwotnych czarnych dziur, ale ważna w przedstawionych tutaj argumentach, które dotyczą znacznie późniejszych epok w ewolucji Wszechświata.

Scenariusz powstawania pierwotnych czarnych dziur zasugerowali w roku 1967 Jakow Zeldowicz i Igor Nowikow, dwaj fizycy z Moskwy, oraz nieco później i niezależnie Stephen Hawking z Cambridge. Choć o kwantowych fluktuacjach we wczesnym Wszechświecie świadczyć mogą obserwowane niejednorodności w rozkładzie kosmicznego promieniowania tła, powstawanie pierwotnych czarnych dziur jest ciągle nieudowodnioną hipotezą.

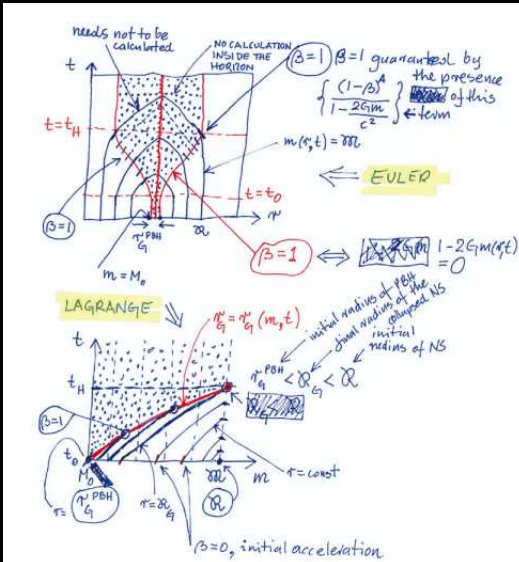
• **Rysunek 1. Nasza Galaktyka według rysunku Nicka Risingera**

CZY ISTNIEJĄ PIERWOTNE

CZARNE DZIURY

grawitacja – czyli połączenie

ZIURY
HAWKINGA?



• **Rysunek 4.** Obecnie pracujemy wspólnie z Axelem Brandenburgerem ze Sztokholmu oraz Cwi Piranem z Jeruzolimy nad opisem pożerania gwiazdy neutronowej przez pierwotną czarną dziurę.

Polega to na rozwiązywaniu na superkomputerze bardzo matematycznie zawitych równań pola Einsteina. Kierując się „Pierwszą Zasadą Moralną Wheelera”, która brzmi: „nigdy nie przystępuj do rozwiązywania równań, jeśli nie wiesz, jaki będzie wynik rachunków”, zaczęliśmy od wymyślenia topologii rozwiązania. Wiemy, jaki będzie wynik, co pokazuje rysunek, będący streszczeniem kilku moich dyskusji z profesorem Jiří Horákiem z Pragi. John Archibald Wheeler był jednym z najbardziej charyzmatycznych fizyków XX wieku. Pracowałem dwa lata w jego zespole na Uniwersytecie Teksaskim w Austin.

Natomiast „gwiazdowe” czarne dziury, które tworzą się w wybuchach supernowych pod koniec ewolucji bardzo masywnych gwiazd, mają masy na pewno większe niż 2,5 masy Słońca. Ich istnienie nie budzi żadnych kontrowersji, są przedmiotem rutynowych badań wielu astrofizyków. Trochę mniej masywne gwiazdy także wybuchają jako supernowe, tworząc gwiazdy neutronowe. Pulsary są szybko rotującymi, namagnesowanymi gwiazdami neutronowymi. Maksymalna masa gwiazd neutronowych wynosi także około 2,5 masy Słońca. Dziś coraz częściej mówimy o „przerwie masowej” pomiędzy gwiazdami neutronowymi a czarnymi dziurami, obejmującej dość wąski zakres od 2,2 do 2,6 masy Słońca, choć jeszcze niedawno, na podstawie mniej dokładnych dostępnych wtedy danych, zakres ten szacowano na 1,5 do 10 mas Słońca. Dla przedstawianych tu argumentów wystarczy, by wiedzieć, że w wyniku ewolucji gwiazd na pewno nie mogą powstawać czarne dziury o masie mniejszej niż 2,5 masy Słońca.

Dodam dla pełności obrazu, że gwiazdy takie jak nasze Słońce i gwiazdy jeszcze mniej od niego masywne nie wybuchają, ale po wyczerpaniu paliwa jądrowego powoli stygną, stając się białymi, brązowymi lub ciemnymi karłami.

Oprócz procesów zachodzących (być może) tuż po Wielkim Wybuchu współczesna fizyka nie dopuszcza istnienia żadnego innego fizycznego procesu zdolnego do bezpośredniego (podkreślam: bezpośredniego) utworzenia czarnej dziury o masie mniejszej niż 2,5 masy Słońca. Implikowany przez fundamentalne prawa fizyki mechanizm pośredni, który jest podstawowym elementem opowiadanej tu historii, wymaga istnienia pierwotnych czarnych dziur o masach jeszcze mniejszych niż 2,5 masy Słońca: mas porównywalnych z masami asteroid. Odkrycie czarnej dziury o masie mniejszej niż 2,5 masy Słońca byłoby zatem ar-

gumentem wspierającym hipotezę, że pierwotne czarne dziury istnieją.

Obserwacyjne udowodnienie ich istnienia miałoby ogromne znaczenie dla poszukiwań Świętego Graala współczesnej fizyki, to znaczy bezpośredniego obserwacyjnego testowania „teorii kwantowej grawitacji”.

Dziś całość fizycznej rzeczywistości świata badamy i wyjaśniamy w ramach dwóch najbardziej fundamentalnych teorii, obu sformułowanych na początku XX wieku: ogólnej teorii względności Einsteina, wyjaśniającej grawitację jako krzywiznę czasoprzestrzeni, oraz mechaniki kwantowej, która zajmuje się obrazem mikroświata w najmniejszej skali cząstek elementarnych.

Te dwie teorie są „odrębne” w tym sensie, że mają własne, odrębne obszary stosowności. Fizycy potrafią bardzo dokładnie opisywać sytuacje, w których grawitacja jest silna, ale efekty kwantowe można pominąć, albo takie, w których efekty kwantowe dominują, a grawitacja jest bardzo słaba. W szczególności, we wszystkich sytuacjach codziennej praktyki („bez Einsteina, bez Heisenberga”), grawitacja jest słaba, prędkości niewielkie oraz jednocześnie efekty kwantowe są pomijalne. Takie sytuacje doskonale opisuje sformułowana jeszcze w wieku XVII teoria Newtona; właśnie dlatego nasze przyrodnicze intuicje oparte są w przeważającej mierze na prawach fizyki newtonowskiej.

Ale fizyczny stan Wszechświata tuż po Wielkim Wybuchu jest ekstremalnie różny od sytuacji, do których można stosować teorię Newtona: tam grawitacja jest bardzo silna i jednocześnie efekty kwantowe są dominujące. Do opisu takiej sytuacji potrzebna jest nowa fundamentalna teoria – kwantowa grawitacja – czyli połączenie ogólnej teorii względności i mechaniki kwantowej. Takiej teorii jeszcze nie ma i dlatego nasze rozumienie początku Wszechświata nie jest kompletne.



Prof. Bernard Carr, Queen Mary University, Londyn

Gdzie jest większość ciemniej materii Wszechświata?

Moskiewscy fizycy Jakow Zeldowicz i Igor Nowikow w swym historycznym artykule z roku 1967 jako pierwsi rozważali możliwość istnienia pierwotnych czarnych dziur, ale tę możliwość wykluczyli, konkludując, że pierwotne czarne dziury pochłaniałyby otaczającą je materię katastrofalnie zbyt szybko. Było to w pewnym sensie ironiczne, gdyż ten przełomowy artykuł jednocześnie wprowadził pierwotne czarne dziury do nauki oraz na pewien czas zupełnie powstrzymał badania na ich temat. Dopie-

ro w roku 1974 w artykule ze Stephenem Hawkingiem (który był promotorem mojej pracy doktorskiej w Cambridge) pokazałem, iż konkluzja Zeldowicza i Nowikowa była fałszywa. Z całą pewnością to właśnie było powodem, dla którego Hawking zaczął, jako pierwszy, rozważać efekty kwantowe w fizyce małych czarnych dziur. Jego słynny artykuł, w którym odkrył, że czarne dziury promieniują, ukazał się także w roku 1974.

W pracy z roku 1971 na temat pierwotnych czarnych

25

• **czarne dziury, które powstają w wyniku ewolucji gwiazd, mają masy nie mniejsze niż 2,5 masy Słońca**

dziur Hawking zaproponował, że są one naładowane elektrycznie i wychwytyją z otoczenia elektrony lub protony, tworząc coś w rodzaju neutralnych „atomów”, co później okazało się nietrafne właśnie z powodu... promieniowania Hawkinga, które Stephen odkrył dopiero trzy lata później. Związek z ciemną materią także nie był w roku 1971 oczywisty, ponieważ wtedy istnienie ciemnej materii nie miało tak solidnych obserwacyjnych podstaw, jak ma dzisiaj. Jednak już wtedy Haw-

king sugerował, że większość materii Wszechświata może się znajdować w pierwotnych czarnych dziurach.

Prof. Bernard Carr jest światowej klasy ekspertem w dziedzinie pierwotnych czarnych dziur, autorem (z Florianem Kühnelem) podstawowego artykułu przeglądowego „Primordial Black Holes as Dark Matter: Recent Developments” w „Annual Review of Nuclear and Particle Science” (2020). Powyższy tekst napisał na moją prośbę specjalnie dla „Wyborczej”.

Są fizycy, którzy starają się dotrzeć do kwantowej grawitacji na drodze rozważań „czystego rozumu” bez odwoływania się do szczegółowych eksperymentów. Ich zdaniem kwantowa grawitacja powinna wynikać z jakiejś, jeszcze nierozpoznanej, zasady matematycznej. Einstein tak właśnie odkrył ogólną teorię względności: wnikiwym namysłem nad fizyczną istotą rzeczywistości czasu i przestrzeni. Ale teoria Newtona, elektrodynamika Maxwella i mechanika kwantowa są przykładami wielkich teorii fizyki, które wyrosły krok po kroku z empirii – ich matematyczne zasady, głębokie i subtelne, zostały sformułowane później, gdy już wiele wiadano eksperymentalnie o szczegółach przebiegu zjawisk będących ich domeną. Z tego powodu wielu fizyków, a wśród nich także ja, twierdzi, iż kwantowa grawitacja wymaga przede wszystkim zebrania, stworzenia i uporządkowania solidnej bazy eksperymentalnej, której dziś nie ma.

Obserwacyjne potwierdzenie istnienia hipotetycznych pierwotnych czarnych dziur albo solidny, niepodważalny obserwacyjny dowód na ich nieistnienie mogłyby się stać ważnym załącznikiem eksperymentalnej bazy dla kwantowej grawitacji. Stąd wynika pytanie: czy dysponujemy niezawodnymi, już dziś dostępnymi sposobami na to, aby obserwacyjnie udowodnić istnienie – lub nieistnienie – pierwotnych czarnych dziur?

W opublikowanym niedawno artykule Michał Bejger, Andrzej Udalski, Maciek Wielgus i ja twierdzimy, że kluczem do wyjaśnienia tej tajemnicy może się okazać inna tajemnica: mianowicie tajemnica ciemnej materii. Opiszę teraz krótko tylko te jej aspekty, które są naszym zdaniem bezpośrednio związane z hipotezą istnienia pierwotnych czarnych dziur.

Galaktyka przypomina kształtem spłaszczony dysk o średnicy około 100 000 lat świetlnych i grubości około 1000 lat świetlnych. W wyglądzie dysku dominują jasne ramiona spiralne, takie jakie widać na ilustracji 1.

Światło pochodzi od gwiazd, których w Galaktyce jest kilkaset miliardów, w tym nasze Słońce, wokół którego krążą Ziemia i inne planety. Świecą także liczne ogromne obłoki gazu. Słońce obiega centrum Galaktyki raz na 250 milionów lat po prawie kołowej orbicie o promieniu 25 000 lat

orbity, czyli odległości od środka Galaktyki. Czytelnicy, którzy pamiętają podstawy szkolnej fizyki, łatwo się zgodzą z tym wnioskiem, porównując energię kinetyczną i potencjalną orbitującego obiektu.

Jakościowy wynik tych obliczeń jest łatwy do przewidzenia: blisko centrum Galaktyki, gdzie skupiona jest większość widocznej masy, prędkości orbitalne powinny być większe i maleć wraz ze wzrastającą odległością od centrum. Podobnie jest bowiem z orbitalnymi prędkościami planet w Układzie Słonecznym: ponieważ Słońce skupia w sobie większą część masy Układu Słonecznego, planety położone dalej od Słońca (Neptun,

woduje jego coraz szybszą ekspansję: ciemna materia i ciemna energia to dwa różne (choć główne!) składniki substratu Wszechświata.

Stephen Hawking sformułował hipotezę, iż ciemna materia składa się przynajmniej częściowo z pierwotnych czarnych dziur. Są one najpewniej dość małe w tym sensie, że mają niewielkie masy. Pośrednie argumenty obserwacyjne, gromadzone także przez słynny program OGLE mikrosoczewkowania grawitacyjnego kierowany przez Andrzeja Udalskiego, dość luźno ograniczają zakres możliwych mas. Zwykle rozważa się w tym kontekście pierwotne czarne dziury o masach obejmujących zakres od mas asteroid do masy Księżyca.

W artykule „A Robust Test of the Existence of Primordial Black Holes in Galactic Dark Matter Halos”, opublikowanym w sierpniu 2022 w amerykańskim „The Astrophysical Journal Letters”, Michał Bejger, Andrzej Udalski, Maciek Wielgus i ja pokazaliśmy, jak można wykazać, że hipoteza Hawkinga jest fałszywa, jeśli rzeczywiście jest ona fałszywa, to znaczy jeśli nie ma pierwotnych czarnych dziur w ciemnej materii w naszej Galaktyce. Nasze argumenty zbierają się w taki logiczny ciąg:

1 Jeśli pierwotne czarne dziury rzeczywiście stanowią pewną część ciemnej materii w Galaktyce, to muszą się koniecznie zderzać z galaktycznymi gwiazdami neutronowymi. Oczywiście muszą się zderzać także z innymi gwiazdami, ale nasze argumenty dotyczą zderzeń z gwiazdami neutronowymi.

2 Takie zderzenia nie są obserwowane, gdyż moc promieniowania wyzwolonego w zderzeniu niewielkiej pierwotnej czarnej dziury jest zbyt mała, aby zostało zarejestrowane przez najpotężniejsze teleskopy, natomiast zderzenia bardzo dużych pierwotnych czarnych dziur z gwiazdami zachodzą zbyt rzadko: znacznie rzadziej niż raz na tysiąclecie. Tę fundamentalną nie-

Fizyczny stan Wszechświata tuż po Wielkim Wybuchu jest ekstremalnie różny od sytuacji, do których można stosować teorię Newtona

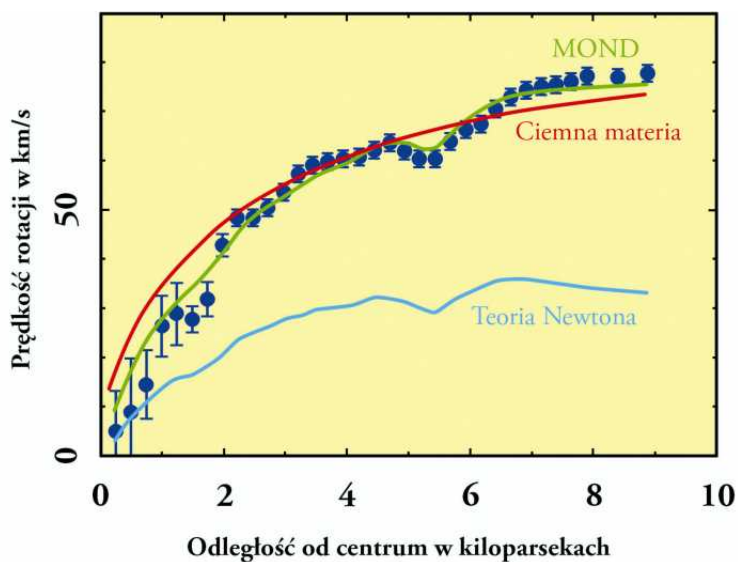
świetlnych. Oznacza to, że galaktyczna prędkość orbitalna Słońca, a z nim całego Układu Słonecznego, wynosi 250 km/s.

Astronomowie dokładnie wyznaczyli rozkład świecącej w Galaktyce materii, którą widzą nasze teleskopy optyczne, radiowe i inne. Możemy stąd wyliczyć, jakie orbitalne prędkości gwiazd i obłoków powinny być mierzone w różnych odległościach od centrum Galaktyki, zakładając, że grawitacja materii, którą widać, rządzi dynamiką i rotacją Galaktyki. Z teorii grawitacji Newtona wynika bowiem, że kwadrat galaktycznej prędkości orbitalnej jakiegos obiektu, na przykład właśnie Słońca, jest proporcjonalny do masy zgromadzonej wewnątrz orbity tego obiektu, a odwrotnie proporcjonalny do promienia

Uran) krążą wolniej po swych orbitach niż planety położone bliżej (Merkury, Wenus).

Ale zmierzone prędkości orbitalne gwiazd i obłoków w odległościach nieco większych niż odległość Słońca od centrum Galaktyki wcale nie maleją z odległością, lecz są praktycznie stałe i wynoszą około 250 km/s. Zatem przewidywania teorii nie zgadzają się z obserwacjami. Ten sam problem dotyczy wszystkich spiralnych galaktyk, dla których wykonano takie pomiary.

Powszechnie przyjętym wyjaśnieniem jest hipoteza, że oprócz świecącej materii znajduje się w Galaktyce jakaś „ciemna materia”, niewidoczna dla naszych teleskopów. Ta właśnie dodatkowa masa powoduje szybszą niż przewidywana teoretycznie prędkość obrotu Galaktyki. Choć nikt nie wie, jaka jest fizyczna natura ciemnej materii, to znaczy z czego się ciemna materia składa, wiadomo na pewno, że jest czymś innym niż jeszcze bardziej tajemnicza „ciemna energia”, która stanowi główny składnik materii Wszechświata i po-



• **Rysunek 2. Rotacja galaktyki NGC 1560. Niebieskie punkty odpowiadają obserwacjom. Niebieska linia przewidywaniom teorii Newtona, zielona linia odpowiada hipotezie MOND, a linia czerwona hipotezie ciemnej materii. Kiloparsek=3,300 lat świetlnych. O hipotezie MOND w kontekście żydowskiego święta Purim napisałem z bratem Mieczysławem żartobliwy artykuł w „Uranii” (numer 5/2009). Dziękuję Małgorzacie Skrzypczyk-Świentczak za rysunki 2 i 3.**

Teoria Newtona

Nie wszędzie się stosuje?

Jedyną poważną alternatywą dla ciemnej materii jako wyjaśnienia zbyt szybkiej rotacji odległych od centrum części Galaktyki jest przypuszczenie, iż teoria Newtona nie obowiązuje na obrzeżach galaktyk. Przyspieszenia grawitacyjne są tam tak bardzo małe, że nie były nigdy przetestowane w laboratoriach.

Izraelski fizyk Mordechaj Milgrom wykazał, że aby wytłumaczyć obserwowane

prędkości rotacji galaktyk, wystarczy przyjąć istnienie fundamentalnej miary przyspieszenia a^* , około 10 miliardów razy mniejszej niż przyspieszenie ziemskie. Gdy $a < a^*$, Milgrom zakłada, iż siła F działająca na cząstkę o masie m proporcjonalna jest nie do przyspieszenia, jak w teorii Newtona, gdzie mamy $F=ma$, ale do kwadratu przyspieszenia, $F=ma(a/a^*)$.

Mimo swej skuteczności, prostoty i urzekającej elegancji zmodyfikowana teoria dynamiki Milgroma, czyli MOND, nie jest powszechnie akceptowana: cieszy się uznaniem tylko bardzo niewielkiej grupy fizyków i astrofizyków. Choć są wśród nich bardzo kompetentni eksperci, zdecydowana większość przyjmuje hipotezę istnienia ciemnej materii. ●

możność zaobserwowania pojedynczego zderzenia udowodniła wcześniejsza praca opublikowana przeze mnie wspólnie z Julią Becker i innymi w „The Astrophysical Journal” w listopadzie 2009 r.

3 W pierwszym zderzeniu pierwotnej czarnej dziury z gwiazdą neutronową czarna dziura przechodzi przez gwiazdę i wylatuje z drugiej strony z prędkością mniejszą niż prędkość ucieczki: oznacza to, że zostaje przez gwiazdę złapana grawitacyjnie. Odlatuje zatem na pewną odległość, ale zwraca i uderza w tę samą gwiazdę neutronową ponownie. Ten cykl się powtarza, a za każdym kolejnym uderzeniem czarna dziura jest coraz bardziej grawitacyjnie złapana: odlatuje na coraz mniejszą odległość, aż w końcu osiada nieruchomo w samym centrum gwiazdy neutronowej (**rysunek 3**).

4 Wtedy zaczyna ją pożerać, wchłaniając materię gwiazdy neutronowej do swego czarnodziurowego wnętrza. Ten proces kończy się katastrofą: grawitacyjnym kolapsem gwiazdy neutronowej i przekształceniem jej w czarną dziurę o masie zapewne trochę mniejszej niż początkowa masa gwiazdy neutronowej. Mniejszej, ponieważ część masy może być odrzucona na zewnątrz i rozproszona (**rysunek 4**).

5 Końcowym produktem zderzenia jest zatem czarna dziura o masie trochę mniejszej niż masa gwiazdy neutronowej, to znaczy na pewno mniejszej niż około 2,5 mas Słońca. W ten sposób powstaje w Galaktyce populacja „lekkich” czarnych dziur, o masach mniejszych niż masy gwiazdowych czarnych dziur.

Maciek Wielgus opracował w omawianym artykule metodę „syntezy populacji”, która pozwoliła na bardzo dokładne teoretyczne wyliczenie częstości występowania każdego z trzech rodzajów zderzeń lekkich czarnych dziur (6.1), (6.2), (6.3). Z tej analizy wynika, że jeśli pierwotne czarne dziury Hawkinga stanowią nawet bardzo niewielki procent masy ciemnej materii, to liczba lekkich czarnych dziur w Galaktyce utworzona przez ich zderzenia z gwiazdami neutronowymi powinna być ogromna, porównywalna z liczbą gwiazd neutronowych. Nasz artykuł przewiduje więc, że interferometry LIGO, Virgo i Kagra powinny często rejestrować zderzenia lekkich czarnych dziur ze sobą oraz z gwiazdowymi czarnymi dziurami i gwiazdami neutronowymi.

Ale... Niedawno opublikowany katalog LIGO wszystkich ćwierków fal grawitacyjnych do tej pory zarejestrowanych zawiera tylko kilka obiektów o masie około 1-3 masy Słońca, co do których nie ma pewności, czy są to gwiazdy neutronowe, czy lekkie czarne dziury (dodam nawiasem, że słynny ćwierk GW170817 był na pewno zderzeniem pary gwiazd neutronowych). Na razie wygląda więc na to, że interferometry LIGO, Virgo i Kagra rejestrują „zbyt mało” zderzeń, w których mogłyby uczestniczyć lekkie czarne dziury: o wiele zbyt mało na to, aby hipoteza, iż w ciemnej materii w naszej Galaktyce znajdują się pierwotne czarne dziury, mogła być prawdziwa. Nie jest to jednak wniosek ostateczny, bowiem czekamy na planowane usprawnienia w technice detekcji fal grawitacyjnych. Już za rok bardzo się poprawi wykrywalność ćwierków przez LIGO, Virgo i Kagra (o czynnik 300), a wraz nią rzetelność i wiarygodność statystyk.

Lekkie czarne dziury mogą być także wykrywane techniką mikrosoczewkowania, która polega na tym, że czarna dziura,

gwiazda neutronowa lub inny obiekt przechodzący dokładnie przez linie widzenia odległej gwiazdy działa jak soczewka: skutkiem ugięcia promieni świetlnych w jego polu grawitacyjnym obraz odległej gwiazdy ulega wzmocnieniu. Ten efekt, przewidziany przez Einsteina, został wykorzystany przez Bohdana Paczyńskiego do opracowania w latach 80. praktycznej metody wykrywania takich soczewek grawitacyjnych i mierzenia ich mas. Jest dzisiaj stosowany przez wielu astrofizyków, w tym przez warszawski zespół OGLE, kierowany przez Andrzeja Udalskiego, który był światowym pionierem tych badań. OGLE zaczęło jako wspólny projekt Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego (OAUW), Carnegie Institution of Washington oraz Princeton University. Teraz jest już całkowicie samodzielnym przedsięwzięciem OAUW. Ma swój własny teleskop w Las Campanas Observatory w Chile.

Sam efekt mikrosoczewkowania zależy tylko od masy, ale nie od fizycznej natury soczewki grawitacyjnej: nie da się więc odróżnić lekkiej czarnej dziury od gwiazdy neutronowej, gdy obie mają tę samą masę. Odróżnienie jest możliwe, jeśli się weźmie pod uwagę dodatkowe obserwacje. Pokazują to opublikowane w kwietniu tego roku dwie prace (Andrzej Udalski jest współautorem obu) dotyczące przypadku mikrosoczewkowania OGLE-2011-BLG-0462: masę soczewki oszacowano na 1.6 – 4.4 masy Słońca, a więc w zakresie interesującym w omawianym tu kontekście. Dodatkowe informacje uzyskano przy użyciu teleskopu Hubble’a.

Nasza praca jest standardową pracą, jakie zwykle piszą fizycy. Polega na konstruowaniu matematycznego modelu pewnego fragmentu rzeczywistości, konstruowaniu opartym na analizie dokładnych obserwacji oraz na teorii – w przypadku naszej pracy głównie na teorii Einsteina i na relatywistycznej hydrodynamice. Celem naszej pracy jest udowodnienie nieistnienia czegoś, mianowicie nieistnienia pierwotnych czarnych dziur Hawkinga, jeśli one rzeczywiście nie istnieją.

Dowody nieistnienia są ważną częścią fizyki: dowód na nieistnienie eteru był podstawą teorii Einsteina, dowód na nieistnienie ciepłaka był ważną przesłanką sformułowania termodynamiki. Ani żaden z nas, czterech autorów tej pracy, ani nikt inny, nie wie dzisiaj, czy pierwotne czarne dziury Hawkinga istnieją. Czy istnieją, czy nie istnieją, to dzisiaj kwestia wiary. Ale już wkrótce, za kilka lat, dzięki zastosowaniu procedury opisanej w naszej pracy i opartej na konkretnych obserwacjach, będziemy wiedzieli na pewno, jak odpowiedzieć na pytanie, czy czarne dziury Hawkinga istnieją. ●

Prof. Julia Becker,
Uniwersytet w Bochum

Tego nie da się zaobserwować

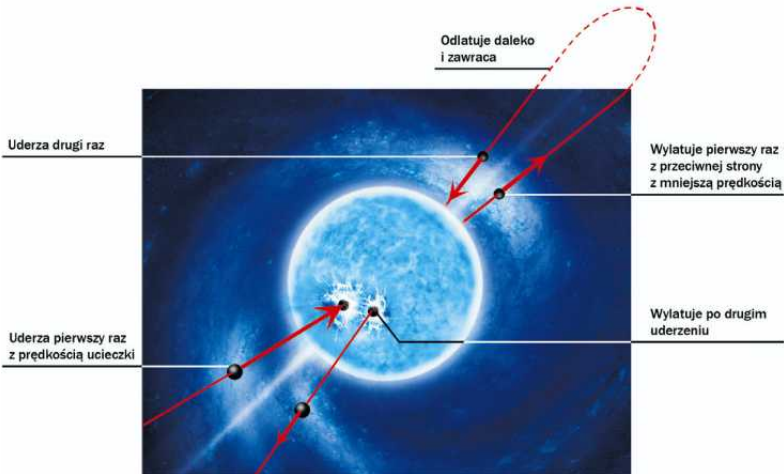
Idea zderzeń pierwotnych czarnych dziur ze zwykłymi gwiazdami jest fascynująca. Intuicyjnie można się spodziewać, że takie zderzenie natychmiast rozerwie gwiazdę na strzępy. W rzeczywistości pierwotna czarna dziura po prostu przeleci przez gwiazdę, a wyzwolona energia kinetyczna przekształci się w promieniowanie. Policzyłam to z kolegami w 2009 r., gdy byłam asystentką prof. Abramowicza na wydziale fizyki uniwersytetu w Göteborgu.

Choć konkluzja była zaskakująca – zderzeń pierwotnych czarnych dziur z gwiazdami w Galaktyce nie da się praktycznie zaobserwować – wynika z dość prostego powodu. Otóż zderzenia, aby zostały zarejestrowane, powinny wyzwać dostatecznie dużo energii w postaci promieniowania. Przynajmniej jeden foton musi dotrzeć do teleskopów. Im większa masa pierwotnej czarnej dziury, tym więcej wyzwala się w zderzeniu energii. Całkowita masa ciemnej materii w naszej Galaktyce wynosi około tryliona (tysiąca miliardów) mas Słońca. Dlatego większa „typowa” masa pierwotnych czarnych dziur oznacza ich proporcjonalnie mniejszą całkowitą liczbę w Galaktyce. To zrozumiałe: ustaloną ilość towaru możemy przewieźć albo w niewielu dużych ciężarówkach, albo w wielu niedużych. Ale mniejsza liczba pierwotnych czarnych dziur oznacza proporcjonalnie mniejszą częstość zderzeń. Jeżeli częstość wynosiłaby, powiedzmy, jedno raz na tysiąclecie w objętości Galaktyki, to natura takich zdarzeń nie mogłaby zostać rozpoznana.

Mamy zatem dwa warunki do spełnienia. Po pierwsze, typowa masa pierwotnych czarnych dziur musi być dostatecznie duża, aby zderzenia dostatecznie szybko wyzwalały wystarczającą do ich zaobserwowania energię. Po drugie, typowa masa musi być dostatecznie mała, aby takie zdarzenia zachodziły dostatecznie często.

W pracy z 2009 r. udowodniliśmy, że te warunki nie mogą być jednocześnie spełnione, a więc szansa na zaobserwowanie pojedynczego zderzenia jest znikoma, praktycznie zerowa. Swoją drogą praca była bardzo demokratyczna i multi-kulti: jej autorzy to dwóch profesorów (Polak i Niemiec), asystentka (Niemka) oraz trójka studentów (Szwed, Włoszka i Chińczyk). ●

Dziękuję Julii Becker za napisanie tego fragmentu specjalnie dla „Wyborczej”



• **Rysunek 3. Zderzenie pierwotnej czarnej dziury z gwiazdą neutronową jest w istocie całym cyklem zderzeń**

6 Takie lekkie czarne dziury mogą już dzisiaj być wykrywane poprzez analizę „ćwierków” (chirps) fal grawitacyjnych, rejestrowanych przez interferometry LIGO, Virgo i Kagra.

Źródłem tych ćwierków mogą być:

- **(6.1)** zderzenia par lekkich czarnych dziur,
- **(6.2)** zderzenia lekkich czarnych dziur z gwiazdowymi czarnymi dziurami
- **(6.3)** zderzenia lekkich czarnych dziur z gwiazdami neutronowymi.

Ćwierkiem nazywamy dotarcie i zarejestrowanie frontu fali grawitacyjnej przez interferometry. Będzie on wyglądał inaczej w każdym z tych trzech przypadków oraz inaczej niż w dobrze znanych i wielokrotnie rejestrowanych przypadkach zderzeń par gwiazdowych czarnych dziur, par gwiazd neutronowych lub zderzeń gwiazdowych czarnych dziur z gwiazdami neutronowymi.

Prof. Abraham (Avi) Loeb, Uniwersytet Harvarda

Rozpalone przez istoty pozaziemskie

Są powody aby przypuszczać, że na obrzeżach Układu Słonecznego krąży Dziewiąta Planeta, kilkakrotnie masywniejsza od Ziemi, która być może jest pierwotną czarną dziurą. Z moim uczniem, Amirem Sirajem, opublikowałem w lipcu 2020 artykuł w „The Astrophysical Journal Letters”, dowodzący, że jej zderzenia z asteroidami wywoływałyby rozbłyski światła, wykrywalne w ramach planowanego przeglądu Legacy Survey of Space and Time. Dawałoby to możliwość testowania teorii łączących mechanikę kwantową i grawitację, na przykład teorii strun.

Ludzkość mogłaby wykorzystać ogromny potencjał tej czarnej dziury jako źródła

energii, gdy za miliard lat Słońce zagotuje wszystkie oceany na Ziemi i zgaśnie 7 miliardów lat później. Aby się ogrzać i oświetlić, moglibyśmy rozpałcić ognisko pierwotnej czarnej dziury na obrzeżach Układu Słonecznego. Stworzyć sztuczne Słońce i założyć wokół niego stację kosmiczną.

Życie w pobliżu czarnej dziury może być znacznie wygodniejsze niż nasze obecne życie na Ziemi. Czarna dziura oferuje wyższą wydajność przekształcania masy w energię, wymaga więc mniej paliwa niż gwiazdy. Ten stabilny silnik może trwać wiecznie, bo wiem jego moc wyjściową można kontrolować poprzez re-

gulację tempa wpływu materii do czarnej dziury, unikając naturalnych katastrof związanych z ewolucją gwiazd takich jak Słońce.

7 mld

- **ma ludzkość na wymyślenie, jak wykorzystać „naszą” czarną dziurę jako źródło energii - po tym czasie Słońce zgaśnie**

Być może niektóre gwiazdy, jakie widzimy na niebie, to w rzeczywistości ogniska pierwotnych czarnych dziur, rozpalone przez istoty pozaziemskie, których Słońce umarło i stało się białym karłem. Za dziesięć miliardów lat – kiedy wszystkie gwiazdy zgasną, te sztucznie zasilane ogniska mogą być jedynymi źródłami światła pozostałymi w ciemności kosmosu. ●

Prof. Avi Loeb jest jednym z najbardziej twórczych i wpływowych współczesnych astrofizyków. Dziękuję mu za zgodę na zacytowanie tu fragmentów jego eseju „A Black Hole in the Solar System?”.

Oo, jeśli wszystko, czego się nauczyłeś o historii ludzkości, jest błędne?” – pytał „New York Times”, recenzując książkę profesorów Davidów. Bo Graeber i Wengrow „Nową historią ludzkości” burzą wyobrażenia tych, którzy nie śledzą najnowszych badań archeologicznych i antropologicznych, a rozumienie przeszłości opierają na wiedzy ze szkoły, z popularnych książek i mediów – czyli w zasadzie niemal nas wszystkich.

Z ARCHEOLOGIEM
DAVIDEM WENGROWEM,
WSPÓŁAUTOREM „NOWEJ
HISTORII LUDZKOŚCI”,
ROZMAWIA **AGNIESZKA
LICHNEROWICZ**, TOK FM

Napisaliście książkę o „narodzinach wszystkiego”, czyli o prehistorii. Dlaczego zaczynacie od Oświecenia?

– Gdy zaczynaliśmy pracę, gdzieś na przełomie 2008 i 2009 r., trwał kryzys finansowy i pojawiło się wiele książek o nierównościach. Uderzyło nas, jak wiele analiz odwoływało się do myślicieli z XVII i XVIII w., np. Hobbesa i Rousseau. Oświecenie ukształtowało bowiem kluczowe pytania, które zadajemy sobie do dziś: jak powstało państwo, skąd się wzięły własność prywatna, hierarchie i nierówności. Chcieliśmy zbadać korzenie tych pytań i zastanowić się, czy obecnie są wciąż istotne i pomocne.

Są dwa archetypy natury ludzkości. Według pierwszego pod szafarzem cywilizacji i systemów ekonomicznych kryją się istoty „z natury” dobre. Drugi jest oczywiście przeciwny: tylko cywilizacja powstrzymuje złych „z natury” ludzi przed przemocą. Za ojca pierwszego przekonania uznaje się Rousseau.

– Ten podział jest nieco bardziej skomplikowany. Gdy francuski filozof spekulował, jacy byłiby ludzie w stanie natury, czyli co by zostało, gdyby zerwać z nich cywilizację i historię, wcale nie rysował aż tak dobrego świata. To był raczej dziwny obraz prymitywnych istot ludzkich, które żyją w izolacji od siebie i niemal boją się do siebie zbliżyć. Są w stanie niewinności – takiej szczęśliwej głupoty. Nic nie wskazuje, że Rousseau uważał ich za w pełni ludzi. W jego opowieści w zasadzie nie mieli wyobraźni.

Obraz egalitarnych grup żyjących we względnej spokoju i tak brzmi kusząco. W narracji Rousseau koniec tego raju przyniosło wynalezienie własności prywatnej, czyli podziału na to, co moje i twoje, a także rolnictwa i państw, a co za tym idzie – hierarchii, władzy i zniewolenia.

– Rousseau dużo pisze o tym, że dawni ludzie mają uczucia, ale nie za bardzo mają świadomość. Wyobraża sobie stworzenia niby takie jak my, ale na wiele fundamentalnych sposobów jednak inne. To prymitywi, którzy potykają się o własny ogon i ciągle wpadają w zastawione przez samych siebie pułapki. Wynajdują rolnictwo, ale nie przewidują konsekwencji, więc wpadają w pułapkę własności pry-

Nowa historia cywilizacji

ALEŻ WODZU, CO WÓDZ

Wyrzućcie z głowy wszystko, co wiecie o nierównościach, hierarchii i własności



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

watnej. Budują większe i bardziej złożone społeczeństwa, ale nie potrafią dostrzec, że konstruuując rządy, tworzą kajdany dla własnej egzystencji. Przekonanie, że ówczesni ludzie nie potrafili przewidzieć przyszłości oraz konsekwencji, jest głównym motywem przypowieści o źródłach nierówności.

W tej opowieści można rozpoznać wątki z analizy Marksa, który głosił, że świadomość klasowa nie jest uniwersalna. Ale Polce nie muszą tego tłumaczyć...

Musi pan, bo edukację pobierałam już w demokratycznym, ale neoliberalnym kraju, w którym główny nurt uczynił z Marksa chłopca do bicia. W nowej Polsce nie było trzeba czytać jego filozoficznych tekstów, bo powszechnie uznawano, że ponosi moralną odpowiedzialność za stalinowskie zbrodnie, a nawet jest ich inspiratorem.

– Marks przekonywał, że społeczeństwo musi przejść od tego, co nazywał prymitywnym komunizmem, przez serię transformacji i rewolucji oraz kapitalizm, by ostatecznie stać się samoświadomym proletariatem. Tę narrację również przenika przekonanie, że dawnym ludziom brakuje grupowej świadomości.

W ogóle to jestem bardzo ciekaw, jak nasza książka zostanie przyjęta w byłych krajach socjalistycznych i komunistycznych. Choć te różnice filozoficzne i percepcyjne wcale nie muszą być tak duże, bo przecież po II wojnie Wielka Brytania była w zasadzie państwem socjalistycznym.

Ojcem drugiego archetypu o naturze ludzkiej jest angielski filozof Thomas Hobbes.

– Również w jego wyobrażeniach prehistoryczni ludzie to nieposiadające wiele proste istoty. Trzeba pamiętać, że Hobbes „Lewiatana” opublikował w 1651 r., w środku angielskiej wojny domowej, w czasie naznaczonym straszną przemocą. Hobbes rysuje mroczny obraz istot z natury brutalnych, przemocowych i egoistycznych, które potrzebują rządu, żeby krępował ich destrukcyjne instynkty.

Rousseau napisał „Rozprawę o pochodzeniu i podstawach nierówności” ponad 100 lat później, zaledwie kilka dekad przed rewolucją francuską. Obaj mierzyli się więc z politycznymi wyzwaniem swoich czasów w bardzo radykalny oraz spekulacyjny sposób. To były jednak problemy tamtych lat, a nie te, z którymi zmagamy się dzisiaj. I to nas zafascynowało – że utknęliśmy z pytaniami, które powstały setki lat temu, powtarzamy je i często dochodzimy do tych samych odpowiedzi.

Te archetypy są zakorzenione w naszej wyobraźni. Perspektywę Rousseau rozwija dziś słynny Yuval Noah Harari, natomiast współczesnym Hobbesem jest inny autorów bestsellerów, psycholog Steven Pinker. Z perspektywy podziałów politycznych można zaś powiedzieć, że opowieść Francuza o naturze ludzkiej jest bliższa lewicy, Anglika – prawicy.

– Setki lat temu myśliciele nie mieli żadnych materiałów dowodowych na temat wczesnych społeczeństw ludzkich. Źródłem opowieści Hobbesa i Rousseau była wyłącznie ich wyobraźnia. Zresz-

tą jasno to mówili. Rousseau powtarzał, że przedstawia nie rekonstrukcję tego, co się zdarzyło, ale wynik swojego eksperymentu myślowego, który miał na celu refleksję nad jego współczesnością i konsekwencjami własności prywatnej dla ludzkiej psychologii i społeczeństw.

Osobliwe jest to, że po prawie 100 latach badań empirycznych w archeologii i antropologii te spekulacje są wciąż przedstawiane jako obiektywne prawdy. A nawet prawa historii.

Co zatem w historii ludzkości zmieniło przejście ze zbieractwa i łowiectwa do uprawy roślin i hodowli zwierząt?

– Przekonanie, że przejście do rolnictwa było nagłą zmianą, która spowodowała narodziny zupełnie nowych instytucji oraz w nieodwracalny sposób zmieniła tkankę społeczeństw, nie pokrywa się z obecną wiedzą. Gdy rozmawiamy, siedzę w największym instytucie archeologii w Wielkiej Brytanii, kilka pięter poniżej pracują archeobotanicy, którzy przez mikroskoppy mierzą malutkie nasiona z różnych neolitycznych – a więc sprzed tysięcy lat – stanowisk archeologicznych na świecie. Naukowcy potrafią już z dosyć dużą dokładnością odtworzyć naturę procesu udomowienia roślin i zwierząt przez ludzi.

Wciąż jednak mówimy i uczymy, że była to rewolucja – neolityczna rewolucja agrarna.

– Ta fraza wciąż pojawia się w popularnych książkach, jak choćby w „Sapiens” Harariego. Stworzył ją w latach 30. Gordon Childe, jeden z najbardziej wpływowych i nowatorskich wtedy archeologów. Głosił, że przed rewolucją przemysłową ludzie przeszli przez dwie inne: neolityczną, czyli agrarną, oraz urbanistyczną, która zrodziła miasta. Jednak minęło prawie 100 lat i dziś już widzimy, że udomowienie roślin i zwierząt wcale nie miało charakteru rewolucyjnego.

Początek rolnictwa datuje się na jakieś 10 tys. lat temu.

– Kończyła się epoka lodowcowa, planeta zaczęła się ogrzewać. Materiały dowodowe z przeszłości rysują stopniową, trwającą tysiące lat zmianę. Ludzie zostawali rolnikami, ale też się z tego wycofywali. Albo łączyli rolnictwo z innymi zajęciami, polowaniami, zbieraniem roślin. Modele były różne i złożone. Decyzje podejmowano świadomie, nikt przecież przez przypadek nie rezygnuje z nowo wypracowanego sposobu produkcji żywności. Proces zmian zachodził względnie niezależnie w Chinach, na Bliskim Wschodzie, w Ameryce Południowej, Mezoameryce, Afryce.

Zatem nie niewinne „Adamy i Ewy”, ale też nie brutalny Homo oeconomicus. Może zatem lepiej zdefiniować naszą naturę Arystoteles, który twierdził, że jesteśmy „zwierzętami politycznymi”?

– W książce „Hierarchy in the Forest” („Hierarchia w lesie”) taką też stawia prymatolog prof. Christopher Boehm. Przekonuje, że choć tak jak inne naczelne też tworzymy hierarchie, tym, co odróżnia istoty ludzkie od goryli czy bonobo, jest coś, co Boehm nazywa w naukowym żargonie „actuarial intelligence”, „inteligencją aktuarial-

ną”. Ludzie mają bowiem zdolność tworzenia społeczeństw, posilkując się wyobraźnią. Możemy sobie narysować w głowie choćby konsekwencje przejścia władzy absolutnej przez najbardziej utalentowanego łowcę w grupie. Mnóstwo dowodów antropologicznych wskazuje, że łowcy-zbieracze opracowali wiele różnych pomysłów strategii, by powstrzymywać ludzi, którzy dążą do panowania, i zapobiegać rozpowszechnianiu się modelu charyzmatycznych przywódców. Do kruszenia ego i zawstydzania używali na przykład ironii czy humoru. Albo budowali koalicje przeciw takim jednostkom, robiły to choćby kobiety przeciwko dominującym mężczyznom. Fundamentem tych wszystkich strategii jest świadome działanie. Dla Boehma to esencja ludzkiej polityki.

Łowcy-zbieracze uprawiali politykę?

– Naukowy konsensus głosi, że od prawdopodobnie ponad 200 tys. lat nie doszło do żadnej fundamentalnej zmiany w ludzkim mózgu czy kognicji. Powinniśmy więc myśleć o ludziach żyjących na przestrzeni tego czasu jako o w pełni zdolnych do prowadzenia rozmów,

Z drugiej strony na razie nie mamy żadnych dowodów na to, że ludzie w tamtym czasie rzeczywiście żyli w królestwach lub księstwach. Poza ceremoniałem nic nie sugeruje istnienia społeczeństwa opartego na klasach.

Jeśli nie były to małe, nieposiadające dobytku grupy, ale też nie hierarchiczne królestwa, to co to były za społeczeństwa?

– Zależnie od pory roku ludzie albo z trudem zdobywali żywność, albo cieszyli się jej obfitością, np. podczas okresowych migracji stadnych zwierząt mieli dostęp do nadwyżek mięsa. A więc zależnie od pory roku żyli w dwóch kompletnie różnych światach społecznych. Tak się działo w bardzo zmiennych środowiskach, od regionu okolobiegunowego przez wielkie niziny Ameryki Północnej po Amazonię.

W czasach dostatku zbierali się w duże grupy. Na przykład Inuici tworzyli na takich sezonowych zgromadzeniach bardzo egalitarne społeczeństwa, w których nie istniała własność prywatna. Podczas długich, wypełnionych ceremoniami i ucztami zim dzielili się wszystkim, nawet partnerami seksualnymi. Gdy nadchodziło lato, dzie-

Mnóstwo dowodów wskazuje, że łowcy-zbieracze opracowali wiele pomysłów strategii, by powstrzymywać ludzi z zadatkami na charyzmatycznych przywódców

które nie różnią się jakoś bardzo od naszych. Trudno to przyjąć, bo przywykliśmy myśleć o naszych przodkach jako często bardziej podobnych do innych gatunków naczelnych niż do nas. Nazywamy to „mitem głupiego dzikusa”, nawiązując do mitu o „szlachetnym dzikusie” Rousseau.

Z jakimi modelami społecznymi eksperymentowali nasi odlegli przodkowie?

– Pod koniec epoki lodowcowej, ponad 20 tys. lat temu, Europa była tak różna od naszej, jak tylko można sobie wyobrazić, łowcy-zbieracze żyli na skraju lodowców, w tundrze, lesie i na stepie – przestrzeni dzielili m.in. z mamutami włochatymi. Rolnictwo zostało wynalezione dopiero za kilkanaście tysięcy lat. Tradycyjna narracja każe nam sobie wyobrażać, że po tym świecie wędrowały małe, egalitarne grupy łowców-zbieraczy z niewielkim dobytkiem. Tymczasem archeologia pokazuje nam coś zupełnie innego.

Elity i bogactwo?

– W całej Europie znajdujemy pozostałości po pochówkach, które wyglądają jak królewskie. Archeolodzy lubią nazywać ich książętami, bo ciała pokryte są bogactwem i ornamentami, są przy nich piękne przedmioty, ozdobna broń, symbole władzy. Mamy też ślady niezwykle, wielkich budowli z tamtego czasu, również w Polsce, w Krakowie, gdzie jest stanowisko Spadzista. Na obszarze ciągnącym się do Kijowa znajdujemy pozostałości konstrukcji z kości i kłów mamutów. Ludzie z epoki lodowcowej upolowali zwierzęta, oskórowali, wykorzystali mięso i na koniec budowali z ich kości pomniki.

lili się na mniejsze grupy i ruszali na wybrzeże polować na foki, morsy i ryby. Te mniejsze grupy były bardzo hierarchiczne, patriarchalne i oparte na zasadach własności prywatnej. Po prostu w ciągu roku te społeczeństwa przeskakiwały między systemami hierarchicznym a egalitarnym, przechodziły więc przez doroczną rewolucję.

Podobne modele społeczne funkcjonowały w naszej części Europy?

– Z Europy Środkowej i Wschodniej mamy być może jedne z najlepszych dowodów. W czasie zimnej wojny prowadzono zaawansowane badania archeologiczne na stanowisku Dolní Vestonice na Morawach w Czechosłowacji. Można zrekonstruować gromadzenie się tam w okresach migracji zwierząt ogromnej grupy ludzi, którzy organizowali spektakularne festiwale i rytuały. Gdy kończył się sezon łowiecki, ludzie rozpierzchali się w mniejszych grupach.

Współczesna archeologia wspierana przez archeogenetykę czy badania izotopowe oraz łącząc siły z analizą antropologiczną daje całkowicie nowy obraz wczesnych społeczeństw. To historia świadomego eksperymentowania i elastyczności. Konstruowanie instytucji, które z natury były tymczasowe, dawało ludziom wolność. Można sobie wyobrażać, w co by wyewoluowały te społeczności, gdyby nie rozbiły kształtujących się za każdym razem struktur hierarchicznych.

A wojny?

– Jest bardzo niewiele dowodów na temat prehistorycznych działań wojennych. Wydaje się, że były okresy wojen, ale też długie cza-

sy pokoju. W nieco nowszej historii rdzennych społeczeństw Ameryki Północnej dobrze udokumentowany jest trwający kilka stuleci okres wielkiego pokoju narodu Haudenosaunee, czyli Irokezów. Mamy tendencję do skupiania się na przemocy i działaniach zbrojnych, a być może za mało poważnie traktujemy pokój.

Politycy i obywatele odwołują się do argumentów o „naturze ludzkiej”. Przekonanie, że jesteśmy hierarchiczni lub egalitarni, altruistyczni albo Homo oeconomicus, wywodzi z tego, jacy byli pierwsi łowcy-zbieracze.

– Antropolodzy zrezygnowali już z próby wskazania jakiegoś punktu w przeszłości, w którym wyłonił się gatunek ludzki. Kiedyś snuto teorie o mitochondrialnej Ewie i jakimś pierwotnym społeczeństwie, które wyłoniło się w jednym konkretnym środowisku, prawdopodobnie na sawannie we wschodniej Afryce.

Ten obraz radykalnie się zmienił pod wpływem ostatnich dekad badań. Skamieliny i materiał genetyczny sugerują, że gatunek ludzki jest połączeniem różnych wczesnych odmian, które istniały równolegle w bardzo różnych środowiskach, regionach przybrzeżnych, lasach tropikalnych i na sawannach. Przez dziesiątki tysięcy lat dochodziło do interakcji, ale też do długich separacji, podczas których te istoty podlegały zmianom fizycznym. Z naszej perspektywy wyglądałoby pewnie jak postaci z zamieszkanego przez elfy, hobbity, krasnoludy świata Tolkiena.

Jeśli takie procesy zachodziły w biologii i fizjologii, to wyobraźmy sobie, co się działo w sferze kultury, społeczeństwa, języka, praktyk rodzicielstwa, płci kulturowej czy religii. Nie mamy jak tego zrekonstruować, ale możemy pożegnać się z przekonaniem, że istniało jakieś jedno pierwotne społeczeństwo.

Ale dziś planetę zamieszkuje 8 mld ludzi. Trudno sobie wyobrazić nasz złożony świat bez hierarchii, władzy i policji.

– Ale czy to naprawdę główna przyczyna tego, że jesteśmy zmuszeni żyć w obecnych systemach politycznych? Czy istnieje związek przyczynowo-skutkowy między skalą społeczeństw a hierarchicznymi organizacjami politycznymi? Hierarchia i dominacja również często funkcjonowały w małych wspólnotach, co w dużych. W małych może nawet częściej.

Czy istnieje egalitarna rodzina? Egalitarne gospodarstwo domowe? Przekonanie, że egalitaryzm jest naturalny dla małych grup, a nienaturalny dla dużych, nie brzmi sensownie. Rdzenne społeczności zamieszkujące północno-zachodnie wybrzeże Pacyfiku dzisiejszej Kanady i USA tworzyły nieduże, a bardzo hierarchiczne oraz rozwarstwione gospodarstwa domowe. Te małe społeczeństwa dzieliły się na arystokratów, plebejuszy i niewolników, którzy byli nawet dziedziczeni. Musimy przyjąć, że hierarchia i dominacja istniały i będą istnieć. Wczesne społeczeństwa po prostu wyznaczały przeróżne strategie, by powstrzymać najgorsze autorytaryzmy.

Istniały egalitarne miasta?

– Mamy przykłady większych i bardziej zagęszczonych populacji, któ-

rych struktura przybrała hierarchiczny i często brutalny kształt. Jednak mamy też miasta, gdzie nie było korelacji między skalą a hierarchią – najbardziej uderzające przykłady pochodzą z Ukrainy. Są dowody, że na niezwykle urodzajnych czarnoziemach między Dnieprem a Bugiem ogromne populacje istniały już 6 tys. lat temu, czyli gdy na Bliskim Wschodzie powstawały uznawane za najstarsze na świecie miasta.

W starożytnej Mezopotamii miasta tworzyły się wokół świątyń i centrów administracyjnych. Te na terenie obecnej Ukrainy mają zupełnie inny kształt. Wiemy to m.in. dzięki pionierskim pracom ukraińskich i sowieckich archeologów, którzy w latach 70. korzystali z metody magnetycznej, by ustalić usytuowanie obiektów. Stworzyli niesamowite obrazy rozchodzących się pierścieni domów, które miały mniej więcej tę samą wielkość. Wygląda na to, że nie było to homogeniczne społeczeństwo. Każdy dom ma własny styl. Znalaziono tam jedne z najpiękniejszych ceramik dawnego świata. Nie ma natomiast dowodów wskazujących, że istniały tam świątynie, pałace czy bogate pochówki.

Co to mówi nam o tamtym społeczeństwie?

– Przed rosyjską inwazją na Ukrainę prowadzono tam sporo międzynarodowych badań, naukowcy zdobywali szczegółową wiedzę na temat organizacji tych miejsc. Bez spisanych świadectw trudno sobie wyobrazić, jak funkcjonowało to miasto, ale niektórzy archeolodzy przekonują, że potrafia zrekonstruować dzielnice, w których centrum były miejsca spotkań – domy zgromadzeń. Najpewniej to było duże społeczeństwo, które zdołało na wiele stuleci zorganizować się w nieautorytarne struktury bez elit władzy.

Dlaczego niektóre miasta były egalitarne, a inne hierarchiczne?

– Porównujemy społeczeństwa łowców-zbieraczy na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej. Zasadniczo żyły w takich samych środowiskach, a jednak niektóre praktykowały niewolnictwo, a inne – żyjące tuż obok – je odrzuciły. Szukając odpowiedzi na to pytanie, doszliśmy do wniosku, że konieczne jest uwzględnienie również innych niż ekologiczne czynników, czyli polityki, etyki czy nawet kulturowego postrzegania płci.

Jakie wnioski z prehistorii mogą być dziś dla nas inspirujące?

– William Blake pisał o „wykutyh w umyśle kajdanach”, czyli łańcuchach w głowie, które trzymają nas w potrzasku. Dlaczego nasza dzisiejsza wyobraźnia jest tak bardzo ograniczona? Proponujemy, by pytanie o nierówności zastąpić refleksją o wolności i z niej uczynić wektor porównawczy dla różnych społeczeństw. Jak wynika z naszych analiz, wolne społeczeństwo to takie, które może kolektywnie zdecydować, że chce się reorganizować. Wydaje się, że ludzie budowali takie nowe społeczne światy przez dziesiątki tysięcy lat. Oczywiście z różnym rezultatem, wiemy przecież, czym było imperium Azteków, niemniej to dobry moment na refleksję o tej szczególnej zdolności gatunku ludzkiego i o tym, dlaczego gdy obecnie ktoś zaczyna mówić o alternatywach dla ustroju społecznego, bywa nazywany wariatem.

Europejczycy są niezwykle dumni ze swojego oświeceniowego dziedzictwa i „europejskich wartości”, jak demokracja, wolność i równość. Czy rzeczywiście zostały one zainspirowane przez „barbarzyńskie plemiona”?

– Sposób, w jaki zadała pani pytanie, już wskazuje odpowiedź. Ze względu na to, jak jesteśmy uczeni o nie-Europejczykach, trudno komuś, kto przeszedł przez taką edukację, potraktować poważnie myśl, że ogromny wkład intelektualny wnieśli ludzie, którzy mogli być niepiśmienni, nie wiedzieli nic o starożytnej Grecji i Rzymianach i nie czytali Platona.

We wspaniałej książce „Kryzys świadomości europejskiej 1680-1715” francuski historyk Paul Hazard opisuje XVIII w. jako

epokę kosmopolityzmu. Europejczycy kolonizowali, handlowali i podróżowali, spotykali się z rdzennymi mieszkańcami Ameryki, Dalekiego Wschodu, Indii, Afryki Północnej, imperium osmańskiego. Hazard przekonuje, że to, co nazywamy Oświeceniem, było rezultatem wszystkich tych spotkań.

Zupełnie inaczej jednak o tym nauczamy. Francuski filozof Bruno Latour nazywał to puryfikacją – filtrowaniem historycznej mieszanki tak, by pozbyć się elementów, które nie pasują do uproszczonego obrazu. Na tym obrazie Oświecenie jest choćby zdominowane przez mężczyzn, gdy w rzeczywistości pionierkami tego intelektualnego ruchu były kobiety, które nazywano salonistkami, jak Madame de Graffigny.

W 1747 r. de Graffigny opublikowała powieść „Listy Peruwianki”, której główną bohaterką jest wymyślona przez autorkę Zilia, porwana przez Hiszpanów księżniczka imperium Inków.

– Jej książka bywa uważana za feministyczny przełom, bo Zilia może być pierwszą protagonistką europejskiej powieści, która nie wychodzi za mąż i nie umiera. Piszę natomiast listy, w których ze swojej perspektywy krytykuje europejską cywilizację: okrucieństwo, bestialstwo, bezdusność i brutalne nierówności. Jezuita z Ameryki Północnej też opisywali, że rdzenni mieszkańcy byli zszokowani bezdomnością i żebractwem w miastach kolonialnych – jakie społeczeństwo robi to własnym ludziom?

Takie literackie „dialogi” był wówczas bardzo popularne w Europie.

– Wielu myślicieli oświeceniowych, choćby Diderot, Monteskiusz czy Voltaire, stworzyło jakąś wersję tego rodzaju rozmów z fikcyjnym „barbarzyńcą” z jakiejś egzotycznej cywilizacji, który obserwuje europejskie społeczeństwa i krytykuje je za brak wolności, równości oraz obsesję na punkcie pieniędzy, monarchii oraz Kościoła. Te krytyki miały ogromny wpływ na ówczesne europejskie myślenie, za kilka dekad wybuchnie przecież rewolucja francuska. Większość głównych bohaterów była co prawda fikcyjna, ale gatunek literacki zapoczątkowali autorzy, którzy spędzili długie lata w europejskich koloniach w Amerykach.

Jak francuski baron Lahontan.

– Który w wieku 17 lat pojechał do kolonii nazywanej wówczas Nową Francją, na terenach, które były domem Haudenosaunee oraz Wyandotów, czyli Huronów. Europejczycy handlowali z nimi, tworzyli sojusze wojenne, wchodzili w związki małżeńskie i uczyli się języków. Lahontan niezbyt dogadywał się z misjonarzami jezuickimi, zaprzyjaźnił się natomiast z kilkoma znaczącymi postaciami życia politycznego rdzennych narodów. Jedną z nich był Kandiaronk. Różne świadectwa z XVII w. opisują go jako wojownika, handlarza i dyplomata, ale też genialnego myśliciela oraz utalentowanego mówcę. Gubernator Nowej Francji zapraszał go do stołu i do debatowania dla rozrywki.

Kandiaronk był utalentowany, ale nie był odosobniony, był po prostu częścią świata Wyandotów. Rdzenne społeczeństwa w tym regionie nie korzystały zbyt dużo z pisma, ale za to miały niezwykle rozwinięte systemy debat i potyczek oratorskich. Były też

stosunkowo wolne od przymusu. Wodzowie mogli wydawać rozkazy, ale nikt nie miał obowiązku się do nich stosować. Innymi słowy, jeśli chciałeś przekonać ludzi, by zaangażowali się w jakiś wspólny projekt, choćby wojnę, jedynym sposobem była perswazja. Misjonarze i inni Europejczycy odnotowywali wyraźny związek między brakiem przymusu a rozwojem zwyczajów i instytucji, które my uznalibyśmy za demokratyczne.

W 1703 r. Lahontan wydał „Ciekawe dialogi z dzikusem obdarzonym zdrowym rozsądkiem, który dużo podróżował”.

– Autor dyskutuje z postacią o imieniu Adario, wszyscy uznają, że został on oparty na Kandiaronku. Protagonista niezwykle dowcipnie krytykuje europejską cywilizację. Sporo mówi o tym, jak straszny wpływ na relacje międzyludzkie mają własność prywatna i pieniądze. Dyskutuje o wolności i równości. Rozprawiając zaś o seksualności i małżeństwie, Adario pokazuje, jak dużo łatwiej rozwieść się kobietom w rdzennych społeczeństwach Ameryki niż w Europie.

Książka stała się wielkim bestsellerem, została przetłumaczona na wiele języków, a na scenach teatrów przez dekady grano oparte na niej sztuki. Stała się inspiracją dla kolejnych „dialogów”.

Spółeczeństwo, którego częścią był Kandiaronk, naprawdę było idealne?

– Nie chodzi o to, żeby romantyzować rdzenne narody, są oczywiście również nieprzyjemne aspekty społeczeństwa Wyandotów, jak tortury jeńców i więźniów. Nie chodzi o stworzenie jakiejś idealistycznej fantazji o szlachetnym barbarzyńcy, tylko o dostrzeżenie, że wiele przekonań o demokracji i wolności pochodziło od północnoamerykańskich rdzennych mieszkańców. Wprost mówiło o tym wielu europejskich oświeceniowych filozofów.

Pouczająca jest również różnica w pojmowaniu indywidualizmu.

– Wystarczy wyjrzeć poza europejski kontekst, by zauważyć, że dla wielu społeczeństw nie było sprzeczności między osobistą autonomią czy indywidualizmem a odpowiedzialnością społeczną. To, jak bardzo różni się to podejście od naszego współczesnego, najlepiej widać w Stanach Zjednoczonych, gdzie cokolwiek choć trochę „komunistycznego” czy „socjalistycznego” postrzegane jest jako sprzeczne z wolnością jednostki. Dlatego tak wielu ludzi głosuje przeciwko ubezpieczeniu zdrowotnemu. I dlatego – choć w strzelaninach w szkołach giną dzieci – Amerykanie są gotowi do ostatniego tchnienia walczyć o prawo do broni, bo postrzegają to jako bezcenny aspekt ich osobistej autonomii.

Europejskich obserwatorów intrygowało, że irokeskie społeczeństwa były bardziej egalitarne niż europejskie, a jednocześnie ludzie mieli tam znacznie więcej osobistej autonomii.

– Fundamentem tej osobistej wolności były wzajemne wsparcie, brak przymusu oraz kar. Stworzyli mechanizmy, które zapobiegały wpadaniu jednostek w skrajną nędzę czy głód, bo w tak rozpaczliwej sytuacji człowiek nie ma wolności do zrobienia czegokolwiek, stara się jedynie przeżyć. Nie mieli pra-

wa karnego – zamiast fizycznie kogoś ukarać albo wsadzić do więzienia, zobowiązywano całą rodzinę, a nawet klan, do płacenia rekompensat, co miało motywować do wzajemnego kontrolowania się krewnych. Jezuita przyznawali, że przestępczość była tam niższa niż w miastach kolonialnych.

W toku historycznej analizy wypracowaliście trzy uniwersalne podstawowe wolności społeczne.

– Czyli takie, które nie są realizowane kosztem innych, jak na przykład wtedy, gdy odmawiasz noszenia maseczki i narażasz jadąc tym samym pociągami starsze osoby.

Pierwsza to wolność przemieszczania się.

– Po prostu wolność do wstania i wyjścia. Oparta na idei schronienia, czyli na założeniu, że zostaniesz przyjęty, zaopiekowany i nakarmiony w innym miejscu. Aborygeni w Australii rozwinęli bardzo wyrafinowaną infrastrukturę w tym celu – gdy przemieszczali się na wielkie odległości, poza swoją grupą, a nawet poza zasięg swojego języka, mogli liczyć, że zostaną przywitani jak swoi.

Niezbýt dobry czas na taki postulat.

– Wasz kraj zademonstrował, że to wciąż jest możliwe na niezwykle skalę. Pytanie, dlaczego nie budujemy więcej systemów opartych na tej zasadzie.

Druga to wolność do nieposłuszeństwa.

– Do powiedzenia „nie” arbitralnym rozkazom, bo te powinna zastąpić debata.

Pierwsze dwie formy wolności są podstawą dla trzeciej, najbardziej fundamentalnej – wolności do reorganizowania porządków społecznych i budowania nowych społecznych światów.

Co dziś może oznaczać trzecia wolność?

– Współczesne państwo nie ma jednego źródła, jest amalgamatem różnych instytucji, które znalazły się w jednym organizmie przez serię historycznych przypadków, a potem rozlały się po świecie za pośrednictwem imperiów i kolonializmu. Suwerenność, biurokracja i charyzmatyczne przywództwo – wszystkie te koncepty mają różne korzenie. Powinniśmy więc korzystać z wolności, by wyobrazić sobie łączenie ich w jakiś inny sposób albo nawet rozdzielenie.

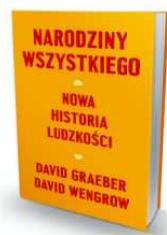
W obliczu kryzysu klimatycznego i erozji demokracji kluczowe wydaje się znalezienie sposobu na uwolnienie decyzji dotyczących odleglejszej przyszłości społeczeństw od krótkookresowych interesów partii politycznych i logiki wyborów. ●

Rozmowy z Davidem Wengrowem wystuchacie Państwo w



David Wengrow

• jest profesorem archeologii na University College London. Sławniejszy był drugi David, antropolog Graeber, autor m.in. „Długu. Pierwsze pięć tysięcy lat” i „Pracy bez sensu” oraz jeden z liderów ruchu Occupy Wall Street. Graeber zmarł nagle, miesiąc po ukończeniu książki, nad którą pracowali 10 lat



„Narodziny wszystkiego. Nowa historia ludzkości”, David Graeber i David Wengrow, tłum. Robert Filipowski, wyd. Zysk i S-ka

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmieniać szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przy-

szłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmienia się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i próbujemy

zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

W Boże Narodzenie chcę doświadczyć sernika

Jak to jest z tym prawem do obchodzenia Bożego Narodzenia przez niewierzących?

Magdalena Czyż

No, no... awantura na sto fajerek! Profesor Marcin Matczak postanowił przejechać lewicowym ateistom, i nie tylko lewicowym, kijem po klatce. Jako kija użył sprytnie wschodzącej gwiazdy lewicy, filozofa Byunga-Chul Hana. Takiego nowego Slavoja Žižka. Stary się zepsuł, bo się zliberalizował. Tego nowego zdaje się, że niechcący prof. Matczak właśnie na polskim podwórku spalił. „Krytyka Polityczna” już raczej na tłumaczeniu i wydawaniu jego esejów nie zarobi. A taki był ładny, koreańsko-niemiecki. Szkoda!

Nie zamierzam jednak uprzyjemniać sobie wieczoru, wyzłoshiwając się na stan lewicowo-progresywnej myśli filozoficznej w Polsce, bo znacznie bardziej zajmuje mnie to, co obserwuję w konserwatywnej prasie konfesyjnej od długiego już czasu, a co prof. Matczak chcący bądź niechcący przeniósł na łamy „Wyborczej” za pomocą, o iro-
nio, tego lewicowego filozofa.

Otóż w okolicy świąt Bożego Narodzenia co rusz pojawiają się teksty i wywiady dotyczące świętowania tych świąt przez ateistów. Nawet nie o sposobach ich świętowania, tylko stawiające pytania o prawo do świętowania.

Pobrzmiewa w tych tekstach szydercza nuta w stylu: „Tacy z was wielu ateści?! Tak plujecie na Kościół i religię?! Ale jak przychodzi Boże Narodzenie, to wszyscy stroicie choinkę, dzielicie się opłatkiem, zjadacie karpia i makowca i udajecie, że to nie wy?! Skoro nie wierzycie w Jezusa i złóbek, to jakim prawem świętujecie?! Hipokryci!”.

No więc jak to jest z tym prawem do obchodzenia Bożego Narodzenia przez niewierzących? Ano chyba tak samo jak z każdym innym prawem, czyli co nie jest zabronione, to jest dozwolone.

Matczak przeniósł na łamy „Wyborczej” coś, co obserwuję w konserwatywnej prasie konfesyjnej od długiego już czasu

Jako niewierząca przebyłam długą drogę do swojego dzisiejszego sposobu obchodzenia tych dni. Od zmuszania się w młodości do rodzinnej celebry, poprzez całkowite odrzucenie i pracę w tym czasie czy ucieczkę nad ciepłe morza, do mojego dzisiejszego ich kształtu.

Czyli – tu podpowiadam tym, którzy są w połowie tej drogi i ciągle jeszcze nie wiedzą, co z tym fantem zrobić w przyszłym roku – dokonałam bardzo subiektywnej selekcji tego, jak te dni spędzić. Wybrałam to, co mi się podoba, odrzuciłam to, co się nie podoba. Na przykład karpia, polskie koledy i kilka innych idiotycznych polskich tradycji. I tak stworzyłam sobie najprzyjemniejsze dni w roku.

A że płytkie i pozbawione głębokiej, chrześcijańskiej treści? I co z tego, pytam! Gdzie jest powiedziane, że akurat 25 grudnia muszę doświadczać jakiejś egzystencjalno-duchowej głębi po to, aby móc powiedzieć, że godnie tego 25 grudnia przeżyłam? Dlaczego wierzący czują się uprawnieni do pouczania mnie, że akurat 25 grudnia każdego roku powinnam doświadczyć jakiejś duchowej iluminacji? Podczas gdy ja chcę doświadczyć sernika i serialu na Netfliksie! No i jeszcze pysznej kolacji z przyjaciółmi.

Żałuję, że profesor Matczak został przez chyba większość czytelników źle zrozumiany. Jego tekst uważam za jeden z wartościowszych, które ukazały się w mijającym roku na łamach „Wyborczej”. Cenny jest dlatego, że pokazuje bezradność społeczeństwa postreligijnego wobec sacrum. Takiego czy innego, którego istnienia jakoś tam doświadcza.

Problem tylko w tym, że wyszedł z założenia, że przeżycie duchowej głębi jest warunkiem sine qua non autentycznego przeżycia świąt Bożego Narodzenia. A co z tymi, którzy tej głębi ani tej autentyczności zwyczajnie nie potrzebują? Co z tymi, którzy chcą tylko miło spędzić czas?

Jak śpiewał nieodżałowany Jacek Kaczmarski: „Dajcie żyć po swojemu grzesznemu, a i świętym żyć będzie przyjemniej”.

Bezkarność+

Czy wójt gminy Wapno uruchomił w PiS pokłady wrażliwości.

Adam Bodnar*

Prezydent Andrzej Duda przed świętami podpisał ustawę z dnia 1 grudnia 2022 r. o zaniechaniu ścigania za niektóre czyny związane z organizacją wyborów Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, zarządzonych na dzień 10 maja 2020 r. Ustawa jest popularnie zwana ustawą „Bezkarność plus”. Sama w sobie jest kuriozalnym i niezwykle szkodliwym przykładem wkroczenia władzy ustawodawczej w kompetencje sądowe poprzez stworzenie mechanizmu abolicyjno-amnestyjnego. W czasach kiedy Trybunał Konstytucyjny przestał być niezależnym sądem, tego typu ustawy mogą budzić jedynie oburzenie. Jednak nie ma rzeczywistych szans na ich zablokowanie, a tym samym powstrzymanie dalszego procesu niszczenia państwa prawa.

Zgodnie z politycznymi deklaracjami głównym celem „Bezkarności plus” jest zwolnienie z odpowiedzialności karnej wójtów, burmistrzów i prezydentów, którzy zdecydowali się przekazać Poczcie Polskiej dane dotyczące wyborców w kontekście wyborów korespondencyjnych. PiS dopiero za drugim razem zdołał przepchnąć to rozwiązanie prawne pomimo krytycznych opinii ekspertów, opozycji, społeczeństwa obywatelskiego i dziennikarzy.

Jednak powstaje pytanie, czy faktycznie to jest jedyny cel ustawy. Czy rzeczywiście partii rządzącej tak bardzo zależy na losie samorządowców, którzy trafili w tryby wielkiej polityki i zostali skazani za przekazywanie danych osobowych? Czy rzeczywiście wójt gminy Wapno, pierwszy skazany w kontekście tych wyborów, uruchomił pokłady wrażliwości w politykach prowadzące do przyjęcia ustawy? Może jednak chodzi o coś więcej?

Warto przypomnieć, że kluczowe decyzje w sprawie organizacji „wyborów kopertowych” podejmował 16 kwietnia 2020 premier Morawiecki. Był w tym wspierany przez ministra Jacka Sasina. Nie bez przyczyny w 2020 r. memem stała się jednostka miary „jeden Sasin” – równowartość 70 milionów złotych wydanych na „wybory kopertowe”.

Decyzja premiera o poleceniu organizacji wyborów została dość szybko oceniona przez Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie. W wyroku z 15 września 2020 r. wydanym w wyniku skargi Rzecznika Praw Obywatelskich WSA stwierdził, że premier RP dopuścił się rażącego naruszenia prawa poprzez nakazanie Poczcie Polskiej organizacji wyborów pomimo braku odpowiednich przepisów ustawowych (sygn. akt VII SA/Wa 992/20).

Wyrok wywołał sporą dyskusję wśród polityków obozu rządzącego.

W mailach ze skrzynki Michała Dworczyka możemy się dowiedzieć, że spowodował niemalą panikę w kancelarii premiera. Jak pisał jeden z doradców: „Ostro to grzeją w mediach”, i zachęcał do różnych reakcji całego obozu Zjednoczonej Prawicy.

Na temat działań premiera wypowiedziała się Najwyższa Izba Kontroli. W raporcie ogłoszonym w maju 2021 r. NIK stwierdziła, że decyzje z 16 kwietnia nie miały podstawy prawnej. Co więcej, służby wewnętrzne KPRM oraz Prokuraturii Generalnej skarbu państwa wskazywały na wadliwość prawną takich działań. Niemniej

Mimo upływu ponad 2 lat od wyroku WSA wciąż w sprawie nie orzekł Naczelny Sąd Administracyjny. To może budzić wątpliwość, zważywszy, że sprawa nie jest jakoś szczególnie skomplikowana

decyzje premiera doprowadziły do zlecenia druku kart wyborczych (Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych) oraz do przekazywania danych wyborców na rzecz samorządów (Poczta Polska). Prezes NIK Marian Banaś złożył w związku z tym do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa.

Premier odwołał się od wyroku WSA i złożył skargę kasacyjną do NSA. Ustosunkował się do niej RPO. Jednak pomimo upływu ponad 2 lat od wyroku WSA wciąż w sprawie nie orzekł Naczelny Sąd Administracyjny. To może budzić wątpliwość, zważywszy, że sprawa nie jest jakoś szczególnie skomplikowana – sprowadza się w zasadzie do odpowiedzi, czy premier miał podstawę prawną do wydania decyzji administracyjnej, czy też nie miał. WSA poradził sobie z tym problemem w kilka miesięcy, więc nie bardzo wiadomo, na co czeka NSA. Czyżby na wybory parlamentarne?

Wyobraźmy sobie jednak optymistycznie, że NSA zdecydował się wkrótce na wydanie wyroku i potwierdził ustalenia dokonane przez WSA. To by oznaczało konieczność pociągnięcia premiera do odpowiedzialności karnej. Ale w takiej sytuacji premier będzie mógł sięgnąć po ustawę „Bezkarność plus” i obficie ją cytować prokuratorowi (a w przyszłej kadencji posłom z komisji odpowiedzialności konstytucyjnej). Najpierw będzie mógł zacytować preambułę do ustawy wskazującą, że przecież także organy władzy wykonawczej „znalazły się w 2020 r. w nieznanym wcześniej sytuacji zagrożenia życia i zdrowia obywateli Rzeczypospolitej Polskiej”, a także, że spoczywała na nich odpowiedzialność za zapewnienie „ciągłości działalności państwa” oraz „przeprowa-

dzenia wyborów w konstytucyjnie określonym terminie”.

Następnie będzie mógł sięgnąć po art. 1, który stanowi, że „nie wszczyna się postępowania” o czyn popełniony w czasie obowiązywania epidemii polegający na przekazaniu operatorowi pocztowemu listu wyborców. Skoro „nie wszczyna się” w stosunku do wójtów, burmistrzów i prezydentów, to tym bardziej premier nie może ponosić odpowiedzialności za to, że w ogóle operatora komunikacyjnego do organizacji wyborów zobowiązał. Na ten właśnie skutek ustawy zwracał uwagę senator Krzysztof Kwiatkowski w debacie senackiej 14 grudnia. Pod-

kreślał, że „nie chodzi o wyłączenie o samorządowców. Przecież jak będzie abolicja dla samorządowców, to jak karać tego, który wydawał polecenia nakładające na samorządowców do określonego działania?”.

Od czasu słynnego ulaskawienia Mariusza Kamińskiego i jego przybocznych prezydent Duda przyzwyczaił opinię publiczną do myślenia, że ludziom z jego obozu politycznego głos z głowy nie spadnie. Dzięki ustawie „Bezkarność plus” premier i jego ministrowie nie muszą się już nawet martwić o ewentualne prezydenckie prawo łaski w kontekście organizacji „wyborów kopertowych”. Używając odpowiednio argumentów z ustawy, poradzą sobie z problemami prawnymi już na wcześniejszym etapie. Naprawdę – to nie o los samorządowców w tym wypadku chodziło... ●

Dr hab. Adam Bodnar

• prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji, autor książki „Nigdy nie odpuszczę” (Agora, 2022).

• Książka dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



NASZA EUROPA

Poufne rozmowy British Museum z rządem Grecji

OPERACJA PARTENON



Rząd w Londynie oficjalnie twardo mówi „nie”, ale przewodniczący rady powierniczej British Museum, były minister George Osborne, już kilkakrotnie spotykał się z greckim premierem. Czy „marmury Elgina” wrócą do Aten?

Rafa de Miguel

EL PAÍS

Kiedy historia przyspiesza i w zasięgu wzroku pojawia się finał wieloletniej waśni, nawet twardy marmur Partenonu w Atenach zamienia się w kruchą i delikatną porcelanę. Każdy nieprzemysłany ruch może ją skruszyć.

Dyrekcja British Museum od 2021 r. prowadzi tajne rozmowy z greckim rządem na temat ewentualnego powrotu na Akropol wszystkich posągów i płaskorzeźb z fryzu, metop i frontonów starożytnej budowli, które od dwóch wieków są niezmiennie eksponowane w Londynie.

Stanowią one ponad połowę zachowanego zespołu rzeźbiarskiego świątyni.

Yannis Andritsopoulos, brytyjski korespondent greckiego dziennika „Ta Nea”, poinformował o tym fakcie na początku grudnia. Od tego czasu rząd Rishiego Sunaka i kierownictwo londyńskiego muzeum zajmują się niuansowaniem informacji udzielanych publicznie. Spór od dziesięcioleci wywołuje w Wielkiej Brytanii i Grecji zapalczywe i namiętne debaty, a zarazem wszystkie strony są świadome potrze-

by deeskalacji i obniżenia poziomu nagromadzonej od lat toksyczności tego tematu. Nikt nie neguje faktów, ale diabeł, jak zawsze, kryje się w szczegółach.

„Aby sprawa mogła ruszyć do przodu, obie strony muszą pójść na ustępstwa, choć to oczywiście w żaden sposób nie oznacza, że Grecja jest skłonna zrezygnować z prawa własności do marmurów. Ale to, co się stało, jest wyraźnym krokiem naprzód, ponieważ po raz pierwszy od ponad 20 lat rozmawiają i poważnie negocjują” – mówi Andritsopoulos. „Wiem, że po obu stronach jest wola wyjścia z impasu, ale jeszcze nie wiadomo, jak daleko chcą się posunąć”.

Nowy gmach na Akropolu już czeka

Były kanclerz skarbu za czasów konserwatywnego rządu Davida Camerona, George Osborne, jest obecnie przewodniczącym rady powierniczej British Museum. To sprytny i pewny siebie polityk, zawsze gotowy do zaznaczenia swojej obecności w głównych debatach krajowych. Ale za jego nazwiskiem ciągnie się cień: Brytyjczycy obarczają go główną odpowiedzialnością za lata surowych oszczędności, które nastąpiły po kryzysie finansowym z 2008 r. Być może właśnie dlatego dąży teraz do etycznego gestu o gigantycznych konsekwencjach nie tylko dla brytyjskiego muzealnictwa, który uczyniłby jego kraj ponownie liderem w oczach świata.

Pierwsze tajne spotkanie Osborne’a z konserwatywnym premierem Grecji Kyriakosem Mitsotakisem odbyło się w listopadzie 2021 w Londynie. Downing Street 10 po raz kolejny nie zgodziło się wtedy na powrót marmurów na swoje miejsce. Nowy, spektakularny gmach Muzeum Akropolu był już przygotowany na przyjęcie brakujących elementów kompleksu architektonicznego, którego powstanie, pod nadzorem rzeźbiarza Fidiasza, zlecił 2500 lat temu Perykles.

Długo naprawienie krzywdy, jaką wyrządził Partenonowi hrabia Elgin, ambasador brytyjski przy imperium osmańskim, wywołując z Aten na początku XIX w. tony starożytnych rzeźb, było na Wyspach tematem tabu, ale w ostatnich latach szybko rośnie

poparcie dla tej idei. Ponowne połączenie w tej samej przestrzeni rozczłonkowanych pozostałości uniwersalnego symbolu demokracji ma nagle sens i wydaje się aktem dziejowej sprawiedliwości w oczach milionów Brytyjczyków i ludzi na całym świecie.

Były premier Boris Johnson, który rozmawiał o tym z Mitsotakisem, jest miłośnikiem klasycznej Grecji i potrafi wyrecytować z pamięci pierwsze sto wersów „Odysei”. Jako student Oksfordu w 1986 r. zaprosił nawet Melinę Mercouri, grecką aktorkę, piosenkarkę i minister kultury, która prowadziła wtedy kampanii na rzecz zwrotu rzeźb, do debaty na uniwersytecie. A jako burmistrz Londynu przekonywał w 2012 r. w liście do władz greckich, że „w idealnym świecie marmury Partenonu nigdy nie powinny być zostać usunięte z Akropolu”.

Jednak jego odpowiedź jako premiera Wielkiej Brytanii była powściągliwsza. Uznał, że sprawa leży w całości w gestii British Museum, które nabyło rzeźby w dobrej wierze i legalnie, a rząd nie ma tu nic do powiedzenia.

Klimat się zmienia, czas na „zjednoczenie” rzeźb

Tymczasem Osborne kontynuował swoją tajną dyplomację kulturalną. Po spotkaniu z Mitsotakisem w londyńskiej rezydencji greckiego ambasadora, przy 51 Upper Brook Street, odbył spotkania z Georgiossem Gerapetritisem, ministrem stanu, oraz Nikosem Dendiasem, ministrem spraw zagranicznych, rozważając pomysły sposoby rozwiązania sporu.

Wypożyczenie części rzeźb? Depozyt? Na stałe czy odnawialny co jakiś czas? A może wymiana arcydzieł? Grecja przedstawiła pomysł wysłania skarbów archeologicznych, które nigdy wcześniej nie opuściły Aten, na długotrwałą ekspozycję do British Museum. Nikt nie musi od razu zrezygnować z roszczeń, ale jakieś rozwiązanie jest możliwe – postulowano.

Thomas Bruce, lord Elgin, był dyplomatą, który za zgodą imperium osmańskiego, którego częścią były wtedy Ateny, zabrał ponad połowę ocalałych do czasów nowożyt-

nych posągów. W 1816 r., w obliczu kłopotów finansowych, sprzedał je londyńskiemu muzeum za 350 tysięcy ówczesnych funtów.

Dokumenty i pozwolenia udzielone Elginowi przez Turków przewidywały wykonanie szkiców i rysunków dzieł z Partenonu, a nawet pozyskanie artefaktów znalezionych przez niego w ziemi. Nie uwzględniały jednak możliwości dzikiego odpilowywania fryzów, metop i figur, co Elgin bezceremonialnie uczynił.

Pod koniec listopada ubiegłego roku Osborne odwiedził hotel Berkeley w londyńskim Knightsbridge, by ponownie spotkać się z greckim premierem, rok po ich pierwszym spotkaniu. Kilka dni później, przed audytorium w London School of Economics, Mitsotakis po raz pierwszy przyznał, że „zarysował się lepszy klimat zrozumienia, który mógłby umożliwić wzajemnie korzystne rozwiązanie”. Grek był ostrożny, ale powiedział, że „wyczuwa, że czas jest odpowiedni”, aby rozważyć „zjednoczenie rzeźb, które uwzględniałoby obawy British Museum”.

Ważny w tym sporze stał się bowiem również język. Tak jak niektórzy mówią o „marmurach Elgina”, a nie o „marmurach Partenonu”, aby zasygnalizować usankcjonowane posiadanie rzeźb, tak termin „zjednoczenie” ma oznaczać coś szlachetniejszego, bardziej uniwersalnego i dającego się obronić, niż po prostu zwrot, który byłby uznaniem wyrządzonej krzywdy.

W grudniu niemiecka minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock sfinalizowała spektakularny gest Berlina: bezcenne artefakty znane jako brązy z Beninu, zrabowane przez brytyjskich żołnierzy 125 lat temu podczas ekspedycji karnej, a następnie sprzedane do muzeów w Berlinie, Hamburgu, Stuttgarcie i Kolonii, zostały przekazane przez Niemcy rządowi Nigerii. Dodajmy, że największą kolekcję brązów z Beninu ma dziś w posiadaniu British Museum.

„Wielka Brytania ma większość zrabowanych z Beninu dzieł i dlatego sądziliśmy, że będzie chciała dać przykład, jak przeprowadzać restytucję dziedzictwa. Niestety tego nie robi” – mówił podczas ceremonii przekazania brązów Godwin Obaseki, gubernator

NASZA EUROPA

Turecka rozgrywka kosztem Chin

NOWA FABRYKA ŚWIATA?

Fragment fryzu z Partenonu na ekspozycji w British Museum
FOT. SHUTTERSTOCK



nigeryjskiego stanu Edo, którego współczesne granice obejmują region niegdyś należący do zachodnioafrykańskiego królestwa Beninu.

Ostatnie gesty m.in. premiera Holandii Marka Rutte (przeprósł za udział jego kraju w organizowaniu handlu niewolnikami) czy prezydenta Francji Emmanuela Macrona (który przed pięcioma laty dał impuls procesowi zwrotu dzieł sztuki do byłych kolonii, przekazując 26 obiektów z Musée du quai Branly Republique Beninu) – to wszystko powoduje, że zasadnicza zmiana listy obiektów muzealnych w instytucjach w zachodniej Europie staje się nie tylko coraz bardziej możliwa do wyobrażenia, ale też po prostu prawdopodobna.

Opcja wyjścia z tarczą

„Nigdy nie złamiemy prawa ani nie zde-montujemy wspianiałej stalej kolekcji w naszych galeriach, która opowiada wyjątkową historię wspólnego dziedzictwa ludzkości. Ale szukamy nowych, pozytywnych, długoterminowych partnerstw z krajami i społecznościami na całym świecie, w tym oczywiście z Grecją” – ogłosiło British Museum w oświadczeniu. A sam rząd Sunaka wykluczył możliwość jakiegolwiek zmiany ustawy o British Museum z 1963 r., która zabrania tej instytucji jednostronnego pozbywania się swoich zbiorów.

Wiadomo jednak, że presja społeczna rośnie – i tak, jak Ateny mogłyby być skłonne odłożyć na bok swoje roszczenia (choć nie rzec się ich), tak Londyn mógłby odetchnąć z ulgą na myśl o ustaleniu bezterminowego wypożyczenia marmurów. Wróciłyby na Akropol – być może jak te książki, które przyjaciele pożyczają sobie nawzajem, biorąc pod uwagę, że już nigdy nie ujrzą ich u siebie. ●

Prezydent Erdogan chce wykorzystać kłopoty Chin i zmienić swój kraj w „jeden z wiodących na świecie ośrodków produkcyjnych”.

Carolina Drüten

WELT

Globalne łańcuchy dostaw ukazały swoją kruchość w ostatnich latach. Wobec pęczniejących problemów Chin z powodu pandemii koronawirusa – najpierw prawie trzyletniej dra-koniskiej strategii „zero COVID”, a obecnie nagłego i radykalnego jej odrzucenia – wiele firm chce przenieść stamtąd swoją produkcję do Europy lub w jej pobliżu. Natomiast prezydent Turcji Recep Tayyip Erdogan dąży do tego, aby zakładali oni działalność w jego kraju – zagrożonym w kryzysie i potrzebującym inwestycji – i oferuje atrakcyjne warunki. Ale inwestycje w Turcji Erdogana wiążą się ze sporym ryzykiem.

Port Yarımcı w pobliżu Stambułu, tureckiej megametropolii, jest wręcz kame-ralny jak na międzynarodowe standardy. Rocznie można tu obsłużyć 1,3 mln kontenerów, każdy o długości około sześciu metrów. Dla porównania, port w Hamburgu, trzeci co do wielkości w Europie, ma przepustowość 8,7 mln takich kontenerów.

Ale szef posiadającej stambulski port firmy logistycznej DP World Kris Adams widzi duże możliwości drzemiące w terminalu kontenerowym nad morzem Marmara – co wynika przede wszystkim z jego lokalizacji. „Przychylnie patrzymy na możliwości inwestycyjne w Turcji, ten kraj ma ogromny potencjał wzrostu” – mówi. Wielu menedżerów z branży logistycznej uważa podobnie.

Ponieważ długie, projektowane od lat łańcuchy dostaw okazały się nagle wrażliwe na globalne zawirowania w rodzaju pandemii czy wojen, firmy coraz częściej szukają możliwości sprowadzenia procesów produkcyjnych z dalekiej Azji do najbliższej okolicy. Korzystają na tym takie kraje jak Meksyk dla rynku amerykańskiego czy Bałkany, Afryka Północna i Turcja dla Europejczyków.

Niemiecki biznes najchętniej lokalizowałby swoje fabryki właśnie w Turcji. Ale inwestycje w tym kraju wiążą się z ryzykiem – co wynika nie tylko z podobieństw reżimu Erdogana do systemu wprowadzonego w Rosji przez Władimira Putina.

Przez długi czas globalizacja była receptą na sukces dla dużych korporacji: ich łańcuchy dostaw były zazwyczaj wysoce umiędzynarodowione i rozdrobnione. Towary były produkowane w dowolnie odległych rejonach, byle place były odpowiednio niskie. Dla przykładu: nadal około połowy wszystkich iPhone’ów firmy Apple jest montowana przez producenta w Chinach, a surowce i półprodukty pochodzą z jeszcze innych regionów świata. Nawet koncern Volkswagen większość swoich samochodów produkuje dziś za granicą.

Jednak lockdowny na całym świecie spowodowały załamanie się tego syste-

mu. A teraz zaczyna się nowa era, którą firma doradcza AlixPartners podsumowuje w następujący sposób: „Firmy będą musiały całkowicie przemysleć swoje łańcuchy dostaw. Aby zachować perspektywy wzrostu, będą bardziej skupiać się na lokalnych i regionalnych opcjach dostaw” – czytamy w raporcie dotyczącym zakłóceń spowodowanych przez pandemię.

„Nearshoring” lub „reshoring” to techniczne terminy dla tej ścieżki rozwoju, która oznacza przeniesienie produkcji bliżej domu. Rosnący polityczny sceptycyzm Europy wobec zależności ekonomicznej od Chin i wojna Rosji z Ukrainą przyspieszają prowadzenie zasadniczych analiz strategii biznesowych w centralach firm. Wreszcie, wszyscy zdają sobie sprawę, że krótsze łańcuchy dostaw mogą znacząco zmniejszyć ślad węglowy generowany przez przemysł i transport.

Turcja młoda, wykształcona i tania

Turcja chce figurować wśród głównych beneficjentów tego trendu – i przygotowuje się do stania się „jednym z głównych ośrodków produkcyjnych świata”, jak zapowiedział Erdogan. Warunki wstępne są dobre: Turcja ma młodą i dobrze wykształconą populację, poziom płac jest znacznie niższy niż w krajach UE, a infrastruktura została masowo rozbudowana pod rządami partii obecnego prezydenta. Położenie pomiędzy Europą, Azją i Afryką sprawia, że kraj ten jest potencjalnie wprost idealnym hubem logistycznym. Ponadto handel Ankary z Unią Europejską jest oparty na wolnych warunkach, ponieważ Turcja jest członkiem europejskiej unii celnej.

Pierwsze oznaki ożywienia już są. Niemiecka firma Tesa, która produkuje materiały klejące, chce właśnie z Turcji rozszerzyć swoją działalność na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej. „Stambuł stanie się siedzibą naszych zespołów sprzedażowych, ponieważ ta metropolia jest ważnym węzłem logistycznym i geograficznym centrum dla Europy, Azji i Afryki” – ogłosił rzecznik firmy.

Włoski producent odzieży Benetton ogłosił plany zmniejszenia o połowę produkcji w Azji od końca tego roku i zwiększenia mocy produkcyjnych w Serbii, Chorwacji, Turcji, Tunezji i Egipcie. Również Ikea chce, aby w Turcji powstawało więcej jej dostępnych globalnie produktów, takich jak fotele, regały, szafy i szafki kuchenne (choć na razie firma zachowuje powściągliwość w kwestii skali ekspansji).

Tam, gdzie produkuje się więcej, trzeba więcej transportować – dlatego branża logistyczna przygotowuje się do zmian. „Obecnie intensywnie inwestujemy w rozbudowę naszych tureckich usług logistycznych” – powiedział gazecie „Handelsblatt” prezes niemieckiej firmy spedycyjnej Rhe-nus Tobias Platz. Firma ma tam już 14 oddziałów. „Ale planujemy podwoić naszą działalność do 2024 roku” – powiedział Bartz.

Według rozmówców w Turcji rozwój ten jest jeszcze w fazie początkowej. Mustafa Tonguc, szef DHL Express Türkiye, regionalnej odnogi niemieckiej firmy przewozowej, jest przekonany: „Turcja będzie jednym z beneficjentów zmienionych łań-cuchów dostaw”. Nie ma to jeszcze odzwierciedlenia w rzeczywistym wolumenie handlowym, ale w negocjacjach, które są prowadzone za kulisami.

Z tym że czy Turcja skorzysta jako lokalizacja biznesowa w dłuższej perspektywie, to się dopiero okaże.

Ryzyko z bliskości Erdogana z Putinem

Bo choć ogólne warunki wydają się korzystne, to zdaniem wielu ekspertów ryzyko dla inwestorów pozostaje wysokie. Ekonomista i profesor międzynarodowych stosunków gospodarczych Erdal Yalcin uważa, że euforia wśród elit tureckiej polityki i biznesu jest nieuzasadniona. Według niego ten kraj jako wielki zwycięzca nearshoringu to „myślenie życzeniowe tureckiego rządu”.

„Jest przecież wręcz przeciwnie – mówi – firmy odwróciły się od Turcji w ostatnim czasie. Od kilku lat obserwujemy duże spadki zagranicznych inwestycji w Turcji, a istotnym czynnikiem są ramy polityczne dla prowadzenia biznesu w tym kraju”. Zaznacza, że jedyny znaczący wzrost bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Turcji nastąpił w 2021 r.

Volkswagen jeszcze dwa lata temu zrezygnował z planów budowy nowego zakładu w Turcji. Oprócz kryzysu związanego z pandemią za przyczynę tego stanu rzeczy powszechnie uznano autorytarny styl sprawowania władzy przez Erdogana. Pod jego rządami tureckie państwo konstytucyjne zostało osłabione, a prawa i wolności człowieka ograniczone. Krytykuje się również jego politykę gospodarczą.

Pomimo wysokiej inflacji turecki bank centralny w ostatnim roku kilkakrotnie obniżał stopy procentowe. W ten sposób postępuje zgodnie z wolą Erdogana, który jest zdeklarowanym przeciwnikiem wysokich stóp, widząc w nich zagrożenie dla wzrostu PKB. Tymczasem większość ekonomistów zaleca obecnie podnoszenie stóp procentowych jako skuteczny środek przeciwko silnej inflacji. Do tej pory turecki rząd skupiał swoje antykryzysowe wysiłki na rekompensowaniu malejącej siły nabywczej obywateli. Latem po raz drugi w tym roku podniósł płacę minimalną; w grudniu ma nastąpić trzecia korekta.

To, co powinno szczególnie niepokoić europejskie firmy, zaznacza Yalcin, to polityka Turcji wobec Rosji. Kraj ten nie uczestniczy w unijnych sankcjach nałożonych na reżim Putina. „Wręcz przeciwnie, tureckie firmy na potęgę handlują z Rosją, która ma nieograniczone potrzeby” – mówi ekspert. Obroty handlowe między oboma krajami wzrosły o mniej więcej 200 proc. od czasu inwazji Rosji na Ukrainę.

„Ponieważ Turcja jest członkiem europejskiej unii celnej, jest w stanie w stu procentach obchodzić sankcje UE” – mówi Yalcin. Tureckie banki wprowadziły nawet na pewien czas rosyjski system płatności Mir – ale zwróciło to uwagę władz USA i obawiając się działań karnych, zarzucono ten pomysł.

Ale ostatnio także Bruksela zacieśnia sieć wokół tych, którzy omijają sankcje. Niedawno zaznaczyła zaostrzenie polityki poprzez nowy pakiet sankcji: nowe uprawnienia umożliwiają UE nakładanie sankcji na wszelkie „osoby fizyczne lub prawne, podmioty lub organy”, jeśli obchodzą one środki przeciwko Rosji.

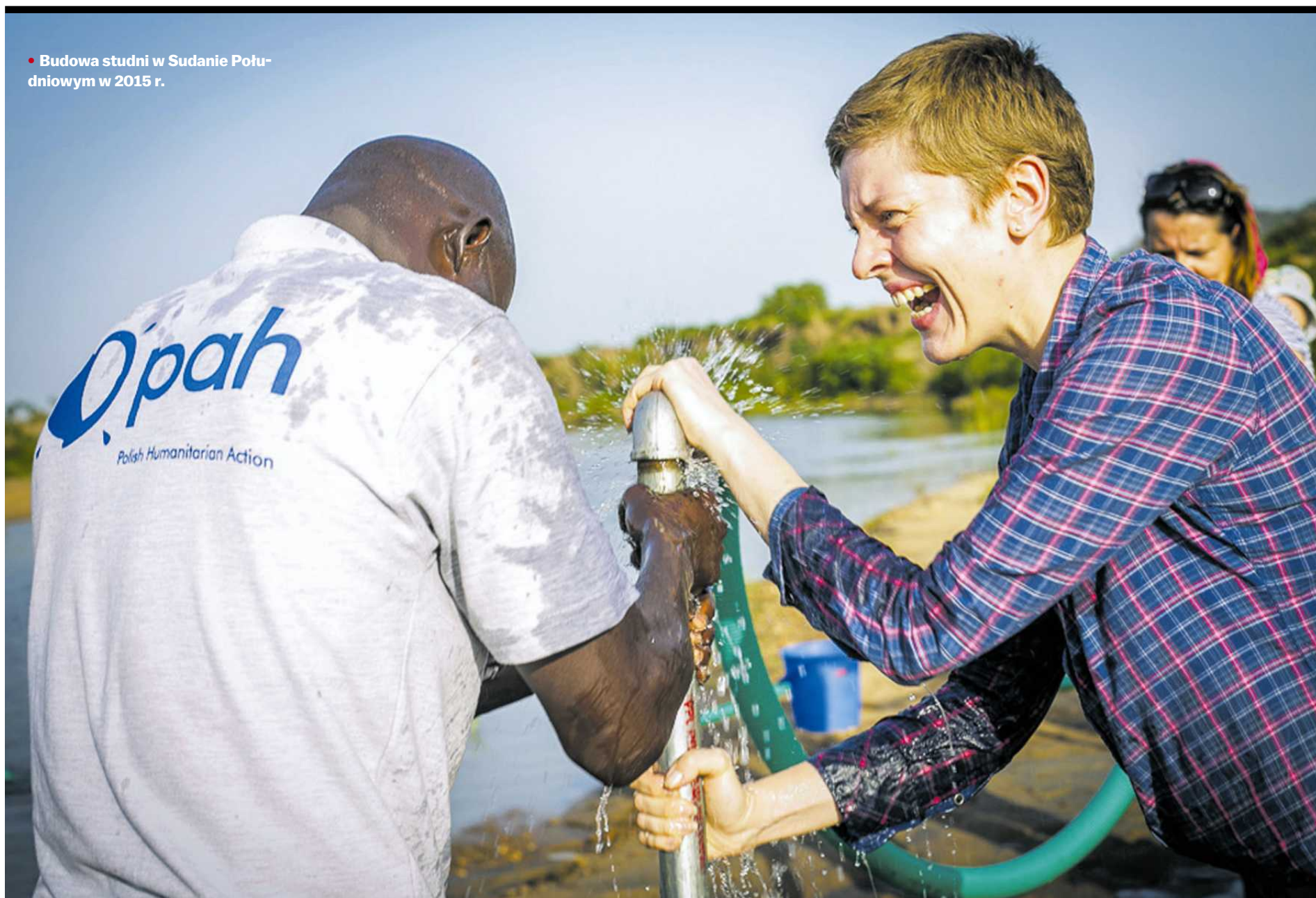
Dla europejskich firm rozważających inwestycje w Turcji jest to „bardzo realne ryzyko” – mówi Yalcin. Gdyby pewnego dnia Turcja rzeczywiście została objęta sankcjami wtórnymi, inwestorzy ponieśliby straty w pierwszej kolejności. „Turcja jest sama w sobie atrakcyjna pod względem otoczenia biznesowego” – mówi. „To decyzje polityczne Ankary obezwładniają ten potencjał”. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

• Budowa studni w Sudanie Południowym w 2015 r.

FOT. MACIEJ MOSKWA/TESTIGO



30. urodziny Polskiej Akcji Humanitarnej

MUSISZ BYĆ W DOMU PRZED ZMIROKIEM

Na misje do Somali, Syrii, Jemenu zgłaszały się przeważnie kobiety.
Są jakoś silniejsze, odważniejsze

Z JANINĄ OCHOJSKĄ ROZMAWIA PAWEŁ SMOLEŃSKI

PAWEŁ SMOLEŃSKI: Ile razy usłyszała pani przez te 30 lat, że to Polsce się należy pomoc, a nie obcym gdzieś w Afryce albo w Azji, bo Polska jest biedna, nie ma pracy, dzieci głodują?

JANINA OCHOJSKA: Na początku PAH bardzo często, lecz z czasem się to zmieniło. Przełomem była misja w południowym Sudanie i budowa studni. Akceptacja, że pomagamy poza Polską, jest coraz większa. Od jakiegoś czasu tego nie słyszę.

To były głosy pogardliwe, agresywne?

– Bardzo agresywne. Mówiono, że okradam Polskę, biedne dzieci, a to, co zbieram, mogłabym przeznaczyć na ich żywienie. Nie pomagały tłumaczenia, że ludzie dają na bardzo konkretną pomoc i nie wolno nam zużywać jej inaczej. Ludzie wpłacają na studnie albo na pomoc dla Somali, gdy w 2011 r. panował tam straszny głód, ale to do niektórych nie przemawiało. Słyszałam bardzo przykre inwektywy, choć tłumaczyłam, że w Polsce ludzie nie umierają z głodu. A mo-

że trzeba powiedzieć, że nie umierali, bo w tej chwili panuje potworny lęk przed tym, co przyniesie przyszłość. Mam nadzieję, że potrzebujący w Polsce będą się spotykać z solidarnością.

Zaczęło się od byłej Jugosławii.

– W październiku 1992 byłam we Francji, gdy fundacja EquiLibre, która w latach 80. pomagała także Polsce, ogłosiła w prasie, że przygotowuje przyjazd tysięcy dzieci z opiekunkami z Bośni. Zgłosiłam się do nich z pytaniem, czy mogę pomóc, więc posadzili mnie przed telefonem i odbierałam zgłoszenia od osób, które chciały przyjąć dzieci u siebie. To było dla mnie niesamowite – zgłosiło się 30 tysięcy ludzi gotowych przyjąć Bośniaków we własnych domach na rok. Później trzeba było wybrać gospodarzy, jakoś pogrupować. Wybieraliśmy według regionów, by nie powstała sytuacja, że nagle jakieś dziecko z opiekunką będzie daleko od innych.

EquiLibre zorganizowała konwój z żywnością, który w drodze powrotnej miał zabrać dzieci. Pamiętam, że już w Chorwacji zobaczyliśmy ślady działań wojennych, zniszczone domy. Gdy przekroczyliśmy granicę z Bośnią i Hercegowiną, ruin było znacz-

nie więcej, mijaliśmy całkowicie opuszczone wioski. W Sarajewie nocowałam w obozie dla uchodźców, skąd wyjeżdżało do Francji kilkanaście osób. Sprawdzalam paszporty, rozmawiałam z rodzinami odprowadzającymi bliskich. Trwało to dwa dni.

Świadomość, że kogoś wywieziemy, była jakoś radosna. Ale patrzyłam na ludzi, którzy być może już się nigdy nie spotkają, mężczyźni żegnali kobiety, a potem szli na

Część pracowników PAH traktuje to jak w miarę zwyczajną robotę, muszą przyjąć na konkretną porę, a jak siedzą dłużej, pytają o nadgodziny. Rozumiem, to ich praca, żyją z tego ich rodziny

front. Absolutnie dramatyczne pożegnania, zwłaszcza ojców z dziećmi.

Później czekały mnie chwile jeszcze trudniejsze. W autobusie była trojka niemowląt z matkami. Widziałam, jak tym kobietom dzieci niemalże wypadają z rąk, bo były bardzo zmęczone, ratowały się przed przysypianiem. Trzymałam niemowlęta na rękach, by matki mogły się przespać choć godzinę. Dzieci płakały, trudno było je utulić. Grzaliśmy mleko, kładąc butelki na szybach przy wylotach ciepłego powietrza. Rozdawaliśmy jajka na twardo, a ludzie mówili, że nie pamiętają, kiedy ostatni raz widzieli jajka. Mój autokar miał numer 14.

Zaraz za francuską granicą, koło Grenoble, były przygotowane ciepłe posiłki. Zrobił się rozgardiasz, ale dla Bośniaków było to niezwykle doświadczenie. Wreszcie nie musieli się schylać, chować przed ostrzałem, uciekać, są bezpieczni. Niektórzy płakali.

Pomoc humanitarna postrzegana jest jako działanie nieledwie romantyczne. A przecież to bardzo konkretne umiejętności, bo sztuką jest pomagać dobrze.

– Już w Sarajewie postanowiłam, że wrócić tam z pomocą z Polski, więc pytałam o wszystko, przypatrywałam się. Konwój powrotny był kolejną lekcją.

Przygotowanie mojego pierwszego konwoju to była przede wszystkim logistyka. Trzeba zorganizować autobusy, przygotować żywność, załatwić pozwolenia na wyjazd, a wszystko po to, by być przygotowanym na bardzo drobiazgową kontrolę, którą przeprowadzili Serbowie. Nie mogliśmy brać chłopców starszych niż 16 lat. Musieliśmy zdecydować, kto gdzie pojedzie. Niektórzy mieli jakieś rodziny we Francji. W Lyonie wszyscy nocowali w ogromnym hangarze lotniczym, więc trzeba było przygotować łóżka, toalety, posiłki, opiekę medyczną. Na szczęście nie zdarzyło się nic katastrofalnego, choć między ludźmi wygłodzonymi, wyczekanymi może się przytrafić wszystko. Trochę to przypominało sytuację, jak przyjmowaliśmy Ukraińców.

Uczyłam się od Francuzów współpracy z mediami oraz umiejętności przewidywania nieoczekiwanego, zabezpieczenia różnych rzeczy. Gdy organizowałam pierwszy konwój z Polski, nie miałam oczywiście takich możliwości jak Francuzi, ale wiedziałam, co należy zrobić, by był możliwie bezpieczny.

Najtrudniejsze było to, by ludzie odpowiedzieli na apel. Zupełnym przypadkiem w radiowej Trójce mogłam o tym opowiedzieć: o przygotowaniach do konwoju, o Sarajewie. Podałam numer telefonu pewnej pani, którą poznałam u Kostka Geber-ta [znawca stosunków międzynarodowych, wówczas korespondent „Wyborczej” z wojny w Jugosławii]; to była Marta Grodzka. Gdy dzwoniłam do niej po audycji, nie mogłam się dodzwonić. Pojechałam i przez domofon usłyszałam, że ludzie dzwonią i dzwonią, a w mieszkaniu już siedział wolontariusz, Tomek Wilk, jeden z założycieli PAH. Nie żyje. W 2002 r. potracił go samochód.

W półtora miesiąca zgłosiło się bardzo dużo chętnych. A przecież wtedy nikt mnie nie znał, nie było żadnej pewności, że nasz konwój dojedzie do Bośni. Chciały z nami pojechać różne media. Udało się przygotować 12 ciężarówek. Piotr Nowina-Konopka [zasłużony działacz opozycji w PRL, rzecznik Lecha Wałęsy, wówczas poseł i współzałożyciel Unii Demokratycznej] zorganizował pięć tysięcy złotych na paliwo, co na owe czasy było sporymi pieniędzmi. Konwój wyjechał dzięki zbiorowemu wysiłkowi wielu ludzi. Dojechalismy do Sarajewa i tak się zaczęła nasza historia.

Staliśmy na parkingu w Krakowie przed hotelem Cracovia. Jechałam własnym samochodem, a za mną te ciężarówki i autokar z dziennikarzami. Pomyślałam: Janka, jak to ci się udało, to wszystko się udało.

Udało się, ale prawda jest również taka, że wówczas słowo „wolontariusz” znaczyło coś zupełnie innego niż dzisiaj.

– Pracujemy w różnych krajach, tak niebezpiecznych jak Somalia, Jemen, Irak, Ukraina, gdzie jesteście od 2014 r. Byliście też w Syrii.

Część pracowników PAH traktuje to jak w miarę zwyczajną robotę, muszą przyjąć na konkretną porę, a jak siedzą dłużej, pytają o nadgodziny – sytuacja się unormowała. Nie chcę powiedzieć, że brakuje im naszego zapala i entuzjazmu z pierwszego okresu, i nawet to rozumiem, bo w końcu to ich praca, żyją z tego ich rodziny. Jesteśmy dużą organizacją, musimy mieć procedury i regulaminy, mamy dużych donatorów, którzy wymagają profesjonalizmu i skrupulatnych rozliczeń. Zamiast spontaniczności są bardzo konkretne mechanizmy działania, po to, żeby pomoc była możliwie jak najbardziej efektywna.

Więc jest dzisiaj trochę inaczej, niż było. Kiedyś każdy robił wszystko, a dzisiaj jesteśmy podzieleni na działy, mamy konkretne obowiązki. Są ludzie, którzy pracują nad nowymi projektami, są ci, którzy wymyślone pomysły realizują w miejscu pomagania; czasami jeszcze mówimy, że pracują na „misjach”, choć to innego rodzaju misjonarstwo niż religijne i samo słowo może wprowadza-

zać nieporozumienie, bardziej adekwatne jest „biuro terenowe”.

Trochę tęsknię za dawnym klimatem. Nikt wtedy nie myślał, że będziemy działać tak długo, przez kilkadziesiąt lat. Raczej sądziłam, że pošlemy do Bośni jeden czy dwa konwoje i na tym się skończy, wrócę do pracy astrofizyka.

Z drugiej strony wiem, że dzisiaj inaczej się nie da. Instytucja, która się nie rozwija, nie może długo trwać. Musieliśmy dokonać zmian i ciągle coś zmieniamy. Część z nas nawet nie mówi po polsku, to Włosi, Hiszpanie, Anglicy, pracownicy lokalni z krajów, w których pomagamy – wspólnym językiem jest angielski. Dla obcokrajowców praca w PAH oznacza kolejne doświadczenie. Nie zapisaliby się do pospolitego ruszenia.

Czy wszystkie wasze misje były trafione?

– Tak i nie. Pierwsza nasza misja, którą założyliśmy w Kosowie, była błędem. Działało tam mnóstwo organizacji z o wiele większym doświadczeniem, z zapleczem z ONZ

Odkopywaliśmy, uszczelnialiśmy, czyściliśmy, dezynfekowaliśmy cysterny działające jeszcze przed powstaniem Izraela i okupacją Zachodniego Brzegu, niektóre z czasów antycznych

lub Unii Europejskiej, a my jeszcze nie mogliśmy bezpośrednio korzystać z funduszy UE. Mielismy mały budżet, więc nie mogliśmy konkurować z większymi i zamożniejszymi.

Pracowaliśmy w dwóch gminach, serbskiej i albańskiej. Udało nam się zrobić kilka fajnych rzeczy. Wyremontowaliśmy i uruchomiliśmy kino, gdzie po raz pierwszy w albańskim Kosowie pokazywano filmy z Bolkiem i Lolkiem, na seanse waliły tłumy, bo kino było czymś zapomnianym. Dla Serbów otworzyliśmy pracownię internetową; studenci bali się jeździć przez albańskie terytoria do Belgradu. Doprowadziliśmy do meczu koszykówki między obiema gminami. Nie mogę powiedzieć, że misja działała na próżno, ale nie mieliśmy szans na rozwój.

Mnie więcej w tym samym czasie założyliśmy misję w Czeczenii. Ta akurat była bardzo trafiona. Nie musieliśmy mierzyć się z konkurencją, tam było bardzo mało organizacji. Tymczasem dla nas Czeczenia, również przez język rosyjski i doświadczenia republiki posowieckiej, nie była czymś kompletnie egzotycznym, raczej jakoś znanym, rozumieliśmy mentalność tych ludzi. Byliśmy tam przez sześć lat, jako jedyni dostarczaliśmy do Groznego wodę pitną, 750 tysięcy litrów dziennie do 300 punktów. Założyliśmy pięć dużych filtrów. Logistyka tych przedsięwzięć była skomplikowana, musieliśmy nawet sprawdzać, czy kierowcy nie sprzedają wody na lewo. Niestety, jednego złapałismy, musieliśmy wypełniać różne, czasami dziwne zadania.

Byłem w misji PAH w Jerozolimie. Zajmowała się wodą na terenach palestyńskich. Chyba też nie odniosła sukcesu. Z jednej strony ludzie wykonywali fantastyczną, ciężką pracę, bo wspierali absolutnie najbardziej poszkodowanych. Z drugiej, jak niemal wszyscy młodzi, lewicujący ludzie z Zachodu, mieli wyraźnie, politycznie poprawne, propalestyńskie poglądy, choć powinni być neutralni.

– Co się dziwić, skoro oglądali palestyńską krzywdę, mieli znajomych w żydowskich organizacjach broniących praw człowieka, a więc przede wszystkim Palestyńczyków.

Misja została zakończona z kilku powodów. Wydawało się nam, że umiemy dopro-

wadzić do współpracy palestyńsko-izraelskiej. I rzeczywiście początkowo się udawało. Zaangażowaliśmy się w projekt dla palestyńskich kobiet szkolonych w Izraelu przez Izraelki, kupowaliśmy dla nich z Izraela kozy i owce rozdawane później rodzinom jako początek większego stada. To było fantastyczne, lecz kolejnych wspólnych projektów nie udało nam się wprowadzić. Spotkalismy się z dużą podejrzliwością, zresztą z palestyńskiej strony również, bo nie podobały im się nasze izraelskie kontakty. Chcieliśmy być pośrednikami, wspierać również Izraelczyków z biednych okolic, co było bardzo trudnym wyzwaniem, bo Izraelczycy są świetnie zorganizowani, wiele się od nich nauczyłam. Na wszystko nałożyła się wojna z Libanem, a my pracowaliśmy również tam.

Jednym z problemów było zasypywanie podziemnych palestyńskich cystern na wodę przez wojsko i osadników. Woda jest na Zachodnim Brzegu i na całym Bliskim Wschodzie dobrem strategicznym. Kto ją kontroluje, ma władzę.

To był i jest absolutny i bezdyskusyjny skandal.

– Zwłaszcza że my nie budowaliśmy nowych cystern, bo to jest ściśle regulowane przez prawo, a nam nie było wolno. Odkopywaliśmy, uszczelnialiśmy, czyściliśmy, dezynfekowaliśmy cysterny działające jeszcze przed powstaniem Izraela i okupacją Zachodniego Brzegu, niektóre z czasów antycznych.

Mielismy coraz więcej kłopotów z wjazdem do Izraela, aresztowano naszego kolegę, trochę z jego winy, bo za bardzo okazywał zdenerwowanie. To była bardzo trudna misja, ograniczano nasze możliwości. Stwierdziliśmy, że dla Palestyńczyków działa wiele organizacji, silniejszych, z lepszym zapleczem, również politycznym i międzynarodowym. Dają sobie radę, Palestyńczycy dostają pomoc i bez nas.

Poza tym polskie media pisały, że Izrael niszczy polskie cysterny...

...co było najgłupszym z możliwych grzaniem tematu.

– Najgłupszym, bo ludzie tracili do tego serce, komentowali na forach internetowych, że Izrael znów coś zniszczył, na dodatek coś polskiego. Bez naszej winy, ale za naszą przyczyną u części ludzi, najpewniej bardzo współczujących i ofiarnych, rozbudziły się antyizraelskie nastroje.

Z bardzo ciężkim sercem wycofaliśmy się z tej misji, choć bardzo w nią wierzyłam. Dziś, być może, byłoby inaczej, właśnie dlatego, że staliśmy się jeszcze bardziej profesjonalni.

Byłem też w misji PAH w Somalii i nie mogłem wyjść z podziwu. Same dziewczyny, bardzo dzielne i mądre, mieszały w najbardziej bezpiecznym, ufortyfikowanym jak twierdza hotelu w Mogadiszu, co w przypadku zamachu z wykorzystaniem cystern z paliwem na niewiele się zdało, jedna została ranna. Decydowały się na pracę przez kilka, kilkanaście miesięcy. Bywały długie tygodnie, gdy względy bezpieczeństwa zatrzymywały je wewnątrz murów, nie mogły jeździć do obozów uchodźców. A tam głód, skrajna nędza, jakiej nigdzie nie widziałem, choroby. Nawet w hotelu musiały się ubierać jak Somalijki, dopiero w Polsce zobaczyłem jedną z nich z odkrytymi włosami. Czasami bardziej przypominało to lice więzienie niż misję humanitarną, a za murami miasto zrujnowane jak Warszawa po powstaniu.

– Na misje do Somali, Syrii, Jemenu zgłaszały się przeważnie kobiety [GRI] i nic na to nie można poradzić. Są jakoś silniejsze, odwziejniejsze, inne organizacje działające w Mogadiszu też zatrudniają same pracowniczki lub wolontariuszki. Można na nich polegać.

Poza tym generalnie pracują z miejscowymi kobietami. Kobiety z obozów uchodźców nie bały się ich, nie wstydziły. Wstyd ma wielkie znaczenie, bo tworzymy tam nie tylko ujęcia wody, ale też prysznice, toalety. To

kobiety zarabiały na rodzinę, przejmowały odpowiedzialność, potrzebowały nowych umiejętności. Mężczyźni by sobie z tym raczej nie poradzili, bo w obozach mężczyzna to dla kobiet często zagrożenie nachalnym molestowaniem, gwałtami. Wielu mężczyzn nosi broń, wszyscy są przemienieni przez wojnę, niezdolni do konstruktywnego wysiłku.

Pod tym względem Somalia jest najtrudniejsza, nie można wyjść z hotelu bez zbrojnej ochrony, nie da się jeździć nieopancerzonym samochodem, ale już w Sudanie Południowym jest inaczej. W dzisiejszej Ukrainie jest chyba chwilami bezpieczniej niż w Mogadiszu.

Co sprawia, że ludzie angażują się w pomoc humanitarną? Często zupełnie inni od reszty. Rozumieją inność, dostrzegają kolory różnorodności, akceptują, tolerują.

– Zdaje mi się, że do takiej pracy zgłaszają się osoby, które były wolontariuszami na innych polach i w innych organizacjach. Są wrażliwi, ale nie placzliwi, chcą coś zrobić dla innych. To również oczekiwanie przygody, co doskonale rozumiem, lecz to cecha niewystarczająca. Muszą przejść badania psychologiczne, być gotowi i odporni na pracę w stresie, przejść intensywne szkolenia z bezpieczeństwa.

Najbardziej z całej pracy w PAH żalowałam, że nie mogłam zostać na misji. Odwiedzałam je, dwukrotnie byłam w Mogadiszu, siedziałam dwa-trzy tygodnie i wracałam do Polski. Moim zdaniem nie ma piękniejszej pracy, choć bardzo daje po plecach, jej sens, efekty są niemal od razu widoczne. Misje są lepsze niż konwoje, bo nawiązuje się prawdziwy kontakt z lokalną społecznością. Tylko to daje poczucie bezpieczeństwa, a nie uzbrojona ochrona.

Ale też trzeba mieć twardy kręgosłup.

– Praca humanitarna bardzo wiele wymaga. Trzeba się stosować do określonych reguł. W Somalii czy w Sudanie Południowym wy-mogiem jest bycie w domu przed zmrokiem, bo ciemność to niebezpieczeństwo. Ale o tej siódmej nie kładziesz się z książeczką do łóżka. Trzeba zrobić coś do jedzenia w raczej surowych warunkach, a potem do komputera, rozliczeń, przygotowania danych do kolejnego projektu, trzeba zorganizować pracę z naszymi lokalnymi współpracownikami. Z jednej strony wyętasz się fizycznie, z drugiej bez przerwy główkujesz. Kiedy śpisz, też jesteś w pracy, bo łóżko przecież stoi w bazie, w tym samym namiocie lub budynku.

A poza tym czasami wydarza się nieoczekiwane, nieprzewidywalne. ●

Działania PAH są możliwe tylko dzięki solidarności darczyńców. Fundację można wspierać przez stronę PAH.org.pl/30lat



FOT. JAKUB WŁODEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL

Jestem tylko młodym astronomem

Co robiła Ochojska w PRL? Jak Kaczyński jechał do Sarajewa? Czy Polacy naprawdę nie lubią uchodźców? Czy będzie polexit? Kto powinien dostać Nobla?

• **Opowiada twórczyni PAH w wywiadzie „Janina Ochojska. Jestem dumna z Polaków” na Wyborcza.pl/magazyn**

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Biedny

CZYLI INNY

Niby Polak, ale jakiś obcy. Leniwy, alkoholik, dzieciórób, sam sobie winny. Sami biedni tak myślą o innych biednych

**Z PROF. RYSZARDEM SZARFENBERGIEM ROZMAWIA
AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: O czym mówimy, kiedy mówimy o biedzie?
Prof. Ryszard Szarfenberg: Kiedyś to pojęcie było jaśniejsze. Wielka emigracja, bieda na wsi, kryzys lat 30. w drugiej Rzeczypospolitej – to były sprawy oczywiste, wielu Polaków miało to doświadczenie. Potem w PRL-u stały się mniej oczywiste ze względu na obowiązujący mit, że nowy ustrój przezwycięża tego typu problemy. Ale na początku lat 80. ten mit się załamał. Przyszedł ogromny kryzys, a z nim niedobory żywności, kartki i dary z zagranicy rozdawane w kościołach.

A potem lata 90. z wielkim bezrobociem...

– ...które generowało biedę, a co za tym idzie – bezdomność. A gdy dyskusja o ubóstwie została uwolniona od cenzury, statystycy i naukowcy zaczęli je definiować. Definicja była potrzebna do pomiaru, no a pomiar jest w liczbach. Niestety, odsetek ubogich w społeczeństwie nie pokazuje życia

poszczególnych rodzin. Jak to powiedziała Ruth Sidel: „statystyka to ludzie, którym wytarto łzy”.

Poza tym kłopot jest taki, że w coraz zamożniejszym społeczeństwie kwestia ubóstwa staje się coraz bardziej rozmyta. Ktoś może mieć dochód nawet mocno powyżej granicy ubóstwa, ale tak duże obciążenia wynikające z długów i potrzeb, że ledwo stać go na utrzymanie.

I co z nim?

– No właśnie. Liczby powiedzą, że ubogi dochodowo nie jest, a co, jeśli on to tak przeżywa? I odwrotnie, ktoś z definicji może być ubogi, ale wcale się za takiego nie uważać.

W zamożnym społeczeństwie dyskusja o ubóstwie jest też o tyle trudniejsza, że to nie jest już powszechne doświadczenie. Mało kto dziś ma tak dojmujące wspomnienia, jakie mieli choćby nasi dziadkowie – czym jest głód, bieda, zimno.

To zacznijmy od nauki. Jak dziś definiuje się biedę?

– Dla potrzeb pomiaru mamy takie pojęcia jak „sfera niedostatku”, „ubóstwo skrajne”, „ubóstwo relatywne”. Upraszczając, żeby odróż-

nić ubogich od nieubogich, trzeba najpierw wyznaczyć granicę ubóstwa. Do tego służy między innymi minimum egzystencji i minimum socjalne. Określa się je na podstawie koszyków potrzeb podstawowych.

Co jest w koszyku „minimum egzystencji”?

– To, co pozwala danemu gospodarstwu domowemu przetrwać przez miesiąc – głównie najtańsza żywność, podstawowe, najtańsze środki higieny i środki na na najtańsze mieszkanie, czyli komunalne. Nie ma żadnych wydatków związanych z utrzymywaniem więzi społecznych, czyli transportu, kształcenia się, sportu, rozrywki, wczasów. Te są przewidziane w minimum socjalnym.

Przyjmowano, że poniżej minimum egzystencji w dobrym zdrowiu można przeżyć miesiąc, dwa. W 2021 r. wynosiło 671 zł średnio miesięcznie na gospodarstwo jednoosobowe. Z inflacją do listopada 2022 r. to kwota 783 zł. Dlatego mówi się, że osoby, które mają wydatki poniżej tego poziomu, żyją w ubóstwie skrajnym. Z kolei osoby, których wydatki są niższe niż minimum socjalne, czyli 1509 zł w trze-

cim kwartale 2022 r., żyją w sferze niedostatku.

Ile osób w Polsce żyje w ubóstwie skrajnym?

– W 2021 r. – 4,2 proc. Powie pani: „nie wiele”, ale to około 1 miliona 600 tysięcy osób. W tym 333 tysiące dzieci – bardzo niewygodna informacja dla rządu, który twierdzi, że 500+ zlikwidowało ubóstwo dzieci. Do tego dochodzą skrajnie ubodzy seniorzy, których było 246 tysięcy. Ktoś spyta: „Jak to? Emerytury nie chronią przed ubóstwem?”. Otóż część osób ma emeryturę niższą od minimalnej, a część nie ma w ogóle, więc utrzymują się z pomocy społecznej. W tej chwili zasiłek stały z pomocy społecznej wynosi 719 zł, czyli jest już poniżej minimum egzystencji. A jeśli taka osoba pobiera dodatek mieszkaniowy na opłacenie czynszu, to tę kwotę odlicza się od zasiłku, podobnie zasiłek pielęgnacyjny, więc ma tych pieniędzy jeszcze mniej.

Dlaczego tak mało? Głównym argumentem jest to, że wprowadzono nowe świadczenia. Tyle że faktycznie one są dla kogoś innego – na zasiłki dla dzieci dla zamożnych, na trzynaste i czternaste emerytury. A nie na pomoc społeczną dla najbiedniejszych.



Ile osób żyje poniżej minimum socjalnego, czyli w niedostatku?
– Tu już mamy ogromne liczby. W roku 2021 według GUS takich gospodarstw było 40,7 proc., czyli ponad 15 milionów osób.
Problem w tym, że minimum socjalne znajduje się blisko średnich wydatków gospodarstw domowych w Polsce, dlatego tak duża część społeczeństwa łapie się do sfery niedostatku. Ale czy te 40 proc. to są osoby biedne? Na pewno duża ich część nie żyje w ubóstwie skrajnym, a im bliżej minimum, tym bliżej średniej.

To o czym mówi ten niedostatek?
– W materiałach Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych, który opracowuje minimum socjalne i minimum egzystencji, mówi się o „zagrożeniu wykluczeniem społecznym”, co powtarzamy też w monitoringu ubóstwa EAPN Polska. Istnieje ryzyko, że osoby z gospodarstw mających wydatki poniżej minimum socjalnego będą w mniejszym stopniu uczestniczyć w tym, co uważa się za godne życie.
Zobaczmy to na przykładzie singielki albo singla mieszkających w Warszawie. Powiedzmy, że zarabiają 4 tysiące netto, ale mają kredyt hipoteczny, którego rata skoczyła znacząco do góry. Nie mają dzieci i związanych z tym kosztów, ale nie mają też świadczeń na dzieci. Po opłaceniu rachunków na niewiele ich stać. Nie pój-

Czego nie dostrzega żadna władza

700

ZŁ MIESIĘCZNIE
• na gospodarstwo jednoosobowe wynosi minimum egzystencji

1500

PONIŻEJ TYŁU ZŁ MIESIĘCZNIE
• na gospodarstwo jednoosobowe zaczyna się sfera niedostatku

3000

TYSIĄCE DZIECI
• żyje w Polsce w skrajnym ubóstwie



mymi w restauracji, ich samopoczucie w związku z tym będzie niskie.
Jednak z perspektywy ubóstwa, szczególnie tego skrajnego, powiemy: „No nie, ubodzy to oni nie są. Posiadają majątek, własne mieszkanie. Co prawda ono jest jeszcze banku, no ale jednak. I to w Warszawie, w najbogatszym mieście w Polsce!”. Jakby poszli do opieki społecznej, też by im powiedzieli, że się nie kwalifikują do pomocy, bo „przekraczają kryteria”. Jeśli ich wydatki będą niższe niż te 1500 zł minimum socjalnego – a do wydatków nie wlicza się spłaty raty kredytu – prawdopodobnie zaliczylibyśmy ich do sfery niedostatku.
Czytałem niedawno taki tekst. Bohaterka była właśnie singielką z podobnymi dochodami. Na wakacje nie jeździła, bo nie było jej stać. Bardzo dużo pracowała, żeby się utrzymać. Jedyny urlop, na jaki mogła sobie pozwolić, to kilka dni u rodziny na wsi. To nie jest życie usłane różami. Tyle że nie trapiło ją wiele innych problemów, które tradycyjnie łączy się z ubóstwem.

Jakich?
– Głód, bezdomność, a dalej bezrobocie, wielodzietność, podeszły wiek, niepełnosprawność, choroby przewlekłe. Tu mamy sprawną osobę w wieku reprodukcyjnym, która ma pracę. I, owszem, jest taka kategoria jak „biedni pracujący”, ale ta singielka się do nich nie zalicza. Bo te osoby mają zwykle dużo niższe dochody, a do tego kogoś na utrzymaniu, co sprawia, że jedna pensja nie wystarczy, żeby zaspokoić potrzeby wszystkich domowników powyżej poziomu ubóstwa.
Badania GUS pokazują, że wśród utrzymujących się głównie z pracy 4 proc. to skrajnie ubodzy. Według wskaźników uniijnych ubóstwo relatywne pracujących wynosi 9 proc. To kolejna granica ubóstwa. O niej jeszcze nie powiedzieliśmy.

Co oznacza?
– Relatywnie ubodzy to ci, których dochody lub wydatki wynoszą znacznie poniżej średniej. To oznacza mniej niż 50 proc. średniej. Z tą granicą jest taki problem, że jeśli średnia wydatków rośnie, to skala ubóstwa też może rosnąć, a jeśli średnia maleje, to skala ubóstwa może spaść. W 2020 r. w Polsce ubóstwo relatywne zmalało, bo w pandemii wydatki średnie znacząco spadły.
Od dawna prowadzi się dyskusję, które z tych podejść – to mówiące o minimum egzystencji i minimum socjalnym czy to, które mówi o ubóstwie relatywnym – jest lepsze. GUS podaje i jedne, i drugie wskaźniki. Pamiętamy jednak, że bada tylko gospo-

darstwa domowe, czyli nie ma tam bezdomnych, dzieci w domach dziecka.
Jak pan wyjdzie na chwilę z roli naukowca, to o kim pan myśli, kiedy pan myśli o ludziach biednych?
– Z racji działalności w ATD Czwarty Świat i EAPN Polska mam kontakt z osobami, które żyją w naprawdę trudnych warunkach, w tym z osobami w kryzysie bezdomności, i to o nich myślę w pierwszej kolejności. A nie na przykład o dziennikarzach, którzy utrzymują się z umów cywilnoprawnych, a do tego są obciążeni kredytem hipotecznym. Wiem, że może być im ciężko, ale mam problem, żeby nazwać ich sytuację ubóstwem albo biedą.

A jak by pan ją nazwał?
– Tu lepiej pasuje właśnie niedostatek z dodatkiem niepewności.

Na co stać osoby skrajnie ubogie?
– Wygląda to różnie. Weźmy osobę w kryzysie bezdomności, której nie zbada GUS. Jeśli mieszka w schronisku, to część potrzeb zaspokaja bezpłatnie schronisko. Dostaje posiłki, nie ponosi opłat za miejsce w wieloosobowym pokoju, nie musi płacić za prąd, o ile spełnia kryteria dochodowe. Ile ma na resztę z zasiłków albo z tego, co zarobi, zwykle na czarno? Część z tych osób, nie tylko zresztą bezdomnych,

■
Bogaci są u nas bardziej stygmatyzowani niż biedni. Dehumanizacja ich jest większa i częściej przypisuje się im cechy negatywne

ma niespłacone długi. To częsty problem.
Długi wobec osób fizycznych? Chwilówki?
– Wszelkiego rodzaju długi nabyte przez lata. Pożyczki, kredyty, nieopłacone opłaty, alimenty. To wszystko jest pamiętane w rejestrach, więc jak tylko taki ktoś pojawia się na radarze komornika, od razu ma problem. Stąd obawa przy podejmowaniu pracy formalnej. Ale to pułapka. Jeśli ktoś ma płacone „pod stołem”, stać go na więcej. Tyle że nie zbiera żadnych punktów do stażu pracy, do emerytury czy renty. A to oznacza, że jak przestaje być zdolny do pracy, jest zdany na zasiłki z pomo-

cy społecznej, które są bardzo niskie.
Życie na poziomie minimum egzystencji to ciągle zaabsorbowanie sprawami codziennymi. Klasa średnia powie, że też jest zaabsorbowana, że bardzo dużo pracuje, jednak ma o wiele więcej luzu związanego z tym, że ma po prostu wyższe dochody. No i średnio nie ma tyle problemów, które narosły przez życie w biedzie, na przykład ze zdrowiem.
To jest ciągle chodzenie do ośrodka pomocy społecznej. Jeśli jest się w wieku produkcyjnym i nie ma się całkowitej niezdolności do pracy z powodu niepełnosprawności, to dostanie się zasiłek nie stały, tylko okresowy, na przykład na dwa miesiące. Później następuje przerwa, więc trzeba poszukać jakiejś pracy dorywczej. Potem można się starać o zasiłek celowy – na elektryczność albo inne wydatki. Dadzą albo nie dadzą. Z ośrodka pomocy ciągle przychodzą do domu, sprawdzają.
Sytuacja się komplikuje, kiedy są dzieci. Na dzieci są świadczenia, ale 500+ nie jest rewaloryzowane, więc inflacja je zjada. Dalej, rodzice z klasy średniej narzekają, że jeśli dziecko cierpi na jakąś chorobę, to nie można liczyć na pomoc państwa. A co ma powiedzieć rodzic, który żyje w skrajnym ubóstwie? Ma długi? Do tego nie ma partnera? Albo ma, ale z licznymi problemami? Oczywiście na niepełnosprawne dzieci są dodatkowe świadczenia, ale trzeba ponosić dodatkowe wydatki – na zajęcia, terapie, sprzęt. To wszystko znów trzeba sobie wychodzić. Jeżeli tych dzieci jest wiele, to zwykle jedno z rodziców nie pracuje, żeby móc się nimi zająć. A jeśli rodzic jest sam, tym gorzej.

Gdzie się kupuje jedzenie?
– Jeżeli korzysta się z pomocy społecznej, do dyspozycji jest catering albo jadalnia z ichnią jakością jedzenia. Ale to tylko jeden posiłek dziennie. Do tego są paczki żywnościowe fundowane przez Unię Europejską, dożywianie z programów rządowych. Tyle że paczki nie wszędzie docierają. Znam osobę, która musi dojechać po nią 20 km do innego miasta, ale nie stać jej na bilet autobusowy. Są jeszcze zasiłki celowe na żywność, ale to niewielkie kwoty. Zasadniczo kupuje się jak najtańsze rzeczy i przecenione produkty, które przekroczyły termin ważności.
Z najnowszego raportu „Poverty Watch” dla Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu wynika, że w Polsce coraz więcej starszych osób korzysta z paczek żywnościowych. Przypuszczam, że sytuacja finansowa osób





starszych będzie się pogarszać, bo społeczeństwo się starzeje, więc będzie ich relatywnie coraz więcej. Będzie też przybywać osób z niskimi emeryturami albo bez emerytur, które będą musiały korzystać z pomocy społecznej. A ona jest w coraz gorzej sytuacji.

Na czym się oszczędza?

– Na wszystkim, co nie jest absolutnie konieczne. W związku z tym wiele osób żyjących w skrajnym ubóstwie ma poważne problemy zdrowotne. Szczególnie osoby bezdomne, które długo żyły w trudnych warunkach, na ulicy albo w noclegowniach. Na to nakładają się uzależnienia, które są chorobami i mają liczne negatywne konsekwencje zdrowotne oraz społeczne.

Dlatego same świadczenia pieniężne nie wystarczą, żeby wspomóc kogoś w wychodzeniu z biedy. Niskie świadczenia, jak mówi znajoma pracownica socjalna, służą jedynie „betonowaniu ubóstwa”. Potrzebny jest kompleksowy program, który wychodzi poza prostą pomoc społeczną. Jednym z takich programów jest na przykład projekt dla osób trwale bezdomnych „Najpierw mieszkanie”. Chodzi o to, żeby człowiekowi w pierwszej kolejności zagwarantować mieszkanie, zapewnić minimalny dochód, opiekę zdrowotną, pomoc psychologiczną i pracę. W Finlandii taki projekt przyczynił się do znacznego ograniczenia bezdomności.

W Polsce udało się zrealizować takie projekty?

– Tak. Jeden był tylko warszawski, drugi działał w Warszawie, Wrocławiu i Gdańsku. Przede mną leży właśnie ponad 300 stron raportu z tego projektu.

Kamilińska Misja Pomocy Społecznej w Warszawie ma na przykład mieszkania treningowe. Najpierw osobom mieszkającym w schronisku pomaga się rozwiązać różne problemy zdrowotne, zawodowe, a kiedy już pracują i są w stanie przynajmniej częściowo płacić za siebie, przenoszą się do takich mieszkań, gdzie czekają w kolejce do mieszkania komunalnego czy najmu socjalnego. Jak pani widzi, to cały pakiet rozwiązań. Na tym opiera się też idea Centrum Usług Społecznych. W różnych gminach trwają obecnie projekty wdrażające tę instytucję.

Co to jest Centrum Usług Społecznych?

– W 2019 r. stworzono nową jednostkę organizacyjną, która ma integrować różnego rodzaju usługi dla obywateli i mieszkańców. Chodziło o to, żeby w jednym miejscu móc załatwić wszystkie sprawy, a nie biegać po różnych urzędach. Brzmi dobrze, tyle że nie przeznaczono na to żadnych pieniędzy z budżetu. Wymyślono więc, że robi się z tego kilkadziesiąt projektów za pieniądze unijne. W praktyce wygląda to tak, że gmina dostaje na przykład 30 proc. więcej do budżetu pomocy społecznej, lokalny ośrodek pomocy społecznej przekształca w Centrum Usług Społecznych i tam organizuje różne usługi dla mieszkańców. Na przykład warsztaty dietetyczne, dowóz osób wykluczonych transportowo albo usługę, która polega na tym, że złota rączka przychodzi do domu coś naprawić. Zamiast jednak zreformować całą pomoc społeczną, stworzono hybrydę legislacyjno-projektową, która wspiera wszystkich mieszkańców, zamiast skuteczniej pomagać tym najbardziej potrzebującym.

Jak to powinno wyglądać, żeby miało sens?

– Opowiem o projekcie „Praski kokon” z warszawskiej Pragi, opartym na tym samym pomysśle, czyli integracji usług i wielodyscyplinarnym wsparciu. Tyle że skierowano go do rodzin w najtrudniejszej sy-

tuacji, które od lat korzystały z pomocy społecznej i miały te wszystkie problemy, o których mówiliśmy – zdrowotne, z długami, z dziećmi. Zaproszono specjalistów – asystenta rodziny, psychologa, doradcę zawodowego, finansowego. Zespół koordynowany przez pracownika socjalnego współpracował z daną rodziną na tych różnych polach i wypracowywał rozwiązania.

To przyniosło bardzo dobre rezultaty, ale proszę zobaczyć, ile osób było zaangażowanych! To pokazuje, jak wielkie zasoby trzeba poświęcić, żeby wnieść nową jakość do życia tych rodzin. Same świadczenia nie rozwiązują problemu.

Jednak sensowna pomoc społeczna dla rodzin to nie wszystko.

Co jeszcze?

– Potrzebna jest cała polityka społeczna i odpowiedzialna polityka gospodarcza, bo jak nie opanujemy inflacji, to ludzie będą biednieli. A część tych, którzy zbiednieją, popadnie w kłopoty, z których będą się długo podnosić.

duje, że ludzie pozostają w ubóstwie?”. Natorycznie pojawiają się dwie odpowiedzi, które identyfikuję jako patologizację ubóstwa: lenistwo i alkoholizm. Jest w tym moralizatorstwo – lenistwo, nieumiarkowanie w piciu to grzechy.

I poczucie wyższości.

– Też. Co ciekawe, patologizowanie ubóstwa jest większe wtedy, kiedy czasy są lepsze. Ludzie myślą: „No przecież wszystko jest w porządku, niech sobie znajdą jakąś pracę”. Więcej osób wskazuje wtedy na lenistwo i alkoholizm. A kiedy czasy są trudne, tak na przykład było w latach 90., czy w latach 2002-04, więcej osób wskazuje na bezrobocie, choroby, niezaradność, czyli mniej stygmatyzujące przyczyny ubóstwa.

Bo pewnie więcej osób doświadcza tego na własnej skórze albo w najbliższym otoczeniu. I widzi, że to nie jest takie oczywiste.

– A ponieważ teraz czasy są gorsze, oczekuję, że będzie mniejsza patologizacja ubóstwa.

Znam osobę, która musi dojechać 20 km do miasta, żeby odebrać paczkę żywnościową, ale nie stać jej na bilet autobusowy

W związku z galopującą inflacją, wojną w Ukrainie ponad połowa Polaków boi się pogorszenia swojej sytuacji materialnej. Bieda przeraża?

– Jest sporo badań na temat tego, jak postrzegane są osoby najuboższe w społeczeństwie. Przede wszystkim nasze wyobrażenia kształtują media. Tradycyjne i społecznościowe. A ubogiego pokazuje się często jako tego „innego”. Z jednej strony jest Polakiem, to nas łączy, z drugiej – jest postrzegany jako obcy kulturowo.

Gorszy?

– Zna pani taki program na Polsacie „Nasz nowy dom”? Zaprasza się ludzi, którzy mieszkają w bardzo trudnych warunkach, i robi się im remont. Drugi, może zbliżony format, to „Damy i wieśniaczki”. Tam kobieta z klasy średniej zamienia się na domy z kobietą mieszkającą na wsi. Czytałem ostatnio analizę tych programów pod kątem przedstawiania ubóstwa. Wnioski są podobne. I w jednym, i w drugim epatuje się trudnymi warunkami. Przedstawia się je jako egzotykę. Podkreśla różnicę pomiędzy tamtym światem a „naszym”, tym z klasy średniej. W „Damach i wieśniaczkach” pokazywano nawet, jak kobiety z miasta reagują na zapach w tych wiejskich domach. Podkreślano konflikty. My robimy to tak, oni – tak.

Ale te różne stereotypy, stygmatyzacja występują nie tylko w artykułach prasowych czy w programach rozrywkowych, nawet typu dobroczynnego. Są także w książkach naukowych poświęconych polityce społecznej i ubóstwu. W latach 90. czy początku XXI wieku padały w nich takie słowa jak „bieda zawiniona” albo „bezdomność z wyboru”.

Możliwe, że czytelnicy naszej rozmowy nie zobaczą w tym nic dziwnego. „Przecież wiadomo, że ludzie z własnej winy popadają w biedę...”. Ale to tylko pokazuje, jak głęboko te uproszczenia w nas siedzą.

Jak głęboko?

– CBOS od wielu dekad prowadzi badania wokół postrzegania biedy. Podstawowe pytanie brzmi: „Co pani/pana zdaniem powo-

Z drugiej strony z badania Centrum Badań nad Uprzedzeniami wynika, że jednak bogaci są u nas bardziej stygmatyzowani niż biedni. Dehumanizacja ich jest większa i częściej przypisuje się im cechy negatywne.

Bogaty – znaczy, że nakradł.

– Co zwykle krzyczą ludzie na różnych protestach? „Złodzieje! Złodzieje!”. Może dotyczyć to władzy, ale jak ktoś jest zamożny, od razu pada podejrzenie, że się wzbogacił w nieuczciwy sposób.

Choć bogaci mają o tyle lepiej, że nawet jak ich społeczeństwo postrzega negatywnie, to i tak mają zasoby, żeby sobie z tym poradzić. Biedni nie mają żadnych środków, żeby przeciwdziałać uprzedzeniom.

Czy osoby ubogie uwewnętrzniają te stereotypy?

– Może w tym sensie, że często mówią: „Ja? Ja nie jestem ubogi. Ale tam to jest patologia!”. Co jest zrozumiałe. Nikt nie chce postrzegać siebie z perspektywy negatywnych wyobrażeń jako tego lenia, pijaka, dzieciioroba.

I to jest problem, jeśli chcemy, żeby zaistniała jakaś solidarność między ubogimi, żeby różne grupy działały razem dla poprawy swojej sytuacji. Bo na przykład ubodzy niepełnosprawni mówią: „Ale co nas łączy z uzależnionymi od alkoholu? Z wielodzietnymi matkami?”.

Ubodzy nie chcą się ze sobą solidaryzować, a klasa średnia nie chce się solidaryzować z nimi.

– Otóż to. Tym się między innymi zajmujemy w stowarzyszeniu ATD Czwarty Świat. Naukowcy, wolontariusze, pracownicy pomocy społecznej oraz same osoby ubogie na równym poziomie dyskutują i wypracowują wspólne projekty. Tak przygotowaliśmy koncepcję instytucji Rzecznika Praw Społecznych, który miałby reprezentować ludzi najuboższych i stać na straży ich praw. Fundamentem jest odrzucenie wszelkich stereotypów i moralizatorstwa. I uznanie ludzi najuboższych za takich jak my. Bo oni są tacy jak my, tylko z różnych powodów znaleźli się

w o wiele trudniejszej sytuacji. Uprzedzenia odbierają im podmiotowość i godność.

Czy elementem walki o godność i poczucie przynależności nie są czasem materialne przedmioty, jak telefon, markowe buty? Co z kolei często spotyka się z komentarzem: „Jaki on tam biedny, skoro ma wypasioną komórkę?!”. – Tu wracamy do tego, że jesteśmy coraz zamożniejszym społeczeństwem, co również oznacza, że rzeczy kiedyś drogie tanieją i stają się powszechne. Wszystkie rodziny, które znam i które na pewno byłyby sklasyfikowane jako żyjące w skrajnym ubóstwie, mają komórki i dostęp do internetu. I dobrze, bo dzięki temu łatwiej jest im załatwić te różne życiowe sprawy i utrzymywać kontakt ze światem.

Jakie są prognozy, jeśli chodzi o poziom ubóstwa w Polsce?

– Pesymistyczne. Wiele wskazuje na to, że ubóstwo skrajne znacząco wzrośnie w 2022 r. Tym, co sprawia, że mam ograniczone zaufanie do tego pesymistyczne-

go scenariusza, jest bezrobocie, które na razie nie rośnie. Ale jeśli zacznie, prognoza negatywna będzie dużo bardziej prawdopodobna.

Pytanie: jak zareaguje rząd? Problem w tym, że po pandemii i działaniach osłonowych zwiększył się dług publiczny. Rząd już ogłosił cięcia. Z tych cięć jest wyłącznie na armia i – jak to ostatnio określił prezes – „socjal”. Tylko co to właściwie oznacza? Cięcia w 500+ są tak naprawdę już od 2020 r., a w 2021 i 2022 przez inflację są galopujące. We wrześniu 2022 r. 500+ powinno wynosić 690 zł, żeby mieć taką samą siłę nabywczą jak w 2016 r. Niewaloryzowanie świadczeń, nie tylko zresztą tych na dzieci, jest niezrozumiałe. Nie mówiąc o innych kuriozach, jak świadczenie dla opiekunów osób niepełnosprawnych, które jest przyznawane pod warunkiem, że nie podejmie się pracy zarobkowej. Jak to się ma do postulatów „aktywnej polityki społecznej” i tego, żeby aktywizować zawodowo ludzi, którzy korzystają ze świadczeń? ●



FOT. MATERIAŁY UW

Prof. UW Ryszard Szarfenberg

• politolog specjalizujący się w polityce społecznej, Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW, ATD Czwarty Świat, EAPN Polska

PIS BOI SIĘ LUDZI

Nie noszę za starszymi kolegami teczek, nie jestem członkiem partii i kariera w stylu korporacyjnym mnie nie interesuje

Z **FRANKIEM STERCZEWSKIM**, POSŁEM KO, RADNYM OSIEDLA ŚW. ŁAZARZ W POZNANIU, AKTYWISTĄ MIEJSKIM, ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

Był pan symbolem przemian w polityce, młodości, nowej jakości, wrażliwości i jedną jazdą na rowerze tę nadzieję dla wielu pan przygasił. Dlaczego odmówił pan wtedy badania alkomatem?

– To było niepotrzebne, przeprosiłem za ten błąd. Wracałem ze spotkania z przyjaciółmi, ale nie byłem pijany. To nieprawda, że jechałem zygzakiem.

Tak twierdzi policja i że czuć było od pana alkohol.
– Zatrzymali mnie, bo przednia lampka nie świeciła.

To trzeba było się poddać badaniu.

– Trzymali mnie na tej ulicy dwie godziny. Niepotrzebnie wchodziłem w dyskusję. Mija pół roku, a policja wciąż nie złożyła do Sejmu wniosku o ukaranie mnie. Jak to robią, to zgodnie z obietnicą złożę immunitet i poddam się karze. Ciekawe, że nie spieszą się z wyjaśnieniem tej sprawy, tak jak z udostępnieniem nagrania mediom.

PiS czyha na każde potknięcie opozycji i robi gorsze rzeczy, by to wykorzystać. Pił pan czy nie?

– Piłem piwo i wiem, że nie powinienem jechać pod wpływem, zabrakło mi instynktu samozachowawczego. A policja, po dwóch godzinach trzymania mnie na ulicy, w końcu pozwoliła mi iść. Myślałem, że odstępuje od dalszych czynności i sprawa kończy się na upomnieniu. A po kilku godzinach widzę, że media o tym piszą. Rozumiem reakcję wielu osób i złość na mnie z tego powodu. Niepotrzebnie wsiadłem na ten rower. Zabrakło mi czujności i...

...przyzwoitości?

– Raczej refleksu. Byłem w szoku i nie wiedziałem, jak się zachować. Jestem świadomy, że to była głupota, że straciłem w oczach wielu osób, ale chcę odbudować to zaufanie i robić swoje.

I co teraz: odbudowa wizerunku z pomocą speców od kryzysu?

– Nie. W takich chwilach człowiek sam mierzy się z sytuacją. Wszystkie opinie przyjmuję z pokorą.

Zamierza pan kandydować w najbliższych wyborach?

– Tak. Chcę się poddać ocenie wyborców.

KO da panu znów szansę?

– To raczej pytanie do Donalda Tuska i innych liderów KO, którzy będą układali listy. Ale dziś o tym nie myślę. Skupiam się na tym, co ma sens teraz, na pracy.

I co pan teraz robi?

– Ludzie przychodzą do biura poselskiego z problemami wysokich kosztów ogrzewania, restauratorzy boją się bankructwa, bo zdrożało wszystko. W Poznaniu przez liczne remonty są utrudnienia i piszemy interwencje, żeby obniżyć czynsze w takich miejscach...

A co pan zobaczył w kulisach, jacy są politycy?

– Że są ludźmi z wadami i zaletami, ale zszokowało mnie oderwanie władzy od rzeczywistości, spraw i ludzi. Opieranie opinii na podstawie Twittera, fałszywych danych, a nie badań. Niestety, często widać, że jeśli ktoś jest kilka kadencji posłem, to ma słabe zrozumienie społecznych problemów.

Przykład?

– Mówię koledze, że pod Sejmem są pielęgniarki i trzeba do nich wyjść, okazać wsparcie, a on mi odpowiada, że nie pójdzie, bo będą go za to rozliczać. Przecież jesteśmy w Sejmie, żeby słuchać ludzi. Miałem nadzieję, że w komisjach sejmowych będzie możliwa pra-



FOT. LUKASZ CYNA-LEWSKI / AGENCJA GAZETA

ca z organizacjami społecznymi czy przedstawicielami różnych branż, ale PiS tę debatę cenzuruje. Zwyczajnie boją się ludzi.

Dlaczego aktywista w ogóle wchodzi do polityki? Tam jest paliwo do działań?

– Aktywizm to sygnalizowanie problemów społecznych i kierunków, w których państwo powinno się rozwijać, a polityka to narzędzie do realizowania tej zmiany. Gdy dosta-

łem propozycję startu z listy KO, to poczułem, że jest szansa na przeciępienie aktywistycznej energii do świata polityki.

Dostał pan ostatnie miejsce na ich liście...

– Nie było złe, chyba jeszcze bardziej mobilizowało mnie, żeby pokazać inną wizję i niezależność. Teraz też siedzę w ostatnim rzędzie w Sejmie i nie jest to degradacja, tylko zaszczyt, że mogę siedzieć w tej izbie.

Siedzi pan w ostatniej ławie sejmowej, startował z ostatniego miejsca, ale teraz pewnie samotność wyjątkowo doskwiera?

– Kiedy powinie się noga, to tak, człowiek jest sam. Znają to chyba wszystkie osoby publiczne, którym się tak przydarzyło. A gdy jest sukces, to wszyscy chcą się nim ogrzać. Dużo osób mnie pyta, czy w polityce jest jak w „House of Cards”, a ja odpowiadam, że raczej jak w „The Office”. W polskiej polityce wciąż panuje atmos-

fera jak w korporacjach z lat 90., w których rządzi hierarchia – jacyś panowie w garniturach, lekceważąc resztę, podejmują decyzje i uważają się za wyrocznie, a potem się okazuje, że są karykaturą własnych wyobrażeń. A jeśli jakiemuś młodemu stażem nagle się coś udaje, to kłody pod nogi i wypycha nie do szeregu.

Jak rodzice przyjęli wiadomość, że został pan zawodowym politykiem?
– Są dumni.

A po sprawie z rowerem?
– Było ciężko, ale otrzymałem wsparcie.

Pochodzi pan z Poznania, jest z zawodu architektem, zwraca uwagę na problemy transportu publicznego, jeździ trasą z Poznania do Warszawy na posiedzenia Sejmu. Czy może pan wytłumaczyć, dlaczego przed remontem tej linii kolejowej podróż trwała godzinę krócej?
– Bo remont jeszcze się nie skończył. Modernizacja linii E20 z Poznania do Warszawy trwa dłużej niż pierwsza wojna światowa, kosztuje już ponad 2,5 mld zł, a docelowo pociąg ma jechać jedynie 5 minut szybciej. Dzieje się tak, bo kolej w Polsce jest budowana w ten sposób, że ma się opłacać zaprzyjaźnionym z władzą firmom budowlanym, a nie pasażerom i pasażerkom. Karol Trammer w książce „Ostre cięcie. Jak niszczo-no polską kolej” pisze, że 30 lat temu w Polsce mieliśmy około miliarda przejazdów pociągami, a teraz ok. 250 milionów. Niestety, przez niemal osiem lat rząd PiS popełniał błędy wszystkich poprzednich rządów, które albo likwidowały kolej, albo jej nie rozwijały. Odwieczną bolączką jest niedofinansowanie i złe zarządzanie.

PKP PLK jest spółką skarbu państwa, a nie agencją, tak jak Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. Różnica polega na tym, że PLK muszą płacić koszty amortyzacyjne z tytułu posiadania infrastruktury, dlatego nie mogą zbudować dużo więcej, bo musiałyby płacić za amortyzację. Gdyby była agencją, mogłyby budować w większych ilościach, byłyby zwolnione z kosztów stałych i miałyby dostęp do kredytów z Banku Gospodarstwa Krajowego. Absurdem jest, że w Polsce priorytetowo traktujemy budowę dróg i autostrad, a budowę kolei jako złe konieczne. Przez ostatnich 30 lat powstało ok. 4300 km dróg ekspresowych i autostrad i ani jedna nowa linia kolejowa.

Udało się panu kogokolwiek w Sejmie do czegoś przekonać w podobnym temacie?
– Cieszę się, że m.in. Donald Tusk widzi, że aby wygrać kolejne wybory, potrzebna jest konkretna propozycja odbudowy tej i innych usług publicznych.

No to załóżmy, że trafił pan do rządu Tuska, jest pan w ministerstwie, i pierwsze decyzje...
– ...trzeba wprowadzić spójny system taryf i ulg na bilety w całej Polsce. Żeby pasażer i pasażerka mogli kupić w jednej kasie czy aplikacji jeden bilet na wszystkie rodzaje komunikacji, co pozwoli na promocje, takie jak niemiecki bilet wakacyjny za 9 euro. Druga rzecz to dofinansowanie i usprawnienie funduszu przewozów regionalnych. Trzecia to długofalowa strategia odbudowy transportu, czyli takie przekształcenie grupy PKP, a szczególnie PLK, żeby ta instytucja zajęła się efektywną rozbudową sieci kolejowej. Musimy przywrócić godność zawodu maszynisty, motorniczego, kierowcy i innych. Trzeba natychmiast zatroszczyć się o tych ludzi, bo w tym sektorze brakuje rąk do pracy, tak samo jak w szpitalach.

PiS ma swój „PKS plus”. Nie wypalił?
– Był jedną z pięciu propozycji w tzw. piątce Kaczyńskiego, ale jest głęboko niewystarczający. Bo widzimy, jak upadł PKS Radom, PKS Walcz, co chwilę upada kolejny. Mało kto skorzystał, bo program powinien być dwa razy większy, a umowy zawierane na dłuższy okres, by nie odstraszać samo-

rządów. Rozmawiam ze starostami, burmistrzami różnych miast i wszyscy mówią, że zwiększenie funduszu i zmiana czasu umów byłyby wskazane, bo dla nich umowa na rok i niepewna sytuacja budżetowa w związku z tzw. Polskim ładem i brakiem pieniędzy z KPO powodują, że trudno traktować propozycje rządu poważnie.

Gdyby ten fundusz przestał być teoretyczny i stałby się gwarantowanym wsparciem dla wszystkich samorządów, to w całej Polsce moglibyśmy mieć regionalny transport autobusowy na europejskim poziomie. Grodzisk Mazowiecki i Lipno udowadniają, że się da. Razem z grupą ekspertów opracowaliśmy pierwsze kroki dla usprawnienia transportu publicznego w Polsce. Po pierwsze, standard to przynajmniej dziesięć kursów autobusu w ciągu dnia, w każdym sołectwie, i by godziny odjazdu były stałe. W tym momencie ustawa wymaga od samorządów transportu szkolnego i mamy gimbusy, ale dobrze byłoby rozszerzyć ten wymóg o transport publiczny, żeby nie było tak, że tylko niektóre gminy to robią. Po drugie, wcześniej wspomniana reforma funduszu przejazdów autobuso-

Zapytałbym Kaczyńskiego, czy wie, ilu młodych ludzi w Polsce ostatnimi czasy popełniło samobójstwo...

wych i przekształcenie PKP PLK w agencję. Po trzecie, wsparcie samorządów wojewódzkich, by mogły budować i zarządzać drogami kolejowymi, tak jak w województwach dolnośląskim i pomorskim. Dolnośląska Służba Dróg i Kolei buduje dziesięć razy taniej niż PKP PLK, wybudowała drogę kolejową z Wrocławia do Trzebnicy za 20 milionów złotych, bo buduje w najprostszym standardzie, by budować jak najwięcej. Z kolei PKP PLK wybudowałaby to dziesięć razy drożej, bo priorytetem jest wylać jak najwięcej betonu, a nie wygoda pasażerów. PKP w tym momencie nie ma właściwego nadzoru.

Centralny Port Komunikacyjny ma powstać w miejscach, gdzie dziś mieszkają ludzie często od pokoleń. Ma pan dla tych ludzi jakiś pomysł, jak się uchronić przed pomysłami rządzących?
– Około 14 mln Polaków jest wykluczonych komunikacyjnie, w tym ¼ mieszkańców wsi. To jest prawdziwy problem, bo wpływa na naszą codzienność. Absurdem jest, że zamiast poprawić realny problem, PiS woli śnić o potęgze. Stworzyło piękną wizualizację CPK, ale to myślenie propagandowe. Buduje CPK, dobijając lokalne lotniska, i nie chodzi tylko o Modlin i Okęcie, ale też o poznańską Ławicę i wszystkie inne, którym zwiększane są koszty funkcjonowania, aby rząd mógł wykazać spadek wydajności.

Według raportu NIK do 2020 roku na konto spółki CPK dla zarządu wpłynęło 100 mln złotych, a potem te koszty jeszcze rosły. Zadajemy pytania ministrowi Marciniowi Horale o realne koszty, harmonogram prac, ale spółka nie chce ich ujawnić, zasłaniając się tajemnicą handlową. Absurd! CPK to jedna wielka piramida finansowa, która po wyborach będzie za to wszystko rozliczona.

A ludzie na tamtych terenach? Nie mogą za bezcen być wyrzucani ze swoich domów, co ma umożliwić ustawa wywłaszczeniowa, którą o dziwo PiS ostatnio zdjął z obrad – to kolejny dowód na to, jak ta władza się kruszy. CPK to teraz maszynka do wyżywienia pisowskich działaczy, ale działacze lokalni widzą presję społeczną, więc też pielgrzy-

mują do prezesa z prośbami, by to zablokować – totalny chaos.

Był pan jednym z dziewięciu posłów, który zgłasował przeciwko podwyżkom dla polityków. Naraził się pan kolegom z klubu?

– Owszem, niektórzy byli oburzeni, że ktoś, kto jest pierwszy raz w Sejmie, nie dostosował się do dyscypliny. Cieszę się, że m.in. posła Szczerbę i Zielonych przekonałem.

Wyłamał się pan, bo...?
– Zgłosowało na mnie 25 060 poznaniaków i poznaniaków, to przed nimi odpowiadam, jak głosuję i jak wyrażam ich wolę. Uznałem, że w czasie pandemii, kiedy ludzie doświadczają kryzysu, a braki w ochronie zdrowia są tak dramatyczne, to głosowanie za podwyżkami byłoby nieprzychylnością.

Zgłosował pan też z PiS-em za Funduszem Odbudowy. Tym też pan złamał wewnętrzne ustalenia. Ze 130 posłów KO 127 wstrzymało się, dwóch nie zgłosowało, pan był „za”.

– Rozmawialiśmy o tym w klubie na Zoomie, ale to nie zostało odpowiednio prze-gadane, wygrało myślenie, żeby zgłosować przeciwko PiS, a nie za interesem społecznym. Ale skoro posłowie KO głosowali za przyjęciem tego funduszu w Parlamencie Europejskim i skoro jesteśmy częścią siły proeuropejskiej, to trzeba być konsekwentnym. Dziwiły mnie komentarze, że zrobiłem to dla lajków. To głosowanie było dla mnie najtrudniejsze, bo wiedziałem, że większość klubu myśli inaczej. Wtedy debata o funduszu skręciła w jakiś absurdalny, antyunijny ton, a ja nie wyobrażam sobie w sprawach unijnych stawać w jednym szeregu z Ziobrą i innymi polexitowcami.

Co pan usłyszał?
– Że „jakim prawem ten młodzian tak zagłasował”. No niestety, nie noszę za starszymi kolegami teczek, nie jestem członkiem partii i kariera w stylu korporacyjnym mnie nie interesuje. Nie zależy mi też, by być w kontrze, chcę zwyczajnie partnerskich relacji i po prostu zwracania uwagi na codzienne problemy ludzi. Cieszę się, że coraz więcej się od siebie uczymy nawzajem i że coraz lepiej ta współpraca nam się układa. Zarówno głosowanie nad podwyżkami dla posłów, jak i to nad przystąpieniem do Funduszu Odbudowy było lekcją, z której opozycja wyciągnęła wnioski, jest silniejsza i bardziej zintegrowana niż wcześniej.

Kto jest sojusznikiem takiego pana myślenia?
– Mam wiele dobrych relacji, a niekiedy i przyjaźni w ramach KO oraz szerzej, w opozycji. Niekiedy zaskakujących. Szczególnie mówiąc, nie spodziewałem się, że tak łatwo uda się nawiązać dobrą współpracę z Donaldem Tuskiem. Reprezentujemy inne pokolenia, ale łączy nas wola walki o zwycięstwo. Obaj nie mamy wątpliwości, że miliardy z KPO są Polsce potrzebne i że są do wzięcia od ręki. Widać, że wbrew temu, przed czym straszili niektórzy, Komisja Europejska nie jest naiwna i nie przekazuje tych środków, dopóki rząd nie spełni wy-

mogów. Widzimy zresztą, jak PiS nie panuje nad sytuacją. Wiecznie jest zajęty sobą i partyjnymi rozgrywkami, a nie zarządzaniem państwem w obliczu kryzysu i wojny za wschodnią granicą.

Spotkał pan Kaczyńskiego? Czy on w ogóle chodzi po Sejmie?
– Nie, nie pojawia się nawet na korytarzach. Omija miejsca, w których mógłby kogokolwiek spotkać. Przyjeżdża limuzyną, wchodzi do pokoju marszałkowskiego, z niego do tzw. czarnego pokoju za mównicą sejmową i przechodzi na swoje miejsce w pierwszym rzędzie w Sejmie. Poza głosowaniem nie uczestniczy w pracach Sejmu, w zespołach czy komisjach. Spotkać go można tylko na sali plenarnej, gdy jest otoczony przez wiernych.

A gdyby pan go spotkał?
– Czy warto tego pana w ogóle jeszcze o cokolwiek pytać? Jasne, mogę spytać, czy wyrzuci Ziobrę i Czarnką, zaakceptuje prawo aborcyjne i równość małżeńską dla osób tej samej płci. Ale znając jego działalność, nie spodziewam się kulturalnej odpowiedzi. Zastanawiam się czasem, czy jest tak bardzo nieświadomy swoich czynów, czy jest po prostu złym człowiekiem. Być może zapytałbym, czy jego utrzymanie się u władzy musi działać się kosztem młodego pokolenia? I czy wie, ilu młodych ludzi w Polsce ostatnimi czasy popełniło samobójstwo, czy zna te statystyki... Bo tylko od stycznia do września tego roku było 1500 prób samobójczych osób poniżej 18. roku życia.

A z kim pan nie rozmawia?
– Staram się z każdym, jestem z natury towarzyski i otwarty, ale są w polityce fanatycy, dla których flaga UE to szmata, w tęczy widzą diabła. Są też cynicy, którzy po prostu ślepo powtarzają linię partyjną, ale efekt jest ten sam i tak samo nie ma o czym gadać. Zawsze jestem chętny do rozmowy z wyborcami prawicy. Natomiast mam nadzieję, że z wieloma politykami łamiącymi konstytucję, m.in. Zbigniewem Ziobrą, niedługo po wyborach porozmawiają odpowiednie organy.

Był pan ponad tydzień na granicy polsko-białoruskiej w Usnarzu Górnym. Biegi ze słynną torbą, łapali pana pogranicznicy. To było zaplanowane?
– Nie interesuje mnie granie na emocjach ani pod publiczność. To była chwila i komplet nie tego nie kalkulowałem. Gdy widzimy ludzi, którym grozi niebezpieczeństwo, albo gdy jesteśmy świadkami wypadku drogowego, reagujemy i staramy się pomóc. Gdybym miał lepsze buty, to bym dobiegł z jedzeniem dla tych potrzebujących osób.

Czy dzięki takim akcjom udało się w Polsce coś na tej granicy politycznie załatwić?
– Niestety, ale mamy do czynienia z państwem przemocowym, które jednym uchodźcom pomaga, jeśli mają białe kolory skóry, a innych wypycha i skazuje na śmierć. To samo robi policja, traktując kobiety na protestach gazem. Nawet posłanki. Mamy do czynienia z władzą, która wykorzystuje służby w sposób instrumentalny. Na granicy polsko-białoruskiej byłam trzy razy, a pomoc niewinnym ludziom była nam uniemożliwiana w sposób haniebny. Prawo jasno mówi, że nieudzielenie pomocy jest przestępstwem. To samo przyznają teraz sądy.

Udało nam się jednak znaleźć wielu ludzi, np. Syryjczyków, którzy byli latami w podróży, w ciągłej ucieczce, albo grupy, które udało się uchronić przed kolejnym nielegalnym wypchnięciem. Gdy taką grupą zainteresował się Rzecznik Praw Obywatelskich, w tym dr Hanna Machińska, która była z nami na miejscu, Grupa Granica, Fundacja Ocalenie, mieszkańcy, media albo posłowie, wówczas była szansa na potraktowanie tych osób zgodnie z prawem – trafiali do ośrodka, sprawdzano ich dokumenty i przyznano status uchodźcy.

Bieg z torbą był jednym z tych obrazków, który zwrócił uwagę na kryzys humanitar-ny i nieludzkie działania polskiej Straży Granicznej. Dzięki nagłośnieniu tej sprawy wiele osób zaczęło się przyłączać do zbiórek i akcji pomocowych. Po raz kolejny społeczeństwo obywatelskie mimo niesprzyjających warunków pokazało serce i zdało egzamin z człowieczeństwa. Jestem dumny, że mogę być częścią grupy, która w tej sprawie nie miała wątpliwości. Państwo polskie powinno wszystkich traktować jednakowo, bo prawa człowieka przysługują niezależnie od pochodzenia, koloru skóry czy wyznania. Takie same zasady, jak na granicy z Ukrainą, powinny obowiązywać na granicy z Białorusią.

I oczekuje pan tego od PiS? Że wpuści tu potrzebujących i da im mieszkania, pracę, ludzką pomoc?
– Gdyby rząd PiS potrafił zarządzać czymkolwiek, nie byłoby problemu. Obiecali 100 tys. mieszkań, a powstało jedynie ok. 15 tys. Oni nawet nie potrafią się dogadać z PKP, które ma w posiadaniu grunty, na których te mieszkania miały powstać. W Poznaniu zaplanowano nową dzielnicę, Wolne Tory, i tak jak wiatraki czy milion samochodów elektrycznych istnieje tylko na papierze. Gdyby rząd PiS spełniał obietnice wyborcze realnie, a nie tylko w teorii, to pomoc Ukrainie nie byłaby jedynie na barkach obywateli i obywaterek. W Polsce nie brakuje pieniędzy, tylko uczciwego wydawania ich zgodnie z interesem społecznym. Oczywiście, konieczne jest zakończenie sporu z UE, przyjęcie KPO oraz poważne traktowanie samorządów i ludzi. To zadania dla kolejnego rządu, bo od PiS nie należy już wymagać zbyt wiele.

A z sieci tymczasem leją się ksenofobiczne fake newsy, gra na nich Konfederacja.
– Kłamstwo można zwalczać tylko prawdą, dlatego trzeba pokazywać, jak Ukraińcy i Ukrainki dzielnie walczą, opierając się putinowskiej Rosji. My, jako Polska, mamy najgłębszy interes, by być ich adwokatem w świecie. Przecież Putin wypowiedział wojnę całemu Zachodowi. A PiS, Konfederacja? Podstawą naszego bezpieczeństwa są NATO i UE, dlatego prawica z powodu swoich antyzachodnich fobii, niszcząc nasze sojusze, zagraża naszemu bezpieczeństwu.

Wiemy, ale co zrobić?
– Obserwujemy największy kryzys uchodźczy za naszego życia. Półtora roku temu mówiłem, że Polska musi być na to gotowa, aby przyjąć milion uchodźców, ale niektórzy się śmiali, że to nierealne. Tymczasem w tym roku przyjęliśmy kilka milionów osób z Ukrainy i dajemy radę, ale dzięki wysiłkowi obywaterek i obywateli, a tymczasem rząd umywa ręce i wystawia pierś do orderów. Ludzie tą nieudolnością i beczecznością rządu są zmęczeni, sfrustrowani.

I mam wrażenie, że z tej frustracji, z tej bezradności, opozycji pozostaje robić лайки, spoty i posty na social mediach. Że w to idzie cała para, zwłaszcza wizerunkowa.
– Zgadzam się, że wielu polityków jest w to zapatrzonych, ostatnio w TikToka, traktują to lifestyle’owo. Powinni jednak wiedzieć, że nie zawsze лайки się przekładają na wyniki wyborów, co widać po posłach Konfederacji.

Agencja Wise Rabbit zrobiła badania: ¾ młodych w wieku 18-24 lat woli słuchać influencerów niż polityków czy specjalistów, a jeśli polityków, to Korwina, Mentzena i raczej prawicy. Jak pan sądzi, jako polityk młodego pokolenia, dlaczego?
– Ale dzisiaj wszyscy politycy są trochę influencerami, bo zależy im, żeby mieć kontakt z wyborcami i wpływ. Skrajna prawica jest obserwowana głównie ironicznie jako mem, ciekawostka, żart, co widać po tym, że coraz mniej osób traktuje poważnie Korwina i to, co on mówi. Dla mnie ważne jest budowanie trwałych relacji i więzi z ludźmi, z którymi łączą mnie wspólna sprawa i idea.

A opozycja pójdzie do wyborów zjednoczona?

– Większość sondaży pokazuje, że mamy szansę wygrać bez względu na to, w ilu pójdziemy blokach. Ale są także badania, które wskazują, że bloki dają największą skuteczność. Może sensownym rozwiązaniem byłyby dwa bloki: KO i Lewica, a obok PSL i Polska 2050 razem? To będzie decyzja liderów, ja się skupiam na swojej pracy. Wierzę, że zwyciężymy niezależnie od układu list. Moim zdaniem sytuacja ukształtuje się pół roku przed wyborami, bo wtedy można odpowiedzialnie podjąć decyzję, wiedząc, jaka jest wartość danego ugrupowania i jakie bloki mogą dać najlepszy wynik. Jednak celem jest uzyskanie też większości konstytucyjnej, bo zostaną mam jeszcze dwa lata z prezydentem Dudą.

PiS dzięki 500 plus poprawił sytuację ekonomiczną wielu polskim rodzinom, gdy liberalowie od lat powtarzali, że państwa na to nie stać. Czy wyborcy PiS mogą wam zaufać, by przejść na stronę opozycji?
– To prawda, że PiS wygrał tym, że dla wielu osób stał się symbolem państwa opiekuńczego, ale to my dzisiaj proponujemy 20 proc. podwyżki dla budżetówki i odbudowę usług publicznych. Chcemy podtrzymać to, co PiS-owi się udało, ale też zrobić lepiej to, z czym sobie nie poradził. Zadbac o tych, o których PiS zapomniał, jak rodziny z osobami z niepełnosprawnościami. Uważam też, że trzeba w końcu zadbać o pracowników ochrony zdrowia, o nauczycielki, o lekarzy rezydentów i innych.

Skąd pieniądze, gdy szykuje się kryzys spowodowany rządami PiS?
– Problem w tym, że tak do końca to nie wiemy, jaki jest budżet, skoro PiS robi, co chce, majstruje przy nim, kreuje i skoro powołał wielomilionowe fundusze. Trzeba będzie to wszystko rzetelnie policzyć, przekonamy się, ile finansów było ukrytych.
Jednym z głównych zadań po wyborach będzie takie wsparcie młodych, by nie musieli emigrować. W Polsce brakuje przynajmniej miliona mieszkań. Już ponad połowa Polek i Polaków między 25-35. rokiem życia mieszka z rodzicami. Kredyt i najem stają się coraz droższe, a coraz mniej osób na to stać. Dlatego dla tak wielu ludzi jedyną opcją jest emigracja. Za chwilę zabraknie pielęgniarek, lekarzy, naukowców, pracowników transportu. Ostatnio na spotkaniu z przedstawicielami Izby Zawodowej Architektów RP dowiedziałem się, że tylko 30 proc. absolwentów architektury kontynuuje ten zawód w Polsce.

Jak ich zatrzymać? Skąd pieniądze?
– Skąd? Są choćby wielkie korporacje, które unikają podatków. Miliardy są wyrzucane na propagandę TVP czy pompowane w kieszenie zarządów takich spółek jak CPK. Są programy jak Fundusz Sprawiedliwości, które są wydawane w sposób nieprawidłowy i będą rozliczone. Są też takie wydatki z kieszeni podatników, jak 200 mln zł na Fundusz Kościelny, 1,6 mld zł idzie na finansowanie lekcji religii. Wsparcie dla Rydzyka to 325 mln zł w ostatnich 5 latach. Pora przeznaczyć te środki na ochronę zdrowia, edukację i transport publiczny. Czyli znów, nie brakuje pieniędzy, brakuje woli politycznej.

A co panu mówią ludzie w tym pociągu do Warszawy?
– Te spotkania są bardzo pouczające. Ostatnio miałem rozmowę z trójką młodych ludzi, którzy mieszkają na stałe w Berlinie, a angażują się w pomoc w Ukrainie. Jeżdżą z pomocą humanitarną. Rozmawiamy i nagle przyznali, że nie mają zaufania do szczeni, obostrzeń wobec epidemii COVID. Wymieniliśmy się argumentami, ale to, co usłyszałem z ich strony, to zwątpienie w autorytety, system, w instytucje. Bo świat elit i biznesu oderwał się od społeczeństwa i komunikuje się w sposób niezrozumiały. I tu widzę też swoje zadanie, jako polityka – rozmawiać z każdym w warsie, w parku czy na ulicy oraz budować skuteczne i empatyczne państwo. By odbudować wspólnotę i wiarę w demokrację. ●

Po prawdzie

Polska w wersji „Jarosławka”

Ze sklejki i ze stelażem w środku.

Agnieszka Kublik

Z tą polską laweczką, „jarosławką”, jest jak z Polską Kaczyńskiego: nakazy, zakazy, łańcuchy, bez sensu, bez ładu i za drogo. Ale uwaga: „jarosławki” błyskawicznie uległy naturalnemu zniszczeniu. I zniknęły z Polski.
Miała być reklamą „Polski i polskich inwestycji wspieranych przez BGK” (to państwowy bank, którym rządzi ludzie Morawieckiego). Wyszła antyreklama – rząd pokazał, jak się można ośmieszać, zapromować i wyrzucić na to morze kasy publicznej (jedna „jarosławka” to aż 100 tys. zł!; w sumie pochłonęły 1,6 mln).
Każdą konstrukcja waży 5 t, jest na 4 m wysoka, na 3,3 m szeroka, na 2 m głęboka. Polska jest ze sklejki zabezpieczonej farbą i ze stelażem w środku. Według instrukcji: „»Ławka« to instalacja przeznaczona do rekreacji i wypoczynku, składająca się z siedziska, stelażu w kształcie konturów Polski, wraz z podestem, schodami i postumentem zabezpieczonym łańcuchem”.

Niech opozycja nie wyciąga fałszywych wniosków z losu, jaki spotkał laweczki patriotyczne

„Jarosławki” stały w 16 miastach: w Białymstoku, Chorzowie, Gdańsku, Gorzowie Wielkopolskim, Kielcach, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Międzyzdrojach, Olsztynie, Opolu, Poznaniu, Radomiu, Rzeszowie, Toruniu i Wrocławiu.
Wszystkie z regulaminem korzystania, który jest tak kuriozalny, że tylko ta ekipa mogła go wymyślić. Zresztą, czy ktoś potrzebuje instrukcji, jak się rozsiąść na lawce? W państwie PiS – jak widać – jest nieodzowna. W takiej Polsce nawet „rekreacja i wypoczynek” muszą być centralnie zorganizowane przez państwo.
I przebiegać ściśle wedle instrukcji. W której nakazy, zakazy i groźby. Np.:
– Osoby, które chcą skorzystać z ławki zobowiązane są do zapoznania się z niniejszym Regulaminem i jego przestrzegania;
– Ławka jest przeznaczona do użytku dorosłych oraz dzieci, przy czym korzystanie z ławki przez dzieci do lat 12 powinno odbywać się wyłącznie w obecności i pod opieką osób dorosłych;
– Na lawce mogą przebywać maksymalnie 3 osoby, przy czym łączne obciążenie nie może przekroczyć 225 kg;
– Wejście i zejście na lawkę dozwolone jest i powinno odbywać się tylko za pomocą schodów trzymając się poręczy. Schody umieszczone są z tyłu instalacji;
– Z ławki należy korzystać tylko z pozycji siedzącej, trzymając się porę-

czy stanowiących umocowanie ławki i opierając się o oparcie;
– Zabrania się:
Stawania na lawce
Siadania na oparciu ławki
Skakania na lawce
Zeskakiwania z ławki
Siadania i przebywania na uszkodzonej lawce
Używania urządzeń nagłaśniających i innych wywołujących hałas
– Na lawce i w jej bezpośredniej przestrzeni obowiązuje bezwzględny zakaz spożywania napojów alkoholowych, środków psychotropowych i odurzających, palenia tytoniu, papierosów elektronicznych oraz używania otwartego ognia;
– Osoby oczekujące na skorzystanie z ławki powinny znajdować się poza obrębem całej instalacji w odległości 1,5 metra;
– Zabronione jest korzystanie i przebywanie na lawce ze zwierzętami;
– Wobec osób, które nie będą przestrzegały powyższych zasad albo które spowodowały szkody w instalacji mogą zostać wyciągnięte konsekwencje na gruncie obowiązujących przepisów prawa.
Nikt nie wie, po co komu takie „jarosławki”.
Bo nie dla analfabetów.
Nie dla starszych.
Nie dla niepełnosprawnych.
Nie dla dzieci do lat 12.
Nie dla rodzin z dziećmi.
Nie dla ludzi ze zwierzętami.
Nie dla pijących.
Nie dla palących.
Nie dla grubych.
Nie dla cudzoziemców.
Pojawiły się pod koniec sierpnia, gdy cała Polska żyła rybami, które ginęły w Odrze. Trudno wybrać gorszy moment na reklamowanie rządu poprzez laweczkowy relaks.
„Jarosławki” sfinansował Bank Gospodarstwa Krajowego. Bo „jarosławki” to akcja, która jest częścią kampanii promocyjnej rządu. Morawiecki przeznaczył na nią dodatkowe 5 mln zł – ze środków na pilne i nieprzewidziane wydatki państwa.
Z kogo to państwo sobie kpi?
Z nas wszystkich.
A może już niedługo?
Bo niektóre z „jarosławek” nie przeżyły nawet dziesięciu dni! Uszkodził je zwykły deszcz. Z Polski po prostu zeszła farba. Inne po dwóch tygodniach były w oplakanym stanie, bo drewniane elementy zostały uszkodzone. Przez naturę – deszcz, śnieg, wiatr.
Tylko niech opozycja nie wyciąga z tego fałszywych wniosków. Polska Kaczyńskiego naturalnie nie ulegnie uszkodzeniu.
Jest odporna na deszcz afer. A partia już robi wszystko, by mobilizować swoich, np. w dniu wyborów zapewniając darmowy transport pod urny wyborcze.
Opozycja sama musi zadbać o to, by ktoś, kto nie chce, by PiS dalej rządził, namyślił się, by poprzeć opozycję, by nie zmienić zdania, a w dniu wyborów zechciał wrzucić kartę do urny.
Potrzeba, naturalnie, ludzi, pieniędzy, programu i strategii. Czy opozycja to ma? ●

Adam Michnik poleca korespondencję Grydzewskiego i Wierzyńskich

NIEPRZYZYSTAWALNE GATUNKI POLAKÓW

Kazimierz, pełen dobrej woli, w jednej z pierwszych paczek z Ameryki przysłał nam słoik maści na katar.

Maciej Wierzyński*

Kazimierz Wierzyński to mój stryjeczny dziadek, ale w rodzinie mówiło się o nim „stryj”, a częściej po prostu – Kazimierz. W Polsce jestem jego najbliższym żyjącym krewnym. I to jest usprawiedliwienie, dlaczego lekkomyślnie zdecydowałem się podjąć zadanie omówienia czterech grubych tomów korespondencji Mieczysława Grydzewskiego z Kazimierzem Wierzyńskim i jego żoną Haliną.

Te cztery tomy listów to rezultat blisko 50 lat przyjaźni Wierzyńskiego, poety, z Grydzewskim – redaktorem pisma, w którym drukował wiersze. A także wynik wielu lat pracy dwojga niezwykle ludzi, entuzjastów nieco zapomnianej twórczości mego stryjecznego dziadka. Ci ludzie to prof. Beata Dorosz z Instytutu Badań Literackich i Paweł Kądziera z „Więzi”. Ta dwójka zna biografie i twórczość obu autorów listów lepiej ode mnie. Ja jednak miałem okazję kilkakrotnie spotkać się z jednym z nich osobiście, a fakt, że noszę to samo nazwisko, kilkakrotnie zdecydował o moich życiowych wyborach.

We wstępie Dorosz i Kądziera piszą: „listy pisarzy emigracyjnych stanowią wstrząsające świadectwo wielkiej samotności, nostalgii, upokarzającej miserii finansowej i związanego z nią poczucia deklacji, są dramatycznym wołaniem o pomoc, szukaniem oparcia i zrozumienia”.

Skupię się na najbliższych mi wątkach rodzinnych i – z racji własnych doświadczeń – na stosunkach kraj – emigracja.

W połowie lat 60. Anna Iwaszkiewiczowa, żona Jarosława, tak pisała do Grydzewskiego: „Wy w ogóle nie macie żadnego prawa sądzić o czymkolwiek z naszego życia”.

Była to reakcja na jakieś złośliwości pod adresem Iwaszkiewicza drukowane w gazetach emigracyjnych przy okazji uroczystych obchodów 70-lecia urodzin zorganizowanych na cześć poety przez władze w Warszawie. Według Anny Iwaszkiewicz ludzie, którzy nie mieszkają w Polsce, nie mają prawa oceniać kogokolwiek, kto w Polsce mieszka. Między tymi dwoma gatunkami Polaków – mieszkającymi w Polsce i wychodźcami – według niej nie ma szans na zrozumienie.

Iwaszkiewiczowa pisała to w 1964 r., kiedy konflikt między gotowymi do współpracy z władzą ustanowioną przez Moskwę i ludźmi, którzy pozostali poza krajem i czuli się depozytariuszami zachodniej, demokratycznej kultury, był ciągle żywy.

Moje pierwsze wrażenie z lektury tych czterech tomów było właśnie takie: porozumieć się trudno, bo mamy za sobą in-

ne doświadczenia i fałszywe wyobrażenia o sobie. Tak było i w naszej rodzinie. Kazimierza mieliśmy za szczęściarza, który dobrze wybrał, na emigracji nieźle mu się wiedzie i nie ma pojęcia, jak ciężko żyje się w Polsce. On zaś bardzo martwił się o nasz los, szukał sposobów, by nam pomóc, ale nie wiedział, czego najbardziej nam trzeba.

List Anny Iwaszkiewicz oznaczał zerwanie wieloletniej przyjaźni Grydzewskiego, redaktora „Wiadomości”, z małżeństwem Iwaszkiewiczów. Jarosław był prominentnym członkiem grupy poetyckiej Skamander. Natomiast o Grydzewskim skamandryci pisali żartobliwie jako o swoim „herszcie”. Była w tym ironia, ale i prawda o niezwykłym związku wielkich poetów z wybitnym redaktorem i wydawcą.

List jest też kwintesencją nieporozumienia między najbliższymi przyjaciółmi wynikającego z innych perspektyw i doświadczeń.

Na przełomie lat 40. i 50. te różnice koncentrowały się na decyzjach o powrocie do Polski bądź pozostaniu poza krajem. Wynikały z odmiennych sympatii politycznych albo z różnego spojrzenia na sprawy społeczne. Często też ze złudzeń.

Skamandryci to Lechoń, Iwaszkiewicz, Tuwim, Słonimski i Wierzyński. Dla Tuwima i Słonimskiego, znanych z sympatii lewicowych, powrót do kraju i podjęcie współpracy z władzą zainstalowaną przez komunistów był decyzją stosunkowo łatwą. Mieli nadzieję, że bliskie im ideały znajdą przy nowej władzy szanse na realizację. Wierzyński i Lechoń złudzeń w sprawie komunizmu nie mieli.

Sympatie Grydzewskiego powinny były raczej zbliżać go do Tuwima i Słonimskiego, ale przeważały chyba względy praktyczne i przywiązanie do dzieła życia, jakim były dla niego „Wiadomości”. W powojennej Polsce nie było szans na kontynuowanie formuły pisma niezależnego. Iwaszkiewicz próbował kontynuować formułę Grydzewskiego, ale rezultaty nie były zachęcające. Władza domagała się afirmacji i ją egzekwowała.

Wśród skamandrytów Iwaszkiewicz zajmował miejsce osobne. Lata wojny jako jedyny spędził w Polsce, w niezłych – jak na tamte czasy – warunkach materialnych. Tę pozycję ryzykował jednak, heroicznie czyniąc ze swego domu w Podkowie Leśnej ośrodek działalności konspiracyjnej. W jego domu ukrywali się Żydzi.



• Jeszcze dobre czasy:
Kazimierz Wierzyński
w Londynie, rok 1928

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Po wojnie z jednej strony wysługiwał się władzy, opływał w zaszczyty, ale zarazem kierowana przez niego „Twórczość” była pismem na najwyższym poziomie i schronieniem dla wielu pisarzy jawnie przeciwstawiających się władzy.

Lektura korespondencji pokazuje, jak ludzie różnie patrzyli na swój los. W naszych kontaktach rodzinnych też dawało się to odczuć i po latach dostrzegam, ile było w tym niezrozumienia i uproszczeń. My w Polsce uważaliśmy tych z Zachodu za wybrańców fortuny żyjących bezpiecznie i dostatnio. Nie mieliśmy pojęcia o upokarzającej sytuacji uchodźcy wegetującego wśród tysięcy podobnych wygnańców.

List Iwaszkiewiczowej do Grydzewskiego kończy się dramatycznym oświadczeniem: „Chciałabym wiedzieć, że Pan list mój otrzymał, ale żadnej odpowiedzi sobie nie życzę”; „życzę, żeby Bóg Panu wybaczył grzechy w godzinie śmierci, a oszczerstwo to jest bardzo ciężki grzech”.

Nim wypowiedziała te słowa pełne patosu, wcześniej padły zdania małostkowe: „po obliczeniach musieliśmy wyrzec się marzenia o założeniu centralnego ogrzewania”. Autorka listu najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że dla uchodźców własny dom, nawet bez centralnego ogrzewania, był niedościgłym marzeniem.

Pamiętam, że Kazimierz, pełen dobrej woli, w jednej z pierwszych paczek przysłał nam słoik maści na katar. Ten prezent z Ameryki przez wiele lat był w rodzinie symbolem niezrozumienia różnic naszego położenia.

Ojciec mój zapewne do końca życia uważał życie Kazimierza na Zachodzie za godne zazdrości. Ja pojąłem smutek emigracji, dopiero kiedy sam zakosztowałem życia w obcym kraju, mimo że sytuacja uciekiniera spod komunizmu, która wyrzuciła mnie na amerykański brzeg w 1984 r., była nieporównanie lepsza od losu emigranta powojennego. Zналиśmy przecież wszystkie zle strony opuszczonej ojczyzny, wiedzieliśmy, czym jest realny socjalizm i uczucie nostalgii tak powszechne wśród wojennych uchodźców nigdy nie było moim udziałem.

Tymczasem Kazimierz tęsknił potwornie, a świadczy o tym i jego twórczość poetycka, i listy wymieniane z Grydzewskim. W jednym stawia rozpaczliwe pytanie: „Czy my tam kiedykolwiek wrócimy?”.

Nie wrócili, za to uniknęli moralnych łamańców, których pełno było w naszym krajowym życiu, a życie Iwaszkiewiczów jest te-

go świetnym przykładem. Jarosław w dzienniku z niesmakiem wyraża się o jubileuszu, który wyprawiła mu władza: „W lutym uroczystości jubileuszowe w gruncie rzeczy po prostu przykre (...) wszystko takie dęte, niepotrzebne, okropne”.

Na koniec listu do Grydzewskiego Anna Iwaszkiewicz pisała z nutą moralnej wyższości: „My też mogliśmy opuścić kraj”. Mogli, ale nie opuścili. A przecież zrobili tak nie tylko z poczucia narodowego obowiązku. Także dla wygody.

Kazimierz gratulował Grydzewskiemu listu od Iwaszkiewiczowej. Pisał: „Winszuję Ci listu od Hani”, bo szef „Wiadomości” nie omieszkiał się nim przed poetą pochwalić: „w liście zwymyślała mnie od ostatnich”. Widać, że nie bardzo się wymyslałi prze-

wał o losie Grzegorza rzeczowo: „o moim małym bratanku (...) nadeszła wiadomość, że miał wyjechać z końcem kwietnia [1946] w transporcie czterystu dzieci do Szwajcarii (...). Chciałbym go sprowadzić do nas”.

Starania o sprowadzenie Grzegorza trwały przez następne siedem lat. Te lata spędził pod opieką surowej szwajcarskiej ciotki, której przedtem właściwie nie znał. Tymczasem dla nas Szwajcarią oglądana zza żelaznej kurtyny, z gruzów powojennej Warszawy, wydawała się rajem na ziemi. Grzegorz jednak Szwajcarii dobrze nie wspomina.

Zachwycony był za to Kazimierz. Młody Grydzewskiemu: „Grześ już jest w Szwajcarii. To dziecko stało się dla nas sensem życia. Myślę, że w ciągu pół roku uda się go sprowadzić tutaj”.

go roku 1958 lekko poirytowany Kazimierz przypomina Grydzewskiemu, że „Grześ jest naszym synem. Odebrać mu ten charakter, to urazić go najbardziej. Adoptowaliśmy go przed laty”.

Grzegorz adopcyjnych rodziców nie zawiódł. Jako dziennikarz pracował w tygodnikach „Fortune” i „Time”. Był szefem Radia Wolna Europa, którego legendarna Polska Rozgłośnia była częścią. Kiedy w 1981 r. tygodnik „Time” ogłosił Wałęsę Człowiekiem Roku, był autorem znakomitego cover story.

Z Kazimierzem spotkałem się po raz pierwszy w 1964 r. w Paryżu. Spotkaliśmy się potem jeszcze dwa razy we Włoszech, chyba w latach 1966

Kazimierz Wierzyński:

„Jeśli emigracja nie będzie utrzymywała związku z krajem, pozostaje jej tylko jedna droga – w orszaku pogrzebowym na cmentarz”

jął. I to chyba jest miara wzajemnego oddalenia.

W pierwszych trzech tomach korespondencji obejmujących lata 1920-57 odnajduję echa decyzji, które pokazują, jak moja rodzina, krok po kroku, dzieliła się na gałąź polską i amerykańską. Te decyzje dotyczą przede wszystkim wyjazdu z Polski bądź powrotu.

Próbowaliśmy wyjechać i my. Ojciec, po powstaniu, wyzwolony przez Amerykanów z obozu w Murnau, trafił do armii Andersa; chciał nas ściągnąć do Włoch. Jedyne, co się powiodło, to wyluskanie z Polski mego rówieśnika Grzegorza – przyrodniego brata ojca. (Dziadek mój, a ojciec Grzegorza, zmarł w obozie na Majdanku, matka nie przeżyła tułaczki po upadku powstania warszawskiego).

Osieroconego Grzegorza udało się wyekspediować z Polski w 1946 r. Nikt go o nic nie pytał. To, że jako siedmioletnie dziecko zmieniał kraj, język, kulturę, widziały z Polski wyglądało na szczęśliwe zakończenie dramatycznej bajki. W liście do Grydzewskiego Kazimierz Wierzyński informo-

Nie udało się. Szwajcarski przystanek Grzegorza zamienił się w trwający kilka lat dziwny stan zawieszenia. Dopiero w marcu 1953 r. Kazimierz pisał: „Kochany Mietku, 10-go przyleciał Grześ, co wywołało u nas istną rewolucję. Skończył 14 lat. Mówi tylko po francusku, zapomniał po polsku. Ludzi zdobywa sobie łatwo. Garnie się do nas. Halina jest szczęśliwa”.

Dziś takie przeżycia nazwalibyśmy nieuleczalną traumą wymagającą przepracowania pod opieką psychologa. Ale dla mojej mamy była to historia, w której Grzesiowi mogły zdarzyć się już tylko przypadki szczęśliwe. Tak myśleliśmy i my, dzieci z pokolenia Grzesia, moja siostra i ja. Gdziekolwiek jest, na pewno wie, że mu się lepiej od nas: ma lepsze zabawki i na pewno jest po lepszej stronie świata.

Dopiero lektura korespondencji Kazimierza z Grydzewskim uświadomiła mi, jak egoistyczne było nasze odczuwanie. W 12 miesięcy po przyjeździe do Ameryki, czyli latem roku 1954, Wierzyński formalnie adoptowali Grzegorza. W liście z lute-

i 1967. To pierwsze spotkanie to był chyba jeden wieczór.

Dzieliło nas wszystko: wiek, doświadczenie, miejsce zamieszkania, nie mówiąc o pozycji społecznej. Na Zachodzie byłem pierwszy raz i Zachód na przemian mnie onieśmiał albo przyprowadzał o zazdrość, a Kazimierz był obywatelem świata. Autorem tłumaczonym na rozmaite języki, jednym z tych niewielu Polaków, których dorobek sięgał poza Polskę. Wydawnictwo Simon & Schuster wypuściło właśnie jego biografię Chopina z przedmową Artura Rubinsteina. Wprost promieniował od niego osobisty urok. Ja zaś byłem początkującym dziennikarzem zatrudnionym w nie tak wiele znaczącej wówczas w Polsce „Polityce”.

Kazimierz, co bardzo mi pochlebiało, natychmiast zarządził, bym mówił mu „ty”, zaprosił do knajpy na kolację. To nie była żadna elegancka restauracja, upiliśmy się tanim chyba winem i było nam bardzo wesoło. Może nawet zbyt wesoło – byłem za młody i za głupi, by zrozumieć rozterki poety emigranta.



Myślę, że także dziś funkcjonuje w zbiorowej wyobraźni fałszywy obraz wychodźstwa. W tamtych czasach było to jeszcze dodatkowo spotęgowane przez propagandę przypisującą emigrantom zdradę narodową, wysługiwanie się obcym mocarstwu i „pójście na lep” za judaszowe srebrniki.

Czesław Miłosz pisał w pożegnalnym numerze paryskiej „Kultury”:

„Zostać emigrantem znaczyło spaść w towarzyskiej hierarchii. Ogłosić się antykomunistą było po prostu nietaktem. Wspominam o tym, bo odpowiada to prawdzie, choć nikt już nie chciałby się do tego przyznać”; „wydostając się z Polski, wziąłem na siebie obowiązek walki, ale to nie znaczy, że wierzyłem w zwycięstwo. Emigracja stawiała się symbolem niebytu, co miało wpływ obezwładniający”.

A myśmy w Polsce tym ludziom zazdrościli ich losu. Kazimierz dobrze te dylematy rozumiał. Zresztą na tym właśnie tle dochodziło do sporów z innymi uchodźcami. Dotyczyły stosunków między emigracją a krajem. Mimo że przecież emigracja była wrogiem imperium, pod którego władaniem Polska cierpiała.

Wspominając ucieczkę na Zachód, Miłosz napisał: „Imperium miało wszystko po swojej stronie: wygraną wojnę, miliony w lagrach, kontrolę nad połową Europy i kontrolę nad umysłami w drugiej połowie, pieniądze na propagandę, dobrze opłacany aparat policyjny i szpiegowski. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić rozmiary triumfu tego państwa”.

Wśród emigrantów wyraźne było stopniowanie w przyswajaniu tej wiedzy. Kazimierz Wierzyński wśród skamandrytów był zaliczany do niezłomnych. Wolny był jednak od złudzeń, spierał się z Grydzewskim: „Przestrzegam Cię przed ideologią, za którą kryje się intrygantwo, skle-roza i brudy”; „należy pamiętać, po cośmy tu zostali”. I pytał „Po to, by pomagać narodowi, czy po to, by wytrwać po bohatersku w bezczynności?”.

Na tym tle w 1961 r. doszło do zerwania współpracy Wierzyńskiego z „Wiadomościami”. Powodem była notatka o Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku (PIASA). Instytut szukał sposobów wspierania tego, co nazwalibyśmy dziś kulturą niezależną. Spór dotyczył pytania: jak to robić, nie uzależniając się od totalitarnej władzy?

Wierzyński zarzucał „Wiadomościom” demagogię, kiedy oskarża kierownictwo instytutu o wypełnianie życzeń Warszawy. Stał na stanowisku, że akcja pomocy „musi być unormowana, tak jak unormowane są rozkłady jazdy, taryfy pocztowe albo podania o wizę. Można nie uznać tego punktu widzenia, ale wtedy jest tylko jedno wyjście – nie udzielać stypendiów i odrzucić pomoc amerykańską. Uważałbym to za błąd niewybaczalny”.

Kazimierz tę opinię wyraził jeszcze dobitniej, pisząc na marginesie tego sporu do Stanisława Strzetelskiego: „Uważam, że jeśli emigracja nie będzie utrzymywała związku z krajem, pozostaje jej tylko jedna droga – w orszaku pogrzebowym na cmentarz”.

Osoba Strzetelskiego odegrała w moim życiu ważną rolę. Poznałem go osobiście w roku 1964, kiedy jako szef niewielkiej fundacji Wandy Roehr, pomagającej rodzącej się właśnie w Polsce kulturze niezależnej, odwiedził Polskę i przywiózł dla mnie list od Kazimierza.

Dostałem wezwanie „na Rakowiecką”. Tak w potocznej polszczyźnie nazywano policję polityczną, czyli Służbę Bezpieczeństwa. Była ona częścią wielkiego aparatu MSW. MSW mieściło się – i mieści nadal – przy ulicy Rakowieckiej.

Rozmawiał ze mną cywil, który przedstawił się jako Boński i zaczął od tego, że ostatnio widywałem się z amerykańskim szpiegiem. Przyznaję, że się lekko wystraszyłem. Ale dalej nie wiedziałem, o co mu chodzi. Wtedy Boński wyjaśnił mi, że o Sta-

■

Miłosz:
„Zostać emigrantem
znaczyło spaść
w towarzyskiej hierarchii.
Ogłosić się antykomunistą
było po prostu nietaktem”

niśława Strzetelskiego, pracownika Wolnej Europy.

Boński wyszedł na chwilę do sąsiedniego pokoju i mogłem przyjrzeć się, co ma rozłożone na biurku. Wśród papierów były zdjęcia pokoju w Hotelu Europejskim, a na tych zdjęciach otwarta walizka Strzetelskiego. Pomiędzy papierami, na hotelowym stole, leżał list od Kazimierza Wierzyńskiego zaadresowany do mnie.

Boński wyszedł po to, żebym zrozumiał, że wszystko o mnie wie. Chodziło o to, żeby odpowiednio mnie przestrzaszyć. A następnie złożyć propozycję współpracy. Oczywiście propozycja połączona została z pogrózką, że jeśli się nie zgodzę, to nie dostanę paszportu. Powiedziałem, że do współpracy się nie nadaję. I na tym się skończyło. Spotkanie zbagatelizowałem, sądziłem bowiem, że była to rutynowa próba rekrutacji młodego dziennikarza obracającego się w różnych środowiskach interesujących bezpiekę.

Dopiero lektura korespondencji Wierzyńskiego z Grydzewskim nasunęła mi myśl, że mogło być zupełnie inaczej. Że Rakowiecka zainteresowała się mną dlatego, że na nazwisko miałem Wierzyński, plany MSW dotyczyły innego Wierzyńskiego – a ja miałem być elementem większego propagandowego zamierzenia: sprowadzenia Wierzyńskiego z emigracji do Polski. Gdyby wrócił, byłby to dowód, że najbardziej zatwardziali emigranci zrozumieli wreszcie, że nie należy sprzeciwiać się biegowi historii.

Późniejszy mój szef w tygodniku „Kultura” Janusz Wilhelmi, człowiek wykształcony i odcytany, cytował w sytuacjach takich Ewangelię, przypominając: „nie będziesz walczył przeciw ościeniovi”. Kazimierz, wedle oczekiwań bezpieki, jako stęskniony za krajem młodości poeta, do tego zmęczony polityczną jałowością sporów wśród wychodźstwa, doszedł do realistycznego przekonania, że nie warto „wierząc przeciw ościeniovi”. Jego stanowisko w sprawie współpracy PIASA ze środowiskami kulturalnymi w Polsce dawało władzom w Warszawie nadzieję, że ulega wdziękowi realnego socjalizmu pokropionego jeszcze narodowym sosem.

Słowa, że odcięcie od kraju prowadzi na cmentarz, pobudziło – to moje domysły – funkcjonariuszy od kultury i emigracji do działania. Nieporozumienie polegało na różnym rozumieniu słowa „kraj”. Czy kraj to działacz Towarzystwa Polonia powołanego do uwodzenia „polonusów” sentymentem do płaczących wierzby? Czy też kraj to naród opierający się aksamitnej, ale jednak przemocy, przez szukanie oparcia w najwyższych rejestrach polskiej kultury, bez przykrawania jej do aktualnych potrzeb politycznych? A trzeba pamiętać, że w tym czasie trwała ofensywa partyzantów, frakcji narodowych komunistów dostrzegających zyski płynące z kokietowania akowców, przypomnienia majora Hubala i mruganiu okiem do antysemitów nie tylko partyjnych. W takim czasie skłonienie Kazimierza do przyjazdu byłoby nie byle jakim sukcesem.

Zbliżał się rok 1968, propaganda partyjna odwoływała się do najniższych instynktów drzemiących w społeczeństwie. Tak, poeci czasem objawiają dar jasnowidzenia. Kazimierz pracował nad nowym zbiorem wydrukowanym w „Kulturze” pod tytułem „Czarny polonez”. Znalazł się w nim wiersz „Zawracanie głowy”,

a w nim takie dwie linie: „Podnieśliśmy służy./ Chlusnęło narodem”. „ Czarnym polonezem” Kazimierz awansował z pozycji przemilczanego poety do rangi wroga publicznego numer jeden.

Moja sytuacja – pracownika frontu ideologicznego, a takim przecież byłem, noszącym to samo rzadkie nazwisko, co jeden z arcywrogów władzy – gwałtownie się skomplikowała.

Do tego czasu udawało mi się robić dziennikarską karierę bez wypierania się stryjecznego dziadka występującego regularnie w Wolnej Europie. Witold Filler – formalnie kierownik działu teatralnego w warszawskim tygodniku „Kultura”, piśmie, w którym po odejściu z „Polityki” pełniłem funkcję sekretarza redakcji, uznany specjalista od politycznych zadań specjalnych – wyprodukował broszurę zatytułowaną „Literatura małej emigracji”, wydaną przez MON.

Znalazło się w niej spostrzeżenie, że Kazimierz Wierzyński „zszedł z cokołu, by uczestniczyć w ataku na własny naród”. W „Żołnierzu Wolności” zaś napisali, że Kazimierz „oplul wszystko co polskie”, a Filler dowodził, że „jeśli kiedyś zdawało się, że istnieje przepastna różnica między ludźmi typu poety Wierzyńskiego i ludźmi typu autora kupletowych rymowanek w »Freies Europe« Mariana Hemara – teraz taka różnica przestała obowiązywać”. Filler broszurkę wręczył mi osobiście i chyba nawet napisał na niej dedykację.

Janusz Wilhelmi zaś, mój szef, w roku 1969 uczcił śmierć mego stryjecznego dziadka tekstem zatytułowanym krótko „Wierzyński”. Ten nekrolog był szczytnym elegancją dwuznaczności – specjalności Wilhelmi. Jeśli chciał ofiarę zdeptać, aby przypodobać się zwierzchnictwu, nie używał prymitywnego języka propagandy, sięgał po chwytły bardziej wyszukane, ale tym bardziej bolesne. Jak choćby pełne obłudy słowa: „Umarł pokonany. Te wiersze czytałem ze współczuciem”. Tekst kończył się zdaniem: „Z perspektywy jego klęski, tym większy wydaje mi się smutek tej dalekiej śmierci”.

Protekcjonalny ton słysząc było w każdym zdaniu. I triumfalny zarazem. Bo Wilhelmi dobrze wykalkulował, że przełknę każde świństwo, które napisze. Nie wiedział jednak, że ustawia mnie na drodze prowadzącej do rozstania się z dziennikarstwem w PRL-u. Bo przez wszystkie lata czulem surowe spojrzenie Kazimierza Wierzyńskiego oceniające moje postępowanie.

Współpraca z paryską „Kulturą” dostarczyła zmartwień nie tylko mnie. Nie pochwalał jej także Grydzewski. Korespondował z Haliną Wierzyńską, która w tej wymianie listów uczestniczyła od zarania. Halina pracowała jeszcze przed wojną w „Wiadomościach Literackich” i przyjaźniła się z Grydzewskim. W życiu Kazimierza Wierzyńskiego odgrywała kluczową rolę, nie tylko muzy, ale również sekretarki, księgowej i wydawcy. Tak przynajmniej zapisała się w naszej pamięci – resztek rodziny w Polsce.

I to nie jest żaden przypadek, że ta korespondencja ma trójkę autorów: Mieczysława Grydzewskiego oraz Kazimierza i Halinę Wierzyńskich. To właśnie do Haliny, jeszcze w 1962 r., kierował Grydzewski pytanie o współpracę Kazimierza z „Kulturą” Giedroycia: „Czy on ma zamiar w dalszym ciągu uprawiać »samobójstwo literackie«. »Kultura«, mimo wszystkich swoich zalet, nie jest miejscem do ogłaszania wierszy, które w niej giną. Jedynym miejscem jest pierwsza strona »Wiadomości«”.

Kazimierz odpowiedział na to: „Drukuję w »Kulturze«, bo bardziej mi odpowiada jej stosunek do spraw krajowych niż Twój i »Wiadomości«, a także z tego powodu, że Twoje stanowisko i akcja przeciw Instytutowi nowojorskiemu wywołała we mnie głęboki uraz”.

Na zakończenie Kazimierz wyraża nadzieję, że ich dawna przyjaźń przezwycięży bieżące kontrowersje. „Może historyk zwycięży redaktora, a przyjaciel złego polityka i jakoś to się ułoży. Dziękuję Ci za pi-

smo. Ściskam Cię i życzę Wesołych Świąt. Kazimierz”.

W liście tym Wierzyński informuje też Grydzewskiego, że pragnie wycofać się z jury nagrody „Wiadomości” także i dlatego, że „nie zamierzam już nigdy zasiąść przy jednym stolem z Józefem Mackiewiczem”. Jak dowiadujemy się z przypisów, Mackiewicz powtarzał plotki, jakoby Kazimierz Wierzyński zamierzał wracać do Polski, by tam „stanać na cokole”.

Czy zamierzał wrócić? Myślę, że nie. Sądzę natomiast, że tęsknił bardzo. Świadczy o tym jego poezja. Jednak losy wielkich powracających: Słonimskiego, Stanisława Mackiewicza, Wańkowicza musiały przywracać przytomność umysłu nawet największym marzycielom. Z kolei ci wielcy, których nowy ustrój zastał w Polsce, albo jak Tuwim czy Broniewski wcześniej dołączyli do budowniczych nowej rzeczywistości, pozostawili po sobie świadectwa, które woleliby ukryć. To też była przestroga.

W czerwcu 1964 r. sytuacja Słonimskiego po podpisaniu Listu 34 zaniepokoiła dawnych przyjaciół, także tych, którzy jak Wierzyński i Grydzewski nie przebiegali w słowach, krytykując jego wybory. Grydzewski pisał do mego stryjecznego dziadka: „Mam wiadomość, że Antoni potrzebuje pomocy”. Kazimierz odpowiedział: „W lipcu jedź do Polski ktoś zaufany, przez kogo spróbuję porozumieć się z Antonim. Gdybyś przedtem dowiedział się, że można posłać – daj znać”. Słonimski dziękował przyjaciołom, a Kazimierz pisał do Grydzewskiego: „List Antoniego wzruszający. Cieszę się, że sprawiliśmy mu przyjemność”.

Żegnając Kazimierza tuż po jego śmierci, Jarosław Iwaszkiewicz pisał w „Twórczości”: „Był równie piękny, jak za czasów młodości, może jeszcze piękniejszy: nic ze starca, a wszystko z dojrzałości i wielkiej goryczy emigracyjnych doświadczeń. Mówił mi przykre rzeczy, ja jemu też. Myślę, że ten jednolity, piękny, żywiołowy i jakby rudymmentarny człowiek, który nie miał wrócić ciałem do ojczyzny, powinien do nas wrócić duszą – to znaczy swoimi utworami, które zbyt mało są znane w kraju”.

Koleje losu tych ludzi, przecież tak odmienne, dają nadzieję, że myliła się Anna Iwaszkiewiczowa. Sugerowała, że różne gatunki Polaków nie mogą się ani zrozumieć, ani porozumieć. Nie wykluczałbym jednak, że wszyscy oni należeli do jakiegoś innego, lepszego gatunku Polaków. ●

*Maciej Wierzyński

• ur. w 1937 r. dziennikarz, publicysta. W PRL-u pracował m.in. w latach 1965-80 w „Kulturze”, a od maja 1980 r. w Telewizji Polskiej; po 13 grudnia 1981 zwolniony. W 1984 r. wyemigrował do USA, gdzie założył pierwszy polskojęzyczny kanał telewizyjny. W grudniu 1989 r. wrócił do Polski. W latach 1992-2000 szef Polskiej Sekcji Głosu Ameryki w Waszyngtonie, 2000-04 naczelny nowojorskiego „Nowego Dziennika”. W latach 2006-19 prowadził w TVN 24 magazyn „Horyzont” poświęcony sprawom międzynarodowym.

Mieczysław Grydzewski, Kazimierz i Halina Wierzyńscy, „Listy” (z lat 1920-69), t. I-IV, oprac. Beata Dorosz, Paweł Kądziela. Instytut Badań Literackich, Warszawa 2022.



Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wiktor Woroszyłski*

Litania za dyktaturę
(ze Stephena Vincenta Benéta)

Oto jedna z ostatnich w naszym wieku prób wielkiej retoryki: zwrócone do ludu amerykańskiego kazanie S.V. Benéta o faszyzmie [z 1935 r.]. Benét (1898-1943) zawsze apelował do szerokich rzesz odbiorców i często podejmował temat polityczny – stąd zapewne jego brak zainteresowania dla ideałów poezji ekskluzywnej: oszczędności słowa, wstydliwego niedomówienia. Stąd również, jak twierdzi ceniący go Karl Shapiro, niechęć krytyki, podejrzliwej wobec twórczości politycznej i... twórczości poczytnej. Oczywiście, ani jedno, ani drugie nie gwarantuje też, odwrotnie, wysokiej rangi poezji. Tłumacz „Litanii” zastanawiał się, co sprawia, że pozostaje pod tak wielkim wrażeniem jej oratorskiego patosu, jej biblijnej podniosłości i whitmanowskiej wylewności – a więc w sumie tonacji, którą dziś, zdawałoby się, równie trudno kontynuować, jak odbierać. Czyżby w stosunku do pewnego rodzaju dramatów historycznych – takich jak odmalowany przez amerykańskiego poetę dramat faszystowskiej ekspansji – właśnie ten język, ta struktura, to natężenie głosu zachowywały swą adekwatność i trwały, wbrew nowoczesnym aksjomatom, jako nieprzemijająca możliwość? Ta próba przekładu nie jest odpowiedzią, lecz tylko pytaniem – podobnie jak inne w tym zbiorku.

Za bitych ludzi Za rozbite głowy
Za głodnych uciśnionych i niemądrych
Widma płonących miast naszego czasu

Za porwanych przez wozy pędzące i bitych
przez zręcznych chłopców o gumowych pięściach
Kładą ich biją stół wrzyna się w łędźwia
kopią w pachwiny porzucają niby
kury bezgłowe na podłodze jatki
i wloką następnego o bielmie na oczach
Za Rot Front wołających bądź Niech żyje król
I za tych którym zabrakło odwagi
lecz bitych mimo to
Za tych co krwawe pieńki wypluwają
flegmatycznie w przedsionku co śpią dobrze na
kamieniu lub żelazie wyczekując chwili
gdy strażnika zabiją w ustępie nim umrą
z oczyma upadniętymi i lampą płonącą

Tych z bliznami z przetrąconymi nogami
Tych z grobów bezimiennych w więziennym
podwórzu
udeptanych przed świtem przysypanych wapnem
Za od razu zamordowanych Tych co żyją
miesiące i lata
czekają mają nadzieję chodzą co dzień
do pracy do ogonka po mięso do knajpy
żywąc tymczasem płodząc dzieci przemycając broń
aż ich schwytanych zathuką jak szczury
w rynsztoku

Za tych co uciekli
cudownie na wygnanie i tam się tulają
mieszkają w ciasnych klitkach obcych miast
wspominając ojczyznę jej zielone trawy
głosy dzieciństwa mowę zapach wiatru
kształt izb kawę podaną do stołu rozmowę
z przyjaciółmi rodzinne miasto twarz kelnera
nagrobki pod którymi nie będą leżeli
jak nigdzie w swojej ziemi Ich dzieci są obce

Za przywódców głowiących się nazbyt i bitych
I za pokornych którym nie powstało w głowie
lecz doniesiono na nich lecz gniew lecz dowcipy
lecz jak się wytłumaczyć lecz szli do obozu
lecz w trumnach plombowanych odsyłano ciała
Próba ucieczki Zapalenie płuc

Za hodowców pszenicy trafionych przy stogu
Hodowców chleba w lodowym odludziu
Ich ciała pola ich przypominają
Za wydanych przez straszne wypieszczone dzieci
opłacone miętówką i pochwałą Państwa
Doskonałego Za duszonych kastrowanych
w imię państw doskonałych Za kapłana w petli
Żyda z piersią zmiażdżoną i gasnącym wzrokiem
Za rewolucjonistę co padł z rąk bojówki
w imię państw doskonałych dla państw
doskonałych

Zdradzonych przez sąsiadów którym dłoń ściskali
I za zdrajców na twardym stolku o zlepionych
potem włosach i palcach niespokojnych gdy
wymieniają nazwisko i adres człowieka

I za tych co przy stole siedzą w domu
lampa świeci jedzenie pachnie szczęk talerzy
rozmawiają spokojnie wtem słyszą samochód
stuk do drzwi wymieniają pośpiesznie spojrzenia
i kobieta otwiera obciągając suknię
z twarzą sztywną Tu dobrzy są obywatele
wierzący w Państwo Doskonałe

Wtedy
po raz ostatni Antoś Karol Mały
przyszedł do domu Później wykończyli resztę
Po raz ostatni Strzały słyszeliśmy w nocy
lecz co to było nikt z nas nie wiedział nazajutrz
A człowiek musi iść do pracy Przez trzy dni
ani się go widziało łatwo tak oszaleć
i te patrole z parszowymi pukawkami
a gdy wrócił krew miał na sobie i był jak pijany

Za kobiety w kryjówce nocy mężów oplakujące
Za dzieci uczone milczenia ophute w szkole
stare dzieci Za splądrowaną pracownię
wywrócone na nice mieszkanie zafajdany obraz
studnię zaszczaną
nagie ciało Wiedzy ciśnięte na rogu ulicy
A ręki nie podniósł nikt nie przemówił nikt

Za kolbę rewolweru zimną kulę gorącą
stryk dławiący i krępujące kajdany
Głos potężny z metalu kłamiący przez tysiąc tub
i za belkot kaemu co ma odpowiedź na wszystko

Za człowieka ukrzyżowanego na krzyżu kaemów
bez nazwiska bez zmartwychwstania bez gwiazd
z ciemną głową śmierć dźwigającą z ciałem
o starym
kwaśnym zapachu więzień Jan Kowalski Jan Ktoś
Jan Nikt nad nazwiskiem łam sobie głowę
Bez twarzy jak woda nagi jak proch
z czci wyzuty jak ziemia zagazowana
Piętno barbarzyństwa To on
To człowiek którego zjedli przy stole zielonym
rękawiczki kładąc nim tknęli mięso
To jest owoc wojny pokoju owoc
objawienia dojrzałość baranek nowy
odpowiedź na mądrość mędrca
I wciąż jeszcze wisi wciąż jeszcze umrzeć nie chce
I wciąż jeszcze w lat naszych mieście stalowym
światło słabnie straszliwa krew sphywa w dół

Myśleliśmy że to przeszłość ale myliliśmy się
Myśleliśmy mając siłę że mamy mądrość
Myśleliśmy że do kresu Czasu zdąży nasz pociąg
Myśleliśmy że jasność będzie się wzmaczać
Teraz pociąg wykolejony stoi bandyci go grabią
Teraz żmija i dzik nad czasem sprawują władzę
Teraz noc z powrotem na Zachód się toczy
i trwała jest noc

Zasialiśmy zęby smoka my sami i nasi ojcowie
a dzieci nasze poznały i znoszą zbrojnego
człowieka



***Wiktor Woroszyłski** – 1927-96, poeta, prozaik, tłumacz poezji rosyjskiej, biograf, publicysta. Na przełomie lat 40. i 50. aktywny zwolennik komunizmu, jeden z tzw. przyszcztach. W latach 1956-58 redaktor „Nowej Kultury”. Od lat 70. związany z opozycją demokratyczną, redaktor drugoobiegowego „Zapisu”, po 13 grudnia 1981 r. internowany. Współpracownik miesięcznika „Więź”. Autor m.in. licznych zbiorów poezji, relacji z powstania 1956 r. „Dziennik węgierski” czy powieści dla młodzieży „I ty zostaniesz Indianinem”. Wiersz za jego tomikiem „Niezgoda na ukton”, Czytelnik, Warszawa 1964

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:
Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępc), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski

WYDAWCA: Agora SA,
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Kto komu daje z liścia

Macie swoje dogmaty i swoje inkwizycje jak ci pogardzani przez was katole.

Marcin Matczak

Czytam komentarze pod moim świątecznym artykułem i widzę, że ogromna większość czytelników poczuła się nim obrażona. Pozwólcie, że się wytłumaczę.

Gdybym chciał was obrazić, nie pisałbym o poreligijnej pustce. Napisałbym o ważnych dla was rzeczach tak, jak Ziemo-wit Szczerek streścił „progresywne” podejście do katolickiego Boga – że to „chuj” („Europa będzie oświecona albo będzie bezludna”, „Krytyka Polityczna”, 10.05.2019).

Gdybym chciał, żeby was zabolalo, nie pisałbym o konsumowaniu emocji. Napisałbym o czymś, co cenicie, w stylu Jacka Dehnela, który pisał, że wiara katolicka opiera się na dwóch filarach: święceniu jaj i homofobii „Co, poradzić, skoro to właśnie widzę jako zasadnicze spoiwo grupy obejmującej wedle szacunków ponad 90 proc. Polaków” (Kultura Liberalna 9/2019).

Gdybym chciał wam dopiec, nie pisałbym o pornografii autopromocji. Wzoru-jąc się na Gretkowskiej, napisałbym, że lubicie, „po swojemu, staropolsko w słomianych łapciach i gaciach, dupczyć po bożemu i dawać tej dupy każdemu, kto ją posmaruje, 500 plus albo obietnicą zbawienia”. I kazalbym wam wypierdalać, tak jak ona w swoim świątecznym poście kazała wypierdalać mi.

To cytaty nie z trolli internetowych, ale z liderów ateistycznego środowiska. Każda z tych osób skomentowała mój tekst, zarzucając mi „dzielenie ludzi”. Czy to jest ta głębia, do której powinienem aspirować? Pokażcie mi, proszę, w moim tekście coś choćby zbliżonego do takiego chamstwa. A może jesteście hipokrytami, zawsze gotowymi do uderzenia w uczucia religijne wierzących, sami wrażliwi jak mimoza, gdy ktoś dotknie uczuć ateistycznych?

Pojawiły i spokojniejsze repliki. Jan Hartman uznał, że dostał ode mnie „z liścia”. Panie profesorze, gdybym chciał panu z liścia przyłożyć, napisałbym, że bycie ateistą „jest głęboko niemoralne i hańbiące” (tak pan pisał o przynależności do Kościoła katolickiego). A przytoczyłem tylko rozważania o potrzebie rytuału, które prowadzi Han – myśliciel, którego pan, jak mi nie mam, nie zna, bo pisze pan, że jest Francuzem.

Marek Beylin zarzucił mi zero-jedynkowość: „Alboś człowiek wyposażony w pełnię człowieczeństwa (jak zapewne Matczak), alboś człek wybrakowany, skupiony tylko na sobie”. Chciałbym zapytać autora, skąd wziął to „jak zapewne Matczak”. Dlaczego swą tezę osłabił („zapewne” wyraża przypuszczenie) i nie zacytował fragmentu tekstu, w którym tę pełnię sobie przypisałem, a innym odebrałem? Może dlatego, że takiego cytatu w tekście nie ma?

Autor piszący dla „Krytyki Politycznej” zarzuca mi „wrogie przejęcie” myśli Hana. Nie widzi wrogiego przejęcia, gdy „Krytyka” z Hana tłumaczy na polski tylko to, co zgodne z jej linią ideologiczną, czyli antykapitalistyczną krytykę „społeczeństwa zmęczenia”, pomijając prace o znaczeniu religii. Pisz, że zamiast zrozumieć, wolę uderzyć. I to siekierą. Gdybym chciał uderzyć, zrobiłbym to. Jak Jerzy Sawka mnie, wyzywałbym ateistów od idiotów, zarzucając im „rozwolnienie werbalne”. Gdybym chciał użyć siekiery, użyłbym, jak Krzysztof Łoziński. Powiedziałbym, jak on mnie, że wam się coś z głową porobiło.

Jeszcze zarzut paternalizmu. Zaprawdę, powiadam wam, gdybym chciał być paternalistyczny, napisałbym „List do braci ge-jów”, wzorując się na „Liście do przyjaciół

katolików” Dehnela, w którym autor mówi im, co mają myśleć i robić. Albo powiedziałbym mu, że jest dziadersem i powinien lepić pierogi, jak on mi. Takiej dyskusji chcecie?

Mówią, że piękno jest w oku patrzącego. Ja myślę, że to w waszym oku jest ta cała pogarda, którą widzicie w moim tekście. I przekonacie się o tym, gdy pod tym tekstem pojawią się komentarze: „przecież Szczerek, Gretkowska i Hartman, gdy obrażają katolików, mówią prawdę”.

Czasem wydaje mi się, że jesteście katolitanem à rebours. Jesteście gotowi przytulić znajomego, który wyzna, że jest gejem, ale znajomemu, który powie, że wierzy w Boga, każecie wypierdalać z domu, jak zaco-fany Janusz synowi ge-jowi. Że jak ci pogardzani przez was katole macie swoje dogmaty i swoje inkwizycje. Że wasze ściśle umysły są jak umysł inżyniera Mamonii: lubicie tylko takie melodie, które już słyszeliście. I że instrumentalizujecie człowieka – oto Matczak wam się popsul: kiedy śpiewał na melodię, którą znacie, był super. Był jak wasza ręka, która bije, kogo trzeba, i jak wasze usta, które wydziera ją się na tego, na kogo powinny. A tu ręka wam się zbuntowała, więc trzeba ją amputować, i usta się znarowiły, więc trzeba kazać im się zamknąć.

Kiedy was czytam, mam déjà vu z interakcji ze zwolennikami PiS – oni także zarzucali mi prowincjonalność, ruską fa-cjętę i charakterystyczny dla profesorów idiotyzm. Jak pisze Karen Stenner, jesteście takimi samymi unikaczami różnorodności, tylko unikacie innej różnorodności. A przez to, że tacy jesteście, zasługujecie na rewanz tych, których obrażacie – na trzecią i czwartą kadencję PiS, w czasie której będziecie się zastanawiać, dlaczego tak światli ludzie jak wy muszą cierpieć dyktaturę ciemniaków.

W moim tekście świątecznym ciągle piszę „my”, nie „wy”. Piszę na początku, że nie mam nic do ateistów i że katolicy też spędzają święta ateistycznie. Piszę na końcu o tragizmie „naszego”, nie „waszego” położenia. Piszę, że to „my” jesteśmy zatopieni w konsumpcji i że „my” stajemy się ludźmi komunikującymi się z samymi sobą w mediach społecznościowych. Piszę wreszcie, że to nam, biednym wypalonym maszynom do pracowania w dni robocze i do konsumowania w święta, brakuje wspólnoty, ciszy i sacrum. A wy nawet te piękne zaimki „my” i „nasz” czytacie wykluczająco jak figurę retoryczną.

Chciałem zrozumieć rzeczywistość pełniej niż „Krytyka Polityczna”, a skończyło się na powielanym komentarzu Pani Kowalskiej z forum „Wyborczej”: „Obrażliwy i potwornie głupi tekst, świadczący tylko o tym, jakim ignorantem jest jego autor i jak wielkie jest jego poczucie wyższości”. Bez śladu argumentu, co niby jest potwornie głupie i co świadczy o poczuciu wyższości. To jest myślenie siekierą, to jest prawdziwe zaco-fanie i zamknięcie na myśl. Albo lustro, w które powinniście z uwagą spojrzeć (tu przepraszam za protekcyjnałny ton). ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



CZUŁE SŁÓWKA

Niepokój

Przeczytawszy felieton profesora Matczaka, postanowiłem uderzyć się w pierś i wysłuchać kazania arcybiskupa Jędraszewskiego.

Michał Rusinek*



Przeczytawszy w „Wyborczej” tekst profesora Marcina Matczaka, twierdzącego, że „ateistyczne święta to samooszukiwanie się człowieka w sekularnym od cna świecie”, „nędzna proteza prawdziwego świętowania”, „bez wspólnoty, bez głębi myślenia, bez tajemnicy, bez ciszy, bez sacrum”, już miałem napisać, że nie ma on racji, bo religijność nie jest warunkiem koniecznym do metafizycznych przeżyć czy głębszych rozmyślań. Że doświadczenie świąt łączy się z doświadczeniem kolistego pojmowania czasu i jest formą egzystencjalnego przeciwstawiania się przemijaniu, bez względu na wyznanie czy światopogląd. Że wyjście poza religię pozwala nawet na głębsze, bo samodzielne przeżycie tego doświadczenia. I że ludzie wierzący nie powinni patrzeć z politowaniem i wyższością na niewierzących (podobnie jak niewierzący nie powinni szydzić z wierzących). Pomyślałem jednak, że święta to nie czas na polemiki, lecz na autorefleksję, postanowiłem więc uderzyć się w pierś i wysłuchać kazania arcybiskupa Marka Jędraszewskiego, wygłoszonego w czasie pasterki, by moje świętowanie stało się nieoszukiwane, prawdziwe i głębokie. ●

Kazanie owo skoncentrowane było wokół jednego słowa, które pojawiała się jakże często w tegorocznych życzeniach i które oznacza coś, czego większość nas pragnie i wyczekuje: pokoju. Arcybiskup rozpoczął od teologicznej wykładni tego pojęcia i nazwał Chrystusa „osobowym pokojem, który sobą uboga ca ludzi”. Zaraz też przypomniał nam wiele cytatów z Biblii, w których pojawia się pokój, od proroka Izajasza, po św. Pawła, a także samego Chrystusa, który za pokój zapłacił najwyższą cenę („bo za pokój trzeba płacić sobą samym, zwłaszcza jeśli łączy się on z ofiarą przebaczenia i pojednania”) i którego pierwsze słowa do apostołów brzmiały „pokój wam”. Owszem, dookreślił, że chodzi o pokój, którym Bóg obdarza nie wszystkich, ale „ludzi żyjących według Jego zamiarów i upodobań”, nie posunął się już jednak do cytowania Ewangelii św. Mateusza, gdzie Chrystus mówi: „Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową; i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien. Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (Mt 10, 34-39). Z tego cytatu wynika jeszcze wyraźniej, że pokój Chrystusa to pokój wybiórczy: pokój dla tych, którzy – nawet za cenę rodzinnych konfliktów – wybiorą

chrześcijaństwo. Dobrze, że tego fragmentu arcybiskup nie zacytował, bo profesor Matczak wystraszył mnie już dostatecznie.

Zacytował natomiast słowa „jakże dobrze nam znanej i śpiewanej na całym świecie” kolędy: „Cicha noc, święta noc/ pokój niesie ludziom wszem”. Kolęda ta, autorstwa Josepha Mohra, powstała w 1816 roku w Mariapfarr pod Salzburgiem. Owszem, została przetłumaczona na ponad 90 języków, więc można powiedzieć, że śpiewana jest na całym świecie. Jednak ani w wersji oryginalnej, ani w przekładach na znane mi języki nie ma tam słowa o pokoju. To znaczy jest wyłącznie w (skądinąd dość kiepskim literacko) przekładzie na język polski. W oryginale jest za to czuwanie, sen i spokój. O „niesieniu pokoju” śpiewa się więc nie na całym świecie, ale prawdopodobnie wyłącznie w Polsce. No ale Polska jest najważniejsza. ●

Tu arcybiskup zakończył egzegezę teologiczną słowa „pokój” i przeszedł do filozoficznej: pokój, podobnie jak wolność, nigdy nie jest dany raz na zawsze, „jest ludziom równocześnie dany i zadany” – stwierdził, skądinąd bardzo słusznie, i dodał: „doświadczyliśmy tego zwłaszcza od kilku miesięcy”. A kiedy już się wydawało, że dalsza część kazania będzie poświęcona wojnie w Ukrainie, arcybiskup zmienił egzegezę na filologiczną, wprowadzając rozróżnienie na „pokój” i „spokój”: „pokój nie jest związany ze zwykłym spokojem, pokój jest związany z obiektywnymi wartościami, w pierwszym rzędzie z prawdą”. Nie wyjaśnił wprawdzie, w jaki sposób jest związany, a szkoda, bo nie jest to oczywiste. Wyjaśnił za to, że „gdyby Święty Józef sądził, że dla świętego spokoju lepiej nie uciekać z Betlejem, mały Jezus zapewne zginałby zamordowany przez siepaczy Heroda wraz z innymi świętymi betlejemskimi Młodziankami”. ●

Skądinąd ciekawa opozycja pokój – spokój potrzebna była arcybiskupowi wyłącznie po to, by zaatakować prezydenta Andrzeja Dudę, który mówiąc, że „Polska potrzebuje spokoju, a nie konfliktu”, zawetował ustawę zwaną „lex Czarnek 2.0” uniemożliwiającą organizacjom pozarządowym demoralizowanie dzieci. Prezydent nie poszedł w ślady św. Józefa; wybrał święty pokój, a nie święty pokój. „Nie wolno w imię spokoju ustępować!” – grzmiał Jędraszewski. Od prezydenta gorsi są tylko niektórzy samorządowcy, którzy chcą usunąć religię ze szkół, a co najbardziej oburzające: nie płacić katechetom, chociaż za pracę należy się płaca. Czym to się skończy? Nie tylko ateizmem, ale też utratą tożsamości narodowej, bo przecież „polska kultura tożsamość swój fundament, a zarazem trzon, znajduje w chrześcijaństwie” – stwierdził arcybiskup, niebezpiecznie żonglując metaforami. ●

Jego zdaniem brak religii w planie lekcji grozi „aksjologiczną próżnią i nihilizmem” i „nie gwarantuje pokojowej egzystencji naszego narodu na przyszłość”, bo „bez Chrystusa, który jest pokojem, nie może być przecież prawdziwego pokoju”. Czyli będzie tylko samooszukiwanie się, jakaś proteza i płycizna. I ani tajemnicy, ani sacrum. Z Chrystusem natomiast czeka nas radość i nadzieja. Amen. ●

Ubogacony i uspokojony kazaniem o pokoju poniekąd mego, bo krakowskiego, arcybiskupa metropolity poszedłem spać. Ale przysnił mi się niepokojący koszmar, z którego mam nadzieję się prędko obudzić. Trawestując Tuwima: „Miałem sen, a w nim – jakby błąd czeski./ oraz wizja iście świętokradcza:/ że profesor Marcin Jędraszewski,/ to właściwie biskup Marek Matczak”. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UW), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista



T
o już 33. „Weekendówka”! Ależ to zleciało... Wspaniale było bawić się z Państwem w 2022 roku, czytać w mejlach o Waszych zmaganiach z hasłami. Dziękujemy za wszelkie mile słowa oraz krytykę, kiedy zdarzało nam się coś poplątać z hasłami – bo i takie „Weekendówki”, jak doskonale wszyscy pamiętamy, się trafiały.

A co proponujemy na dziś? Oczywiście krzyżówkę sylwestrową, czyli można by rzec: „Sylwestrówkę”. Skąd w ogóle sylwestrowe huczne zabawy? Otóż zgodnie z proroctwem Sybilli w 1000 roku miał nastąpić koniec świata, za sprawą smoka Lewiatana. Potwór, uwięziony w lochach Watykanu i zakneblowany papieską pieczęcią przez papieża Sylwestra I, miał się uwolnić i posiać na ziemi grozę.

Kiedy jednak rok 999 dobiegł końca, nastał 1000, a Rzym jak trwał, tak trwał, oczekujący na apokalipsę ludzie wylegli na ulice, by się radować i świętować. Były tańce, było wino, a ówczesny pontifex Sylwester II udzielił błogosławieństwa na nowy rok. I stąd sylwester.

Abstrahując od zabaw, które są powszechną tradycją – choć w Polsce przyjęły się dopiero w XIX wieku – różne nacje różnie sylwestra świętują. Duńczycy o północy skaczą z krzesła bądź z kanapy, by wskoczyć w nowy rok. Zwyczajem duńskim jest też tłuczenie talerzy o drzwi domów swoich przyjaciół i rodziny. W Australii też tłuką – tylko że w garnki i patelnie, tworząc potężny hałas, który ma zagwarantować spełnienie noworocznych postanowień.

W Hiszpanii, gdy zegar wybija północ, obwieszczając koniec starego i początek nowego roku, zjada się dokładnie 12 winogron – na każde uderzenie zegara. W Kolumbii chadza się wokół domu z pustą walizą (to ma zwiastować ciekawy rok pełen podróży), w sąsiedniej Argentynie czekają na 1 stycznia, stojąc na lewej nodze, by tuż po północy postawić na podłodze prawą i tak wejść w nowy rok.

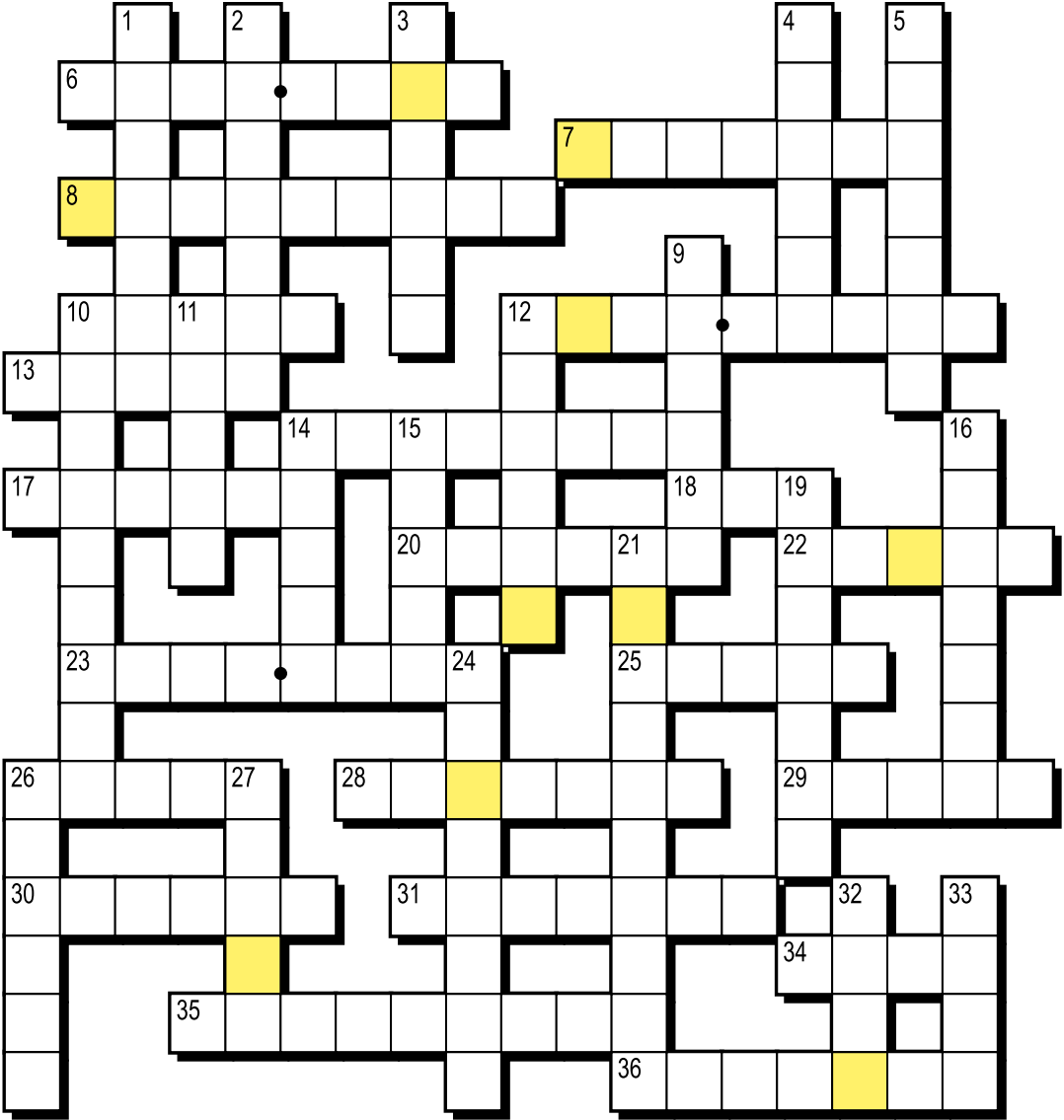
Turcy rzucają z balkonów owoce granatu, Portorykańczycy leją wodę, a w Salwadorze wróżą z rozbitych jajek. W niektórych krajach zakłada się też na zabawę sylwestrową określony rodzaj bielizny – np. Włosi wybierają czerwoną, która ma zapewniać w nowym roku pomyślność.

W Polsce wierzymy, że w nowy rok powinno się wejść bez długów (aha...) oraz oddać wszystkie pożyczone rzeczy, a w sylwestra nie należy w domu sprzątać (tak!), żeby nie wymieść z domostwa szczęścia. W sylwestra spójrzcie też w niebo – jeśli będzie gwiazdziste, to nowy rok będzie pełen pomyślności.

Ale najpierw spójrzcie na „Weekendówkę”, którą pomógł nam ułożyć niezawodny Michał Rusinek. Przyda się kompleksowa wiedza w temacie „Sylwester”.

Wszystkiego dobrego na Nowy Rok!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 32 z 24.12:

Poziomo:

- 4) bombka 7) śnieg 10) Pasterka
12) cukierki 13) piosenka 14) Dziecina
16) Mikołaj 20) dzień 22) Bazylika
24) Maria 25) karpie 28) Królowie
29) Betlejem 31) opłatki 33) Cicha noc
34) nos 35) lampiony 36) kluski
37) wata 38) Paniąteczko

Pionowo:

- 1) Kacper 2) stroiki 3) drzewko
4) bajka 5) Moc 6) kokarda 8) nakrycie
9) Gloria 11) serniczek 15) zabawki
16) msza 17) kołędowanie 18) Adam
19) torebeczka 21) Kieślowski
23) kantyczka 26) pomocnicy 27) Dickens
30) Janusz 32) pompon 37) wóz.

HASŁO: **BIAŁY PUSZEK**

SYLWESTER

Hasła Michała Rusinka oznaczono inicjałami (M.R.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6) komedia Sylwestra Chęcińskiego, w której pojawia się kot z miasta Łodzi
7) sylwestrowa prywatka
8) Sylwester, reżyser filmów dokumentalnych
10) Halle, wystąpiła w filmie z określenia 23 poziomo
12) kojarzone z Sylwestrem Stallone'em
13) ... sprzedaży fajerwerków przed wieczorem sylwestrowym, obowiązuje w niektórych krajach

14) Sylwester, filmowy Rocky Balboa

17) trylogia filmowa, w której Sylwester McCoy zagrał Radagasta Burego

18) kończy się w sylwestrową noc

20) wykaz cen lub potocznie – coś, co szczególnie trudno zamówić w sylwestra (M.R.)

22) skojarz: Stallone, Rocky, nagroda

23) „Sylwester w ...”, film z Robertem De Niro i Michelle Pfeiffer

25) „Dziennik Bridget ...”, pisany od sylwestra do sylwestra

26) w wieczór sylwestrowy jakby częściej na niego zerkamy

28) nazwisko tytułowego bohatera powieści Anatole'a France'a „Zbrodnia Sylwestra ...”

29) „pisany” obraz lub wyrazista postać popkultury (M.R.)

30) zrobić się na ..., czyli wystrzoić, upiększyć

31) imię papieża Sylwestra II

34) aktor o imieniu Christian lub – sylwestrowe, karnawałowe itp. (M.R.)

35) był nim gracz z 2 pionowo
36) bal sylwestrowy lub domowa potańcówka

Pionowo:

1) Tweety, na którego poluje kot Sylwester (w filmach animowanych)

2) Sylwester Czereszewski

3) wznoszone szampanem

4) Kazimierz z trylogii filmowej Sylwestra Chęcińskiego

5) ojczyzna papieża Sylwestra II

9) Sylwester, wieloletni muzyk Kapeli Czerniakowskiej (grał na banjo)

10) imprezowanie

11) komandos z cyklu filmów z udziałem Sylwestra Stallone'a

12) Sylwester Szmyd

14) szykowany na maskaradę lub na bal

15) Sylwester Maciejewski lub Sylwester McCoy

16) niejeden „wykorkuje” w sylwestra

19) „Nie ma mocnych” Sylwestra Chęcińskiego

21) straszą psy w noc sylwestrową (M.R.)

24) organizowane w noc sylwestrową

26) może być szampańska

27) wielki show, widowisko rozrywkowe

32) odpalane w noc sylwestrową

33) grecki ser lub huczne przyjęcie (M.R.)

Leszek Rydz

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play

